



ALMANAX

STUDENCKI

2021 VOL. 1

NR 2. LATO





Stopka

AlmanaX Studencki

Almanach Twórczości Artystycznej Studentów Uniwersytetu Gdańskiego

Koło Naukowe Teoretyków Literatury UG

Patronat:

Wydział Filologiczny UG

Instytut Filologii Polskiej UG

Redakcja: Michał Bolek (Dział Przekładu), Joanna Danowska (Dział Fotografii), Patryk Dzikiewicz, Alicja Smaruj, Paulina Sokólska, Marysia Wrzeszcz (Dział Poezji), Aleksandra Zdanowicz, Maciej Dajnowski (Sekretarz Redakcji)

Adiustacja, korekta, redakcja: Zespół

Typografia i skład: *Sophrosyne DIY*

Concept art i oprawa graficzna: *Bunkai DIY*

Okładka:

Wassily Kandinsky, *Auf Spitzen* (1928)

Pestilentiae Anno Secundo

Gdańsk MMXXI

© Marta Bąk, Beata Budzkowska, Ida Cylwik, Joanna Danowska, Maciej Franciszczak **Piotr Frąckowiak**, Agata Gigilewicz, Aleksandra Hallmann, Jacek Inglot, Szymon Kamiński, Julia Kobro, Patryk Koprowski, Emilia Kuczmaja, Aleksandra Łasińska, Marcin Makara, Przemysław Mazurkiewicz, Patryk Miąskowski, Marta Paluch, Patrycja Pankau, Piotr Pędziszewski, Magda Piotrowska, Róża Piotrowska, Aleksy Pokłkowski, Przemysław Redesiuk, Maciej Roszkowski, Magda Anna Sajewicz, Przemek Saktura, Franciszek Sobiech, Kamil Sulak-Kozłowski, Martyna Szulczyk, Paulina Ulatowska, Jakub Wedeł, Marysia Wrzeszcz, Janusz Zajdel

© Almanax Zespół

Wszelkie reprodukcje rysunków, malarstwa, grafik, fotografii zostały użyte w celach wyłącznie edukacyjnych i jedynymi dysponentami praw autorskich są ich właściciele.

W składzie wykorzystano następujące darmowe fonty:

aztec, Beauty, Fisherman, Go Go Sports, Greek Art, Ice-egg Futhark Runes, Inga Stone Signs, Khosrau, Mayan, Meroitic – Hieroglyphs, Monocracy Cuts and Clips, NegativeFilm, Prehistoric Paintings, SL Rock Art, Total Floral, WC Fetishist Bta, Younger Futhark Short Twig

Numer zamknięto 1 sierpnia 2021 r.

Kontakt:

e-mail: almanax.redakcja@gmail.com

FB: <https://www.facebook.com/Almanax-100172365560354>

Messenger: [m.me/100172365560354](https://www.messenger.com/profile/100172365560354)

Instagram: [@almanax.almanach](https://www.instagram.com/almanax.almanach)

WWW: https://fil.ug.edu.pl/wydzial_filologiczny/instituty/institut_filologii_polskiej/dzialalnosc_institutu/kola_naukowe/kolo_naukowe_teoretykow_literatury_ug

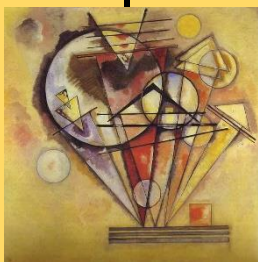


SPIIS TRESCI

Spis treści	4
Wstępniak	7
POEZJA	9
Miron Bëtley (Piotr Frąckowiak) <i>Striptiz. Utwory rozebrane</i> [wybór]	10
Agata Gigilewicz, <i>Wiersze</i>	15
Paulina Ulatowska, <i>Wiersze</i>	20
Szymon Kamiński, <i>Wiersze</i>	24
Aleksandra Łasińska, <i>Wiersze</i>	28
Marysia Wrzeszcz, <i>Wiersze</i>	34
Przemek Saktura, <i>Wiersze</i>	42
Patrycja Pankau, <i>Wiersze</i>	50
Emilia Kuczmaja, <i>Wiersze</i>	53
Aleksandra Hallman, <i>Wiersze</i>	69
Patryk Miąskowski, <i>Wiersze</i>	73
Magda Anna Sajewicz, <i>Wiersze</i>	75
Epigramat	78
Franciszek Sobiech, <i>Haiku</i>	78
Fraszka	79
Julia Kobro, <i>Limeryki, Zamiasty, [Przed kriokomorą...]</i>	79
Przemek Saktura, <i>Trudna miłość do kolarzówki</i>	84
PROZA	85
W stronę liryki	86
Magda Piotrowska, <i>Długi lot w dół</i>	86
Aleksandra Łasińska, <i>Obecność</i>	89
Marta Paluch, <i>Tuk tuka</i>	94
Aleksy Poklękowski, <i>Burza</i>	96

Marta Bąk, <i>Szczęśliwe zakończenie?</i>	98
Marta Bąk, <i>Powerless</i>	104
Patryk Miąskowski, <i>Malkontenta alko-travel-story w trzech aktach</i>	106
W stronę fantastyki	113
Emilia Kuczmaja, <i>Rzeźbiarka</i>	113
Kamil Sulak-Kozłowski, <i>Odwrócony Zapruder</i>	133
Powieść w odcinkach	142
Patryk Miąskowski, <i>Brud (2)</i>	142
INTYMISTYKA.....	149
Przemysław Mazurkiewicz, <i>Delegacja warszawska (1)</i>	150
Przemek Saktura, <i>Cementująca przygoda</i>	154
Sny, zwidzenia, prekognicje	158
Julia Kobro, <i>Sen sensacyjny</i>	158
DRAMAT.....	159
Przemysław Redesiuk, <i>Droga do Nieba</i>	160
SCENARIUSZ.....	177
Marcin Makara, <i>Bezdomny</i>	178
Martyna Szulczyk, Patryk Koprowski, <i>Niepamięć</i>	201
Maciej Franciszczak, <i>Dante odnaleziony</i>	207
Jakub Wedeł, <i>Janek, nie otwieraj teraz drzwi</i>	217
Róża Piotrowska, <i>Lato</i>	227
Beata Budzkowska, <i>Lucky</i>	239
Przemysław Mazurkiewicz, <i>Generator fantazmatów</i>	252
GRAFIKA.....	262
Franciszek Sobiech, <i>Linoryty</i>	263
Maquillage	275
Ida Cylwik, <i>Autorskie projekty makijażu scenicznego</i>	275
FOTOGRAFIA.....	285
Joanna Danowska, <i>Fotografie</i>	286

Róża Piotrowska, <i>Fotografie</i>	294
Magda Anna Sajewicz, <i>Fotografie</i>	298
Fotoreportaż	303
Marysia Wrzeszcz, <i>Tatry</i>	303
WYWIAD.....	313
<i>Oruń. Powojenna Polska okiem repatrianta (2), z Tadeuszem Woronowiczem rozmawia Przemysław Mazurkiewicz</i>	314
Noty biograficzne.....	322
Nasze podwórko.....	328
W przygotowaniu.....	333



WSTĘPNIAK TO JEST EDYTORIAŁ

Będzie krótko.

Oddajemy w Wasze ręce drugi numer „AlmanaXu”. Stron tym razem nieco ponad trzysta, ale sesja, wakajki, no sami wiecie. Na jego kartach spotkacie starych znajomych – weteranów pierwszego wydania, jak również znajomych nowych – Twórczyń i Twórców właśnie debiutujących na naszych łamach. Szukajcie dyjamentów – są. :)

Podczas przygotowywania numeru nie ucierpiał żaden łoś, flaming ani ogr. Ale to już wiecie. Z rzeczy nowych zaś – w makiecie pisma pojawiły się nowe działy: „Dramat” (nareszcie!), „Epigramat” (przeznaczony dla krótkich utworów wierszowanych z ambicjami filozoficznymi), żartobliwy drobiazg „Sny, zwidzenia, prekognicje” (artemidorian dla fanów senników, wróżb, psychoanalizy, surrealizmu, belkotów prorockich i odurzających blekotów. :-)), „Fotoreportaż”, wreszcie „Maquillage” (lokujący się gdzieś pomiędzy malarstwem, *concept artem*, grafiką użytkową i fotografią).

Dodaliśmy rubryki o charakterze ogłoszeń parafialnych. „Nasze Podwórko” zawiera informacje o dokonaniach artystycznych naszych Auterek i Autorów oraz załóg zaprzyjaźnionych z pismem, również o takich przedsięwzięciach, które ze względu na swój charakter na szpaltach czasopisma nie mogą się pojawić. „W przygotowaniu” natomiast, to krótka zajawka tego, co z zespołem „AlmanaXu” chcemy zbroić w najbliższej przyszłości.

A zbroić chcemy przede wszystkim równoległą do samego pisma linię nieregularnie wychodzących „Zeszytów Tematycznych”. Z przyjemnością anonsujemy, że będziemy teraz czekać na Wasze zgłoszenia do numerów roboczo zatytułowanych „Metamodernizm”, „Pod znakami Erosa”, „Żywie Bielarus!”, „Postapo”, „Fantasy”, „Cyberpunk”, „Natura Naturans”, „AX Goes Noir” i „Flash Fiction”. I chcemy uruchomić „Bibliotekę AlamanaXu”...

Czytacie jeszcze? Błąd. Macie poślizg. Sio do wysysania mięszu! Albo siadajcie do komunikatorów i zgłaszajcie swoje propozycje do numeru jesiennego. :)

(~Redakcja)

Ważne adresy i telefony:

Mail: almanax.redakcja@gmail.com

FB: <https://www.facebook.com/AlmanaX-100172365560354>

Messenger: m.me/100172365560354

Instagram: [@almanax.almanach](https://www.instagram.com/almanax.almanach)

WWW: https://fil.ug.edu.pl/wydzial_filologiczny/instituty/institut_filologii_polskiej/dzialalnosc_institutu/kola_naukowe/kolo_naukowe_teoretykow_literatury_ug

Pierwsza pomoc: 112



POEZJA



Edward Hopper, *Cape Cod Morning* (1950)

Miron Bötley
(Piotr Frąckowiak)

Striptz. Utwory rozebrane [wybór]

Halsztuk i bandana

Odwaga za 3 grosze czyli autodialog

jakie
masz
plany –
na
życie?!
śmierć



Piet Mondrian, *Compositie no. II* (2013)

oda do od

przeklęty prefiks

postmodernistycznej płukanki

prestidigitatoruje prezesów

płotna

etc. etc. etc.

...

nienawidzę goich, ja chcę

sam! kurzać, tworzyć, cedzać,

chudzić, ciąć, ciężać, ciekać,

frunąć, gałęziać się, lewać,

najdować, piłowywać, rastać,

skakiwać, szyfrować, tajać,

woływać, znaczyć,

itd. itd. itd.

A co z tym z tym przeklętym ć ?

Złamanie z przemieszczeniem

gór Oki-

nawa

nie posiada

się

ze szczęścia

łzy

dyniowate tak

jak ich

źródło

Dubeltowa Autonomia

Dykta

tor

biel

i

czерwie

ni

stąd-dotąd

Histaminoryjka

Nienawidzę kalek

językowych utkanych

z grubych włókien przez

wątlą staruchę z rozedrganymi

dłońmi i tobie

podaje

Longines ze stalową bransoletą

Heraklit chorobotwórczy

Poznałem (choć pochodzę znad morza)

Wiele (wieś w powiecie kościerskim)

Krain (od 1314 r. wiele się zmieniło)

których jestem powieleniem (...)

Przecieki i wpływy

chciałbym nazwać coś jakoś kiedyś nie
teraz zaraz za moment za chwilę za sekundę
tymczasem tym czasem jest wartość bezwzględna
zawsze ta sama tożsama kropka z kropką strzałka z strzałką
jednorodnie syjamsko bliźniacze remisowe patowe
wybijające z rytmu rytm nadając zagłuszając przykrywając
ciepłe wilgotne za długie za krótkie za miękkie za twarde
kończyny

Pierścionki i medaliony

Tani melodramat

nie mam ci co opowiadać
bo jesteś cudzym środkiem
wykrztuśnym
a ja nie mam
gruźlicy

Niewinność nieleczona

mój stary nowotwór
(cóż za ironia) wytworzył nowe
przerzuty: do płuc, wątroby, trzustki i innych organów
(Ten Mięsień jest tylko pierwszą padliną) a
hospicja odmawiają postania –
jest za późno czy to ja nadto ulegam emocjom ?

Piotrka Frąckowiaka nie ma z nami już od kilku lat.

Chorował i naprawdę heroicznie stawiał czoła swemu cierpieniu: całe życie przykuty do wózka, mógł poruszać tylko jedną dłoń. W drobnym, zastygłym w skurczu ciele, zamieszkiwał umysł bardzo żywy, niespokojny i pełen inteligentnego poczucia humoru. Bardzo młodo opuścił jednak ten areszt: taka wczesna śmierć, która przysługuje poetom przeklętym.

Zanim Piotr wybrał wolność gdzie indziej, wędrował po krainach wyobraźni i słów jako Miron Bëtley. To poetyckie *nome de guerre* to właściwie Piotrkowy heteronim, jakby sygnatura *alter ego*, jakiegoś komplementarnego wariantu istnienia. Jego brzmienie przypomina fascynacje poety Białoszewskim i, jak mi się zdaje, Beatlesami. Figuruje ono na tytułowej karcie grubego fascykułu wierszy, który po sobie pozostawił. Zamieszczam tu niewielki wybór z tej, praktycznie gotowej, książki poetyckiej.

Są to wiersze trudne: wymagają nie tylko uruchomienia ściśle językowego wymiaru wyobraźni (co jest oczywiście jeszcze jednym hołdem Mirona dla Mirona), ale i otwarcia na precyzyjnie ukryte tropy doświadczenia cielesnego, cholernie bolesnego, w tekstach rozłamanego na sylaby, onomatopeje, aluzje... Poranione słowa Piotrka trzeba czytać właśnie jako takie: kalekie i obolałe. Nie należy szukać tu prostej urody rytmu czy współbrzmień, tym bardziej łatwych sentymentów. Oczekiwać można za to paronimii dewastujących neutralność sensu, dysonansów, zgrzytów, nieoczywistych podziałów słowa na wypatroszone ze znaczenia zgłoski, agresywnych neologizmów. Mowy, która gubi swą potoczną komunikatywność, by głos odzyskiwać na innym poziomie: rekonstrukcji, lektury, interpretacji. A ten głos, pełen autoironii, jest głosem cierpienia biorącego się w nawias po to, by odnaleźć jakiś swój ostateczny sens.

Piotr Frąckowiak
alias
Miron Bëtley

1987-2015



Agata Gigilewicz

A może ostatecznie każdy dostanie to, w co wierzył.

Ja na przykład wierzę w przygodny seks i brak głębszych uczuć.

Wiary wciąż tkwią bez pokrycia

dlatego też i ja jestem wierzącą nie praktyczną,
przykrywam

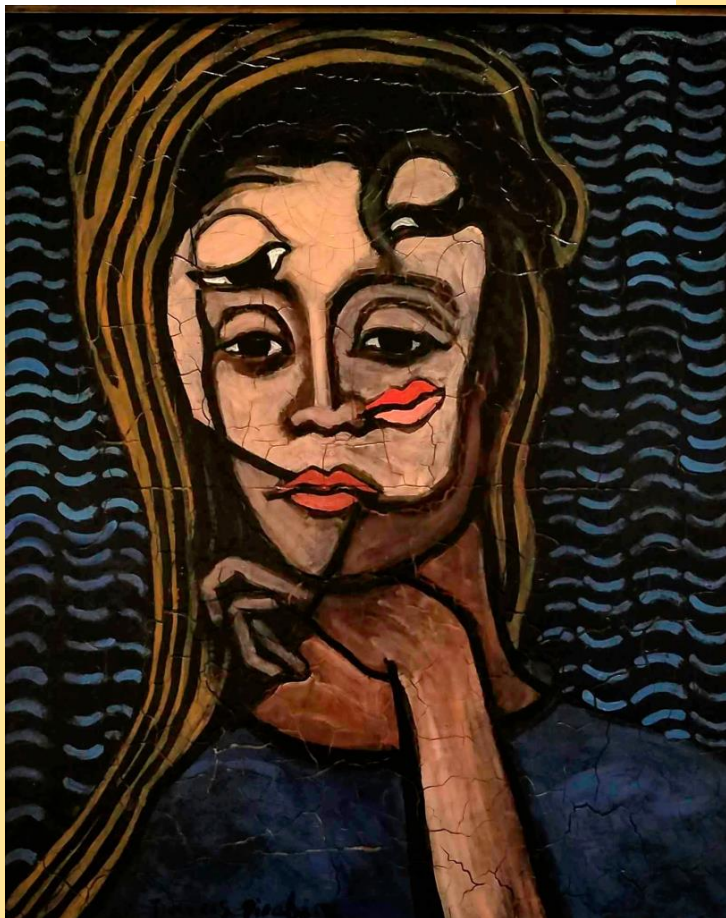
Czy mnie pochłonie czy podrażni ostatecznie?

Czy rzuci mnie w krzaki
czy legnie na łożko

przypali mnie ja.

ciągle i ciągle rwane emocjami.

Będzie się tlić w piekle za to
że daję ponieść się



Francis Picabia, *Painting of Madame X* (1927-30)

Z tej okazji, że jest to prawdopodobnie nasze
ostatnie spotkanie
Porwijmy się.
Możesz zrobić ze mnie wariatkę, a ja
ogolę Cię na łyso
Będę chichotać
zabierają Ci dech
Pobawisz się płacząc nad
resztką
Zobaczysz jak to jest
brać byka za nogi
zrywając corridę.
Przgonisz siebie i swój owczy pęd
susem skacząc w sam środek cieni.
Po raz pierwszy nie zaleję się łzami
dając krwi płynąć do przodu i ciągle na boki.
Po prostu
powoli
metodycznie
zaleję się nią po trochu.

Dalej siedzę w tym swoim ciasnym miasteczku
Nie zamykam oczu i nie ciągnie mnie nic
Nie zapomniałam drogi i drogiej ucieczki
Nie przepłacam życiem
i nie utęskniam
Dalej siedzę w tych mokrych zaułkach
Znam położenie we wszystkich zagapiach
Nie śpię po nocy zagładania w zarośla
Znam pokładnięcia i ukłęknięcia
Swoje obdarte kolana

i każde
zmiażdżone
żebro

Tylko, że to 5 lat trwa już co najmniej 7
Głupie oka, wygięte ręce i wysypka
Wstrzymany oddech i zatrzymany rozbieg

Ty dalej patrzysz na mnie
Ja dalej tylko zerkam
A twoje 5 lat trwa już piętnaście

Tak.

Kochałam na wznak

Ale nie tą całą rzeszę napalonych świrów

Maniaków depresyjno-aktualnych

Hordę panów na tak tylko jak jesteśmy sami i w krzakach

Bajoro oczu kopulujących w kompulsywnie czyszczonych ulicach

Wszyscy wmówili mi piękno tłuąc lustra

Zlizali wierzch nie chcąc sięgnąć do środka

Kochałam Ich Mocno?

Tak. A nawet Mimo

I z rozwartą dżonią byłam zawsze potem.



Max Ernst, *Rêve d'une Petite Fille qui voulut entrer au Carmel* (1930)

Nikt mi nie mówił.

Nikt mi nie mówił, że trzeba przeżyć
żeby doświadczyć.

Że kłamstwo ma długie nogi
i da się na nim nieźle wzbogacić.

Że drapacze chmur nawet nie
sięgają im do pięt.

Że wariactwo trzeba tępić
i zamykać pod schodami.
Że dziwne to nie pojęcie względne
i tak naprawdę wszyscy jesteśmy daltonistami.

Że głos krytyków ważniejszy
jest od wzroku.

Że rozum umiera po nadziei
a chęć nawet nie mieści się w kanonie.

Że niedobrze jest żyć szybko
powoli zastygając w momentach.

Że nie zawsze krzyk usłyszysz ten
który powinien a ten
którego nawet nie chce się spodziewać.

Że oni zawsze widzą
i nigdy nie jest się samemu w swojej głowie.

Ja Ci nie powiem
też.

Paulina Ulatowska

Erotyk

Jesteś wilgotną purpurą, którą chcę
malować na ostatnim pergaminie. Białym

woalem rozciągniętego nieba miękkim.

Wkładam w niego palce, przenikam

pachwiny. Kurczą się, uciekają. Żywe
biodro uderza w bicie serca ziemi.

Żywe biodro to tembr drżącego głosu,
młodość skóry jest niewinna.

Pragnienia, fetysze

o morelowych piersiach, twardniejących w drzeniu
silnych ramionach mężczyzn – rosnących w potencjał
wilgotnej ziemi
tęsknocie człowieka za swoim zgubionym sercem
o tym, jak wieczorem ciężko
o makijażach dziewcząt, które na miłość gotowe są
zawsze

Ziemia utracona

skóra mojej mamy jest twarda

krztusi się

pęka brązowieje ostatnia wilgotność

pali się w krzyku

pierzchną jej usta kraterami płynie rzeka

jak wiele można wybaczyć?

płynie drewniana szafa

dziennik ciało metalowe pręty

snu pył nieskończony na piersi zmęczonej

ma kształt krzyża

O dziewczynie z pomarańczami w lipcu.

O tym, jak obiera je ze skóry.

Nie połyka zawartości, tylko wysysa z nich sok.

Lekko słodki, świeży, dojrzały miąższ – biorący

bez pytania wilgotne usta w grymas.



Théo van Rysselberghe, *Sitzender Akt* (1905)

Tęsknię

Ja i moje tęsknię nie mieści się
w granicach ciała jakie mi przypadło.
Tęsknię do chłopca, którego zgubiłam
przed narodzinami.

Kochamy się w rozdarciu słońca, jego
małej rysie, ognistej wrzawie. Pada deszcz
z gwiazd, uderzenia są melodią wiosny.

Jeśli inne galaktyki też mają wiosnę, to
mój chłopiec ma rydwan zaprzęgnięty
w dwa konie. Białe, dostojne, błyszczące,
szczęśliwe.

Przetrwać jeszcze raz

wiedziałam już że ten koniec świata to naprawdę
dni były coraz krótsze ale wciąż nie białe
co rano ptaki zbierały się w klucz
a ty przestałeś mówić mi dobranoc

matki nie chciały rodzić dzieci przekonane
o swoich bohaterstwie na ulicach wyły psy
czułość przychodzi już tylko w przebraniu
podgryza mnie w ucho liże poliki i rany

na osiedlu między blokami rozpalono ognisko
wiersze harrypotter podręczniki konstytucja
istniejesz dopóki dyszy twój pies
dopóki pęknięcia twojego ciała są wciąż całowane

Będę dziś płakała
do rana lub dłużej
za cały smutek koryta
oceanów źrenic świata całego
za każdy polik rumiany
zawstydzony i ciepły
za każde zwątpienie
przez wiatr chytry
po całym mieszkaniu rozwiane
będę płakała
do niedzieli lub dłużej
aż podlane zakwitną ogrody
wiosną przed domem
i w sercach



Claude Monet, *La Femme à l'ombrelle* (1875)

Szymon Kamiński

Płacz

Kiedy z zakłętej mgły
wystają poszarpane
wierzchołki drzew,
oświetlane bladym
światłem Księżyca.

Kiedy na ziemię opada
z delikatnym szumem
niewidzialna wilgoć,
ta migocząca bryza
kosmicznych drobinek.

Stoję tu ja:
pośrodku wszystkiego
z głową
skierowaną ku
gwieździe,
mrużającej do
mnie zza
czerni.
I wyję –
przecinając ciszę,
niemego spektaklu
ludzkiego życia.

Oddech

Otwarte drzwi balkonu – jak zaproszenie –
do wtargnięcia.

Zimne powietrze wchodzi i osiada na meblach.

Ja – wychodzę – w mrok.

Po cichutku na palcach – zanurzam się w głąb.

Dotykam wygładzonego drewna, chwytam jego krawędzi
– przytrzymuję się.

Wychylam się za rufę balkonu i
płynę w przestrzeń.

Ocean nieznanego umyka przed Księżycem,
wyłaniając z siebie bezkształtność materii.

Na styku szarego nieba i czarnej ziemi migoczą
gwiazdy polarne miast.

Olbrzymie sylwetki drzew górują nade mną,
gdy kopuła świata zamyka nas
w tej sferze.

Zamykam oczy – zatapiam się w innej przestrzeni czerni.

Słyszę szept natury

jej oddech otula mnie –

ona szepcze, liście szeleszczą

Niewidzialny deszcz – szemrze

dźwięczy uderzana

Ziemia

Stoję przed oceanem nicości i wszystkiego.

Ta noc nie jest cicha –

Jak dziecko stoję i wsłuchuję się

– w ten oddech natury.

Chcę oddychać razem z nią.

Jeść

Jeść –
to jakby głaskać językiem
skórę mięśnie kości

Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt,
że kilka chwil wcześniej
głaskałem białe pióra
żywego przyjaciela.



Francis Bacon, *Painting* (1946)

Miara

Mieliśmy na ścianie
własnoręcznie zrobioną miarę.
Mierzyliśmy nasz wzrost.
Mama, co jakiś czas, stawiała nas przy niej i
markerem zaznaczała nową wysokość.

Moja i tak zawsze była niższa niż mojego brata,
który był kilka lat starszy.

Jednak za każdym razem byłem zdumiony,
jak w ciągu tak krótkiego czasu można było urosnąć
tak wiele.

A ja tego nie zauważałem,
zajęty swoimi dziecięcymi sprawami.

Teraz też nie zauważyłem, kiedy we mnie coś urosło.
Coś
czego wcześniej nie widziałem, a co mogłem mierzyć.
Może to była pewna forma odwagi,
ale w końcu zaznaczyłem swoją godność.
I chciałem o nią walczyć, bo nic innego mi
nie zostało.

Aleksandra Łasińska

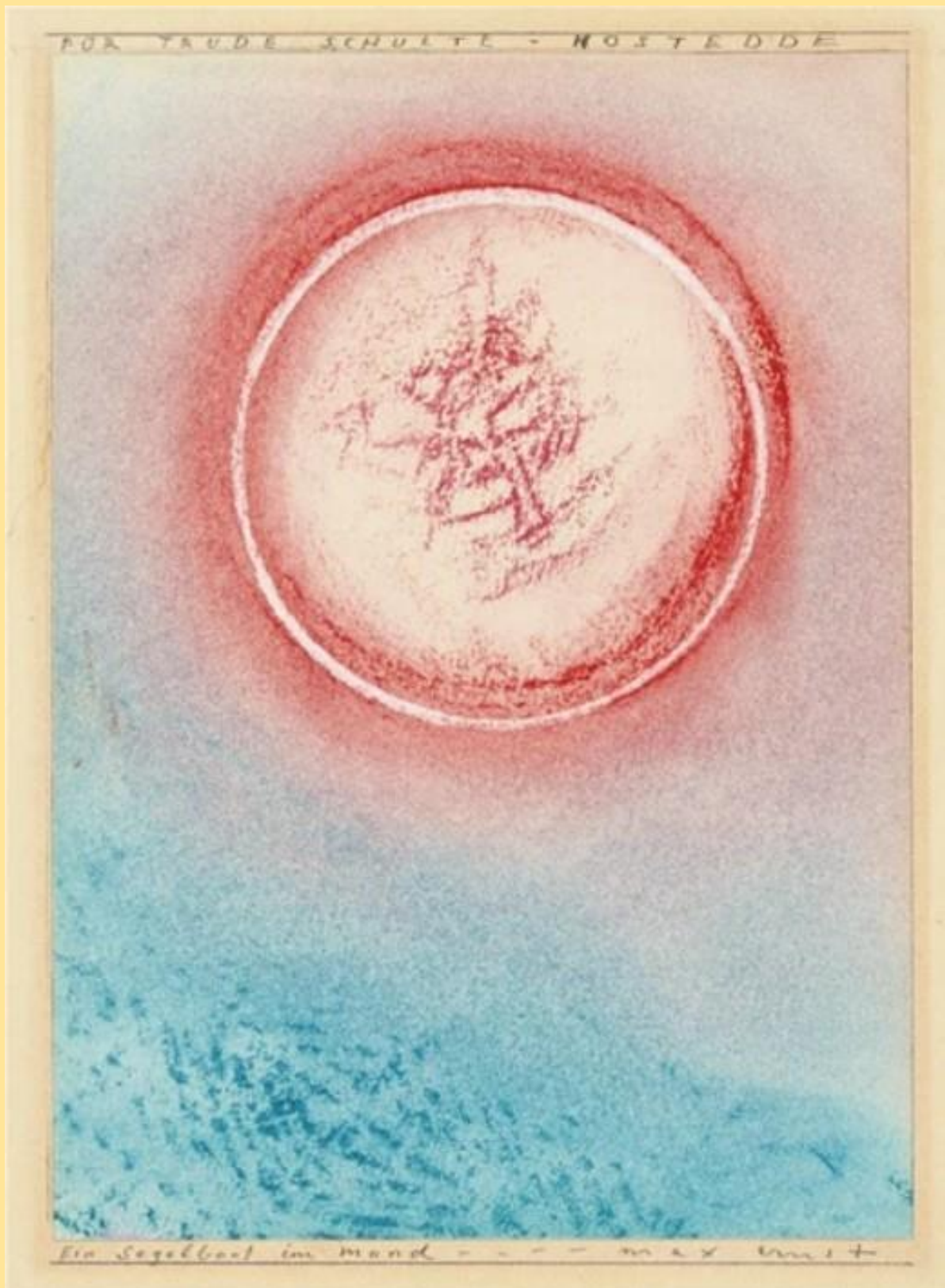
Księżyc

Kryliśmy się w zaroślach gwiazd.
Księżyc twarze nasze oślepiął.
Przesłaniały je żalobne obłoki szczęścia,
Wypełzała z nich tajemnica,
Ukryta w cieniu pulsującego strachu,
Mieszkającego w mroku chronicznej bezsilności.

Siedzieliśmy nad brzegami najczystszej rzeki.
Rzeki o najczarniejszym dnie, które pochłaniało nasze gorejące spojrzenia.
I najśłodsze ze słonych łez.
Płynęła z nimi bezradność nadchodzącej nietrwałości.
Bezszelestny nurt rozrywał wyimaginowane krajobrazy piękna –
Powstałe w niebycie.

Nasze głosy pełzały po błoniach energetyzującego bólu.
Słyszeli je wszyscy mieszkańcy opuszczonego miasteczka.
Odwrzaskiwał nam cichy las.
Spoglądaliśmy na siebie z połowicznym pożądaniem wspólnego powstania.
Które wznieciło w nas kruchą tęsknotę.
Za addycją samotności.

Tam się narodziliśmy i umarliśmy.
W blasku płowego księżyca.
Jedynego świadka naszego (prze)istnienia.



Max Ernst, *Ein Segelboot im Mond* (1965)

Oda do depresji

Przecinasz cienki fragment skóry na ramieniu.

Słowami oznaczasz swój kruchy ból.

Wyływa chwilowymi łzami, tworząc niewidoczne ornamenty blizn.

Zaostrzonymi paznokciami malujesz pręgi na skostniałej powierzchni nieczułego uda.

Przygryzając drobne wargi naznaczasz cząstki owoców delikatną krwią.

By za moment je oddalić, tkając wyżłobienia wzdłuż układu pokarmowego.

Niewypowiedzianym krzykiem kaleczysz struny głosowe.

Niekontrolowanym ruchem odłamujesz szczątki opadających włosów.

Zaciskasz powieki na obrazie własnej męki.

Wyglądasz nerwowo zza zatrzaśniętych drzwi.

Bezszelestnie wkraczasz w rozświetlony tłum

Własną przydymioną szarością.

I obawiasz się, że zauważą ukrywane, przezrocyste rany.

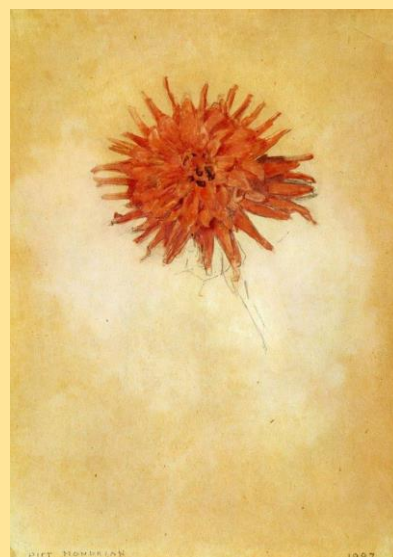
Chociaż tego pragniesz.

Nie łudź się.

Nie chcą się im przyglądać.

Nikt... ni... obacz.. i..

05042021



Piet Mondrian, *Czerwona Dalia* (1907)

Miłość

Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy.

Ani momentu, w którym nie było w nas już nic

Poza miłością.

Zbyt krótkie godziny upływały nam na niedokończonych spacerach.

Pośród ogromnych źdźbeł traw.

Pomiędzy pojawiającymi się i znikającymi rzekami i jeziorami.

Poprzez błotniste przełęcz.

Pamiętam jednak wspólne ucieczki przed ścigającą nas ulewą,

Której ogromne krople uderzały w nasze cienkie pancerze.

I następujące po niej kąpiele w delikatnie gorącym słońcu,

W którym połyskiwały nasze ciała.

Pamiętasz, jak pragnęliśmy znaleźć odpowiednie mieszkanie dla naszych nienarodzonych jeszcze dzieci?

Czy myślisz teraz o naszej odchodzącej przyszłości?

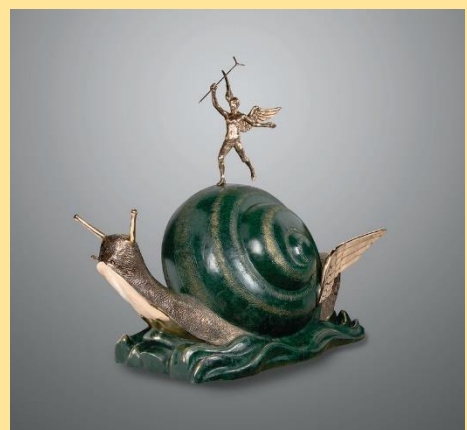
Nasza miłość przetrwała 3 dni, 21 godzin, 18 minut i 07 sekund.

Jedyna miłość w Twoim nie mającym wartości życiu.

Jeszcze przez moment spoglądam na Ciebie.

Właśnie giniesz w bitwie z nieostrozną stopą człowieka.

29052021



Salvador Dalí, *L'escargot et l'ange* (1977-1984)

Przyjaźń

Siedząc w ciszy pod szerokim niebem,
Wspominałam naszą przyjaźń.

Posklejaną z niezrozumienia.
Obdrapaną bólem.
I jednostronną tęsknotą.

Lecz choć winiłam ciebie,
To ja wylewałam jak nienasycona rzeka,
Stale mówiąca o swojej (nie)obecności.

Zaborczością podpaliłam każdą naszą tamę.
By rozpaczać po łamiącej moje serce jej stracie.

Idealizacją rozkruszyłam stabilny brzeg,
Który kiedyś scalał nasze dusze.

Kim dziś jesteś?
Czy pamiętasz naszą przyjaźń?

Siedząc w gwarze pod zbyt wąskim niebem
Wciąż wspominam naszą...

23052021

Zima

Mogłeś być obok.

Wychylać nagie ramiona

Nad powierzchnię wzburzonych, morskich fal.

Chwytać spracowanymi dłońmi iskry blednącego słońca.

Mogłeś stać przy mnie.

Muskać wargami niekolory moich oczu.

Odczytywać z błahej głębi sprzeczne myśli i oczekiwania.

Mogłeś uwierzyć mocniej.

Dosięgnąć oddania, które pulsowało w skrawkach moich włosów.

Słuchać szeptów niepewności i pragnienia.

Nad moim ciałem sroga zima

Kołujące wiry nieznanego huraganu.

Mogłeś...

17072021



Franz Marc,
Mädchenakt (1907)

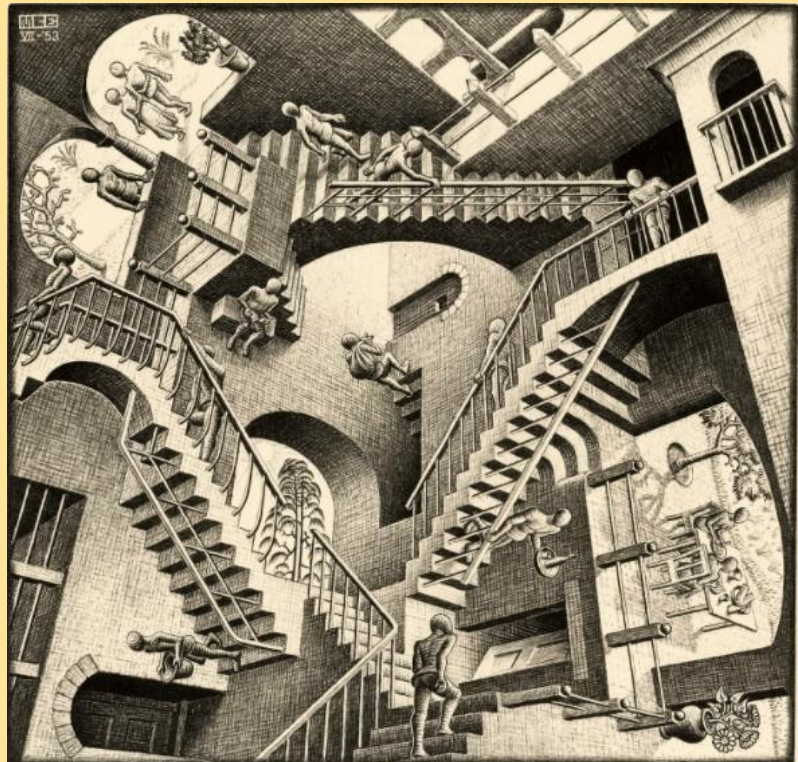
Marysia Wrzeszcz

przy(e)szłość

kiedy mówię o przyszłości
zastanawiam się nad tym
ile w niej piaskownic i zdartych kolan
płaczu który dusi bo płuca zbyt małe
by pochłonąć wieczność
rytmu serca matki której nie chcę
wypuścić wolno jak tych wszystkich świerszczy
ze stoika latem
dwóch ramion wszechświata
których zabrakło gdy spadałam z huśtawki

kiedy mówię o przyszłości
wciąż mam pięć lat
lizaka w gębie
i zbyt wielką przestrzeń
by się w niej nie zgubić

to już przeszłość



Maurits Cornelis Escher,
Relativiteit (1953)

łopatka

retrospekcja czy przemijanie
może po prostu pięcioletni twór
który wierzy w to że świat się zmienia

pół szatan pół człowiek
przekonany o własnej mocy
i niewinności martwych przedmiotów
o istnieniu uczuć dowiadyuje się z radia

w piaskownicy uczy się umierać w sobie
bo jak to tak pokazać komuś
że rusza go skradziona łopatka

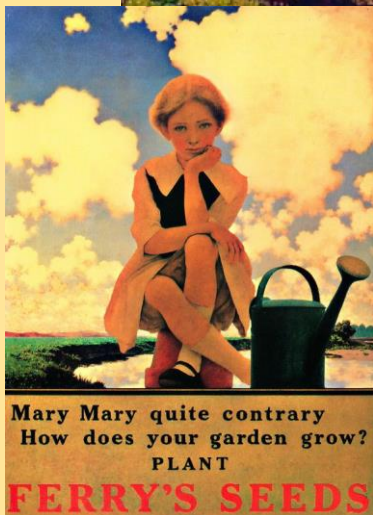
kiedyś zakopie nią własne wspomnienia



Arthur Rackham, *Alice in Wonderland* [frontispis] (1908)



Maxfield Parrish, *Mary, Mary, quite contrary* (1921)

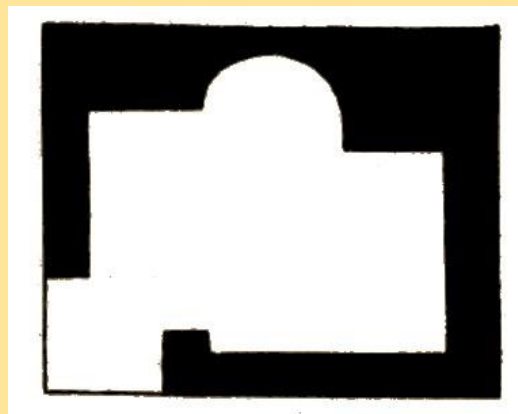


ku pamięci dzieci narodzonych

a więc jesteście
odbijając się od ścian szpitali
między jednym a drugim biegunem
w oczekiwaniu na nowy raj
tabletek przed i po śniadaniu
z receptą na życie by żyć
ale nie tak po prostu
bo tak nie żyje się w kraju za 500+

a więc skoro już jesteście
życie tak jak bóg nakazał
by nikt za was nie żałował
nie wmawiajcie starszyźnie
depresji i prób samobójczych
traumy zrodzonej w dzieciństwie
zakazanej miłości
nie wypominajcie żółtej plamy
na pościeli owianej strachem
łez które ciekły po twarzy
niemocy bycia sobą

a gdy już przeżyjecie
życie tak
jakby wam nigdy
życia
nie odebrano



Władysław Strzemiński, *Kompozycja* (ok. 1927)

krótka historia przemiany

dziś w nocy nie umrze żadne dziecko
studnia nie zapełni się żalem
nie podążę twoimi ścieżkami
będziemy ścigać się kto ma dalej
śpiewać pieśń pod chmurami
na zielonej trawce schowani w motyle
w plamie księżycy obłąkani ciszą
między dwoma równikami
będziemy śnić o kubku ciepłego mleka
od krowiej mamy

dziś w nocy będziemy ludźmi
boso stąpającymi po ziemi
usłanej urodzajem
dziś w nocy będziemy ludźmi
choć nie potrafimy twardo stąpać
i pięty nasze usłane kamieniami

a gdy słońce rozbudzi się
znów staniemy się potworami
pójdziemy na złote rybki
by przypomniały nam o tym
że nic nie było między nami
w nas o nas przed nami
że tylko ślepy kot co przeszedł nam drogę
i przestrzeń i czas
którego nie mamy zbyt wiele

a gdy słońce rozbudzi się
na trawie zabłyśną sztylety

O tym, jak kończą nastolatkiem z moich wierszy

Szesnastoletnia Łucja, o której kiedyś pisałam
w rzeczywistości nie straciła życia ani orgazmu,
a jednak z nocnych wędrówek po ciele
pozostała jej tylko nienawiść do matki, która je dała.

Przy śniadaniu wciąż spogląda w oczy sardynek,
szuka w nich tajemnicy, spojrzenia Innego,
bo tylko Inny wie, co to bezsilność i tylko Inny przewidział,
że lęk przed utratą miłości trzeba rozciąć na kawałki
nim zacznie kiełkować,
że mleko spijane z piersi wypada wyrzygać,
najlepiej przy barze, kiedy podają następnego drinka,
że wypalony papieros oznacza zapomnieć,
że złości nie można wyrazić, bo łamie się tabu
i łamie się wszystko jak kości.

Szesnastoletnia Łucja, o której kiedyś wspomniałam,
każdego dnia staje przed lustrem i krzyczy,
że śmierć i miłość to przecież to samo,
obie są groteskowe,
zupełnie jak ciało.

Wie o tym także Marcin,
ten z utworu o czystych zębach,
a raczej wewnątrz,
higienie wątroby i żył,
które wiją się jak żmije wspomnień
po jego przyszłości.

Oboje wciąż szukają siebie.

Oboje tkwią w moich wierszach wyraźnie,
między słowami spotykając się,
choć nie wiem, gdzie dokładnie.

Oboje wciąż szukają siebie i drogi,
której nikt im nie wskazał,
to nie jest zadaniem poety.



À bout de souffle, reż. Jean-Luc Godard, zdj. Raoul Coutard (1960)

kurz jej pamięci

kiedy ludzie pytają kim jestem
wciąż pamiętam ten spektakl
występowałam w roli głównej
na zdjęciach babci
w przykrótkich spodniach i włosach

ukszałtowały mnie jej wspomnienia
żydzi prowadzeni do gazu
walizka której nie dało się domknąć
pocztówka od mamy
która od czterdziestu lat pachnie naftaliną

ukszałtowały mnie jej słowa
śmierć pedałom
jak miłość to tylko bóg
choć na wojnie go zabrakło
i ojca nie uratował
wybacz matce że jej nie ma
ale to już przeszłość

ukszałtowały mnie jej myśli
pamiętaj o naszej tajemnicy
mówiła lepiąc pierogi
nikt nie może wiedzieć o tym
że nie potrafimy być ludźmi
naucz się grać doskonale

kiedy ludzie pytają kim jestem
wciąż oglądam ten spektakl
nauczyłam się grać doskonale
by nie dusił mnie kurz jej pamięci

Przemek Saktura

XXX

z tramwaju wypadła rura

jeb!

za rurą wyskoczył złomiarz

hop!

przy torach rosną mlecze

ble!

wiosna

drogę czarnemu

przeszedłem kotu

kryzys wieku średniego

kiedy przypominasz sobie
że są tacy którym
płacą za pisanie

o tym że Zidane przytulił
Inieste a Lewandowski
nie podał ręki trenerowi

teenage punkrock lovesong

zrobiłaś mi bałagan w głowie
nie nie jestem ci wdzięczny
nie nic nie jest w porządku

zrobiłaś mi bałagan w głowie
teraz posprzątaj po sobie

może mój burdel to tylko mój problem
może mój burdel to tylko mój ból

zrobiłem sobie bałagan w głowie

wolałbym zrobić tobie





© Derek Ridgers, „Nie jest prawdą, że byłam bita po głowie przez funkcjonariusza Biura Operacji Antyterrorystycznych” (London 1977)

depresja

po nocach nie śpisz bo oglądasz
wykłady o hipotezie Riemanna
i innych geometriach nieprzemiennej
albo o 4.30 idziesz pobiegać
nie wiesz czy poranną tabletkę
wziąć przed snem czy po
na wszelki wypadek bierzesz dwie

nauka ruch leki

czyli jednak
zdrowie?

gwiazdy szczyty gatunki

nie mają jeszcze nazw

lecz już się boimy

że nie zdążymy ich

odkryć zdobyć wytępić

widziałem dziś gawrona

czuwającego przy złożonym

pod drzewem koledze

wykrzykiwał swe czarne skargi

odleciał zagniewany gdy głupi

chciałem zrobić im zdjęcie

ludzie niczego nie uszanują

"non omnis moriar"

wolałabym żebyś to był ty
nad grobem starszego brata
mając dziesięć lat
od matki
usłyszał mój tata

żałuję, że wtedy z tych Niemiec wróciłem
przy rodzinnym obiedzie,
będąc dzieckiem, nastolatką, kobietą
z ust ojca
słyszała O.

(gdyby wtedy nie wrócił nie byłoby jej i jej brata)

wolałabym żebyś to był ty
żałuję, że wtedy wróciłem

A gdyby cię ten tramwaj przejechał?

To byłbym przejechany

Bierny

Dokonany



Paul Delvaux, *Le Tramway, Porte Rouge, Ephèse* (1946)

Patrycja Pankau

Samospalenie

Gasnę

Choć pragnę płonąć

I serce chce iskrzyć

A nie może

Spalam kwiaty jamajskich traw

Ich ogień to jedyne światło

Elektryzujące blask

Przepalanej żarówki

Spokojnego ducha

Ulatniają się trucizny

Filtrują moją atmosferę

I czyszczą z pierwiastka marności



Mu Qi, *Wioska rybacka w blasku poranka* (XIII w.)

Na zawsze

Uśpij zegar.

Tak, by skończył się czas,

Sakramentalnie związany z przestrzenią.

Niech ta moc wniknie w nicość,

Rozpuści się w niej

I nie przeszkadza nam już więcej.

Unicestwij powietrze.

Tak, by skończyła się przestrzeń,

Sakramentalnie związana z czasem.

Niech tlen i ozon osłabną,

Zaprowadzą nas do próżni

I nie postarzą nas już więcej.

Zabij śmierć.

Tak, by skończyły się i czas i przestrzeń,

Sakramentalnie ze sobą związane.

Niech nastanie NASZ sakrament

Jedyny prawdziwy na zawsze



Giorgio de Chirico,
La nostalgia dell'infinito (1912-14)

Dzień dobry

Swąd zabitych iskier sympatii

Ulatnia się z tęczęwek

O błękie Oceanu

Arktycznego

Ścieranie się, destrukcja głosu

Szorstkość wyschniętego mchu

Wygasanie oczu

Chrobotanie strun głosowych

Wycedzenie „Dzień dobry”

Obrośnięcie zwiędłego serca

Lodem

Zamilcz



Jackson Pollock, *Number 1A* (1948)

Emilia Kuczmaja

A N A

Wyszło kiedyś dziewczę,
spod pędzla Rubensa.
Krągłe, młode, jędrne
tłusta żarta świnia.

Dziewczę jakich wiele,
lecz bardzo samotne,
żywąc w swoim ciele
niczym twierdzy tłustej

tłusto jadło dziewczę,
syte spać chodziło,
„Chyba wezmę jeszcze”
zwykło mówić jedząc.

Strojne było dziewczę,
kochało sukienki,
„Szkoda że za małe”,
zwykło mówić mierząc

(szkoda że nietęgę).

„Szkoda że za małe...”
powtarzało rycząc,
jednak zza zasłony
nic nie było słychać.

Skryte w przymierzalni
szczypało się w sadło,
okręcało w kółko,
przeklinając ciało.

Lustro
lustro
lustro!

Oczy się gapiły
na przeżartą dziewczę.
„Nie jesteś za gruba,
to przeciętny rozmiar”

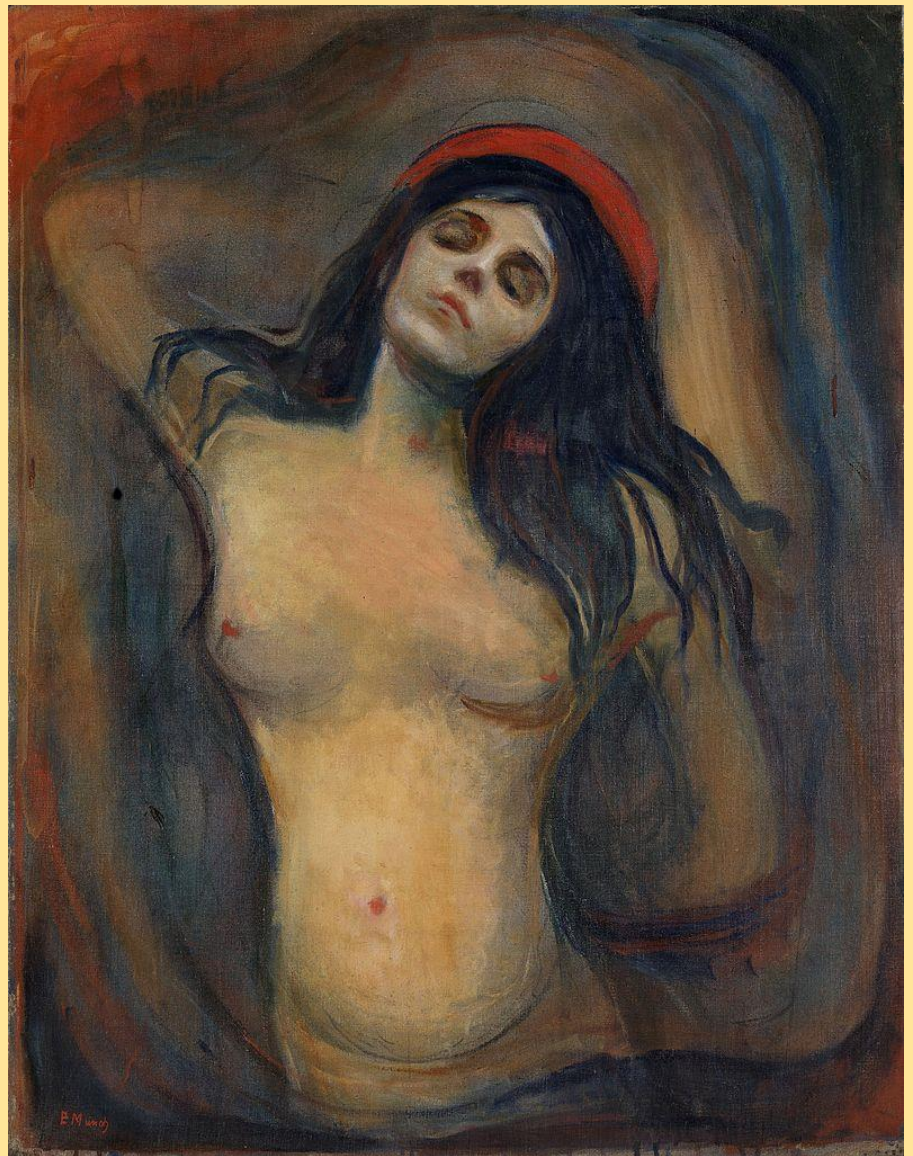
CYFRY CYFRY CYFRY

„Jeszcze jedna porcja?
Bądź ostrożna damo,
nawet nie dostrzeżesz,
zawiąże się sadło”.

„Jesteś dość wysoka,
masz ciało atletki
gdybyś tylko schudła...
Och, byłoby pięknie!”

Za dwa dni na dietę,
a może za miesiąc?
Zacznę od pierwszego!
– Powtarzała chłonąc.

*(Nigdy nic nie wyszło,
zawsze będziesz świnią.)*



Edvard Munch, *Madonna* (1894-95)

Matka świni również
dużo jeść lubiła,
potem była gruba,
później się głodziła...

„Jeszcze jedno ciastko?
Jeszcze trochę sosu?
Ależ jedz! Na zdrowie!”
Gadał ojciec prosięciu.

„Po prostu myślałem,
że znów się odchudzasz.
Jedz, jedz,
moje maleństwo”.

Mimo łez wylanych,
mimo stosów ubrań,
z których żadne zbyt duże,
żeby schować kołdun,

ach... Był taki dzień...
Inny był od reszty.
Dziewczkę wpadło w bagno,
taplało, męczyło,

Miłość, świnio...

Miłość...

Ale miłość rzecz nowa,
inne karmi żądze.

Czy słyszałaś, świnio,

O Julii Golonce?

*Czy słyszałaś, dziecko
O śpiącej królownie?
Ukłuła się w palec
Śpiąc na czczo miesiące.*

Ach... jak pusto w ciele.
Ach, jak pusto w duszy.
Księżę nie chce świnki.
Świnka chce już umrzeć.

„Nowy rok, nowa Ty,
szukaj dalej, nie tutaj”,
odparł oblubieniec,
trzymając się mopa
(otwierając drzwi).

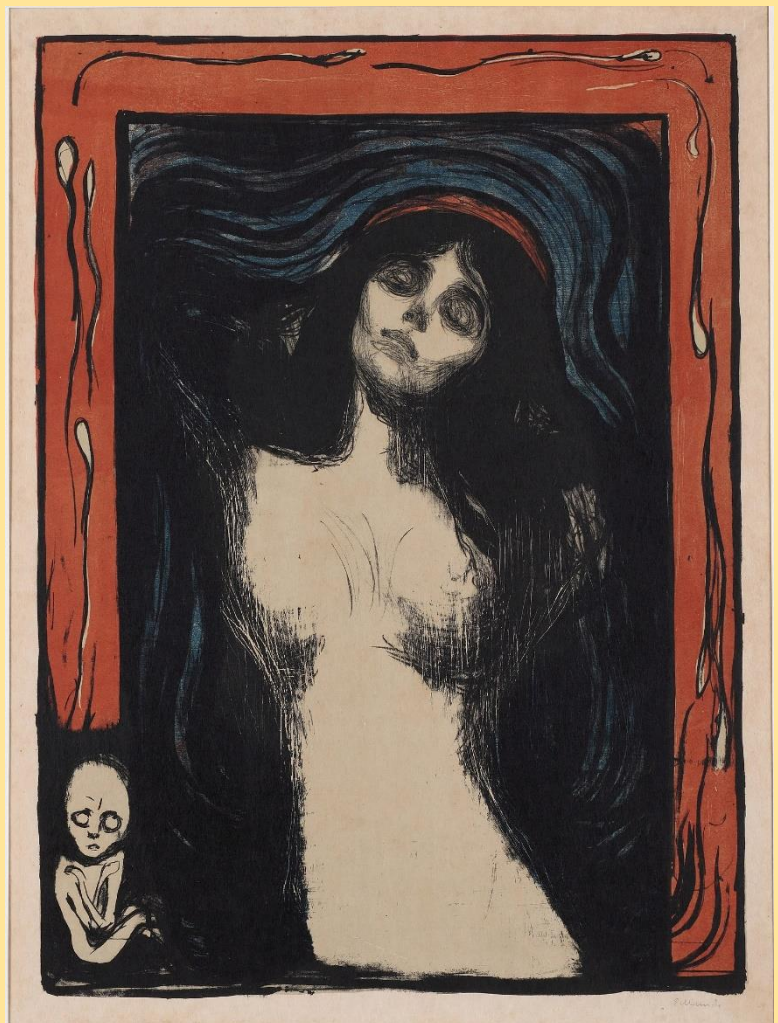
Wyszła świnka twardo
(tylko nie panikuj).
Po piętnastu metrach
coś w Tłuszczoncie pękło.

Szlochała jak stara,
miotając się w mrozie,
dławiła, przystawała...

To musi być sen...

Musi...

W embrionalnej pozie,
targana czarami,
zapadła się w sobie.
„Głosy, głosy, głosy!
Niech ktoś mnie wyłączy...”



Edvard Munch, *Madonna* (1895-1902)

„Czarne morze,
Cienista toń indygo,
niech mnie wessie,
niechaj ściągnie na dno...”

Umarła.

Mijały miesiące,
minęły dwa lata.

Ho ho...

Dziewczyno,

jakaś ty,

ładna?

Jaka,

doskonała...

Dobrze sobie radzisz.

Mamy jeden cel,

Pamiętasz?

3

2

1

znikasz.

Po dziś dzień tak znikam.

Choć ciągle mnie widać.

Niby cień, niby słońce,

niby stare minęło,

niby wszystko już dobrze.

A jednak,
ściąga mnie na dno
blask z kuchni,
gdy otwieram białe drzwi
L.

Gdy czas na Ś.
Gdy czas na K.

Ale przecież jem.
Przecież widać.

Wrzecziono.
Letarg.
Może kiedyś książkę.

*Kaloryczne marzenie.
Nawet jak na Świnię.*



Edvard Munch,
Gråtende akt (1913)

O północy w Paryżu

Jak XIX-wieczna ulica
W deszczu i światłach gazowych latarni
Tłuczona podkową, kołem i obcasem
Smagana wiatrem, ścierana szalem, taftą i atłasem
Była twoja twarz

Dwie bramy dyszały mrokiem,
To nie był dobry rok,
Nadobna turystko, podróżniczko w czasie
Co zamieniono w królewne
Tylko na jedną noc

I pomyśleć, szalałaś jak driada w objęciach Fauna
W dionizyjskim szale
Pochłaniałaś słodkie winogrona
Ach kochanie!
Szkoda.
Wielka szkoda.

I nie chodzi o szal
Owinięty około karocy,
Którą wracałaś do domu.
Nie uchodzi rozdrapywać ran,
Tak tylko,
Zwyczajnie mi żal
tego pantofelka
co poranił ci stopę
Bo się potknęłaś w biegu
I nie zdążyłaś

U _ _ _ C.

Ten kto go ma
Pewno już go sprzedał
Uprzednio wytarłszy zeń krew
Przerobił na anegdotę
O beksie co wstydzi się pieścić
Bo jak pyszczki białych koźląt ma piersi
I sterczące zębra.

Niby maska co wyłania się z cienia
Czerwona, oblana światłem
Nie gazowych lamp lecz ognia
Wychodzi zza kulis bosa tancerka

Podkładasz jej nogę
A ona niczym dym kadzidełka
Wznosi się w górę, rozptywa
Pod reflektorem ciepłym jak ręce Boga
Akuszera dusz ludzkich gdy ustaje oddech

Na zewnątrz ziąb.
To nie był dobry dotyk.

W deszczu i i światłach gazowych latarni
Tłuczona podkówną, kołem i obcasem
Smagana wiatrem, ścierana szalem, taftą i atłasem
Jest dziś twoja twarz.

Wieża Eiffła odbija się w bramach
Głębokich i zimnych

Spragnionych ofiar z ludzi
Wygłodniałych paszcz

Wieża, której nie dane było ci zobaczyć
Tego dnia
Gdy zabrał cię nocą na spacer
Po stolicy miłości
Dla ciebie wtargnął do bram
Odlany ze stali królewicz
Dla twojej rozkoszy
A ty głupia
Nie podziękowałaś
Za chwilę duchoty
Za trochę sadzy na białej bieliźnie
Za strzałę amora wbity tak głęboko
Że pękło ci

Nic z tego nie zostało.
Sprawdzałaś to wielokrotnie.

Wyjechałaś stamtąd
Nie zostawiłaś listu
Nie przywiozłaś zdjęć

A gdzieś tam pod niebem
Stoi figura ze stali
Pierwsza w alfabecie litera
Pierwsza jaką widział świat
Jasna i piękna tak,
Że gwałtem się wdrze
Choćby do sutereny
I zabłysczy kryształ w kąciku

Zrobi piruet
Podskoczy, zadźwięczy
Rozbryzgawszy w drobny mak

Gdzieś tam pod niebem stoi wieża ze stali
Mali ludzie robią sobie dziś z nią zdjęcia
Gdy ja widzę ją z każdego okna,
każdego piętra
Z każdego skweru
Z każdego wzgórza
Na środku każdego morza
Pod wodą

Pod ziemią.
Słyszę stukot obcasów
Odległych o dwieście lat
czasem i tysiąc
I ani chwili więcej.



Joaquín Sorolla y Bastida,
Paseo a orillas del mar (1909)

Ulga cykliczna

Jeśli boli cię ręka
Nożem kuchennym nacięta
Nad kurhanem z jarzyn
Posyp ją solą
I przypomnij sobie bezmiar rozkoszy
Krwi słodkiej jak białe buraki

Jeśli razi cię lampa zwieszona nad łóżkiem
Poczekaj na ranne słońce
I wpatruj się w nie jak w bóstwo
Co wypala oczy
Odbiciem dygocące po wszystkich
Na co później patrzysz

Jeśli sobie przypomnisz
Stęsknione usta wampierza na szyi
I próżnię w żyłach do utraty myśli
Włącz sobie piosenkę
Której słuchałeś z potworem
Z lat tak odległych
Tak pierwotnych
Niepiśmiennych
Aż poczujesz ulgę
Że wszystko poskromisz
Nawet śmierć duszy.

A kiedy to wszystko pojdziesz
I spieszysz między skroniami

To znak żeś się obudziła
Po to by móc umrzeć.
Moja stara
Pomarszczona
Białowłosa
Przyszłości.

Człowiek tyle razy odchodzi
By nie pamiętać
Że już kiedyś to robił
I jeszcze przeżył nieszczęśnik.

Z tego wszystkiego najlepsza jest zupa
Z jarzyn
Nowalijek
Kolorowych korzeni.

Bądź pozdrowiona
O, Naiwności nietrwała jak smuga
wszędobylska jak dym
ludzka.



Francis Bacon, *Figure Study II* (1945-46)

Neandertalczyk

Kto się pomodli za neandertalczyka
Śpiącego pod wieczną zmarzliną?
Kto się odważy kupić dlań kwiaty
Ze świadomością, że nigdy nie zgniją?
Kto się odważy nie stawiać mu krzyża
Nie wzywać imion bogów przyszłości
Nad kośćmi człowieka którego rzęsy
Skrywają najstarsze na świecie oczy.
W którego głowie hulają wizje
Tęczowe jak zorze i białe jak szczyty
Kto się odważy
Nie wstawiać go do muzeum
Nie czesać mu włosów
Nie pobierać zeń próbek
Dla kolejnych?

Przywracać do życia nieśmiertelnego?
Kto się odważy?
Głupiec.
Idiotka.

I wiesz Kochanie,
Są takie jaskinie
Gdzie ściany pokrywa pigment

Oszczepy z ochry wbijają się w trzewia
Spłoszonych stad,
których kształtów nikt
nie pamięta

Czasami do nich zaglądam.
Niczego nie dotykam.

Dając spać im
I sobie.

A już na pewno
Nikogo nie wskrzeszam
Choćby miał najdłuższe z rzęs
Spojrzenie tęczowe jak zorze
Daję mu spać.
I sobie.

Nie zawrze krew w lodzie
Nie zadrży serce
W wiecznej zmarzlinie
najzimniejszej pod żebrem.



D. Rodríguez, *Bisonte Magdalenienese policromo* (Museo de Altamira, fot. 2010)

WYBORY

są sny straszne jak żywe złośliwe
odlew krzyku w poduszce
myśli wąskie i kadry
szpilki w mostku
lobotomia, druty
– ich nie widać.

i jest zupa.
zrobiłam ją sama.
parzy, paruje, pachnie.
wypełnia, bulgoce.
rozgrzewa brzusek.

– ją? widać

i ja wybieram zupę.



Paul Cézanne , *Nature morte à la soupière*
(1870-80)

Modlitwa do Mnie'Samej

Żebym pachniała jak skoszona trawa
I świeżo otwarta paczuszka kawy
Żebym tuliła siebie tak, jak otula mnie matka
Bez cienia zimna spod ciemni mojej głowy.

Żebym gnała z myślami, jak ze swoim stadem
Cwałującym tabunem różnobarwnych koni
Co podnosi tuman tak gęsty, że ślepniesz
I na przemian, znika, to pojawia się znowu
na równinach jak duchy.

Żebym
Nie śniła żyjąc, i nie żyła śniąc
By się obraz baśniowy nie mieszał z nauką
A czasem tylko, gdy zaboli ząb
Dobra wróżka przysłała do mnie z zaparzoną szafwią
Powracając do lustra na resztę długich godzin.

I przede wszystkim,
(co jest najtrudniejsze)
Żeby moje Żebym nigdy nie wygasto
Na więcej niż jedną dobę.
Bez mojego Żebym jest zupełne nic
Nie ma Źródła, Morza i Wolności.
A ciało jest z wody.

Aleksandra Hallmann

Atrament

Zalej moją twarz atramentem.

Nie pozwól najmniejszemu

fragmentowi

pozostać czystym.

Nazwij mnie historią

i zabierz z rzeczywistości.

Spójrz w oczy zalane

i dojrzyj trzon tej narracji,

przędącej nici z szorstkim

furkotem.

Oblej mnie atramentem

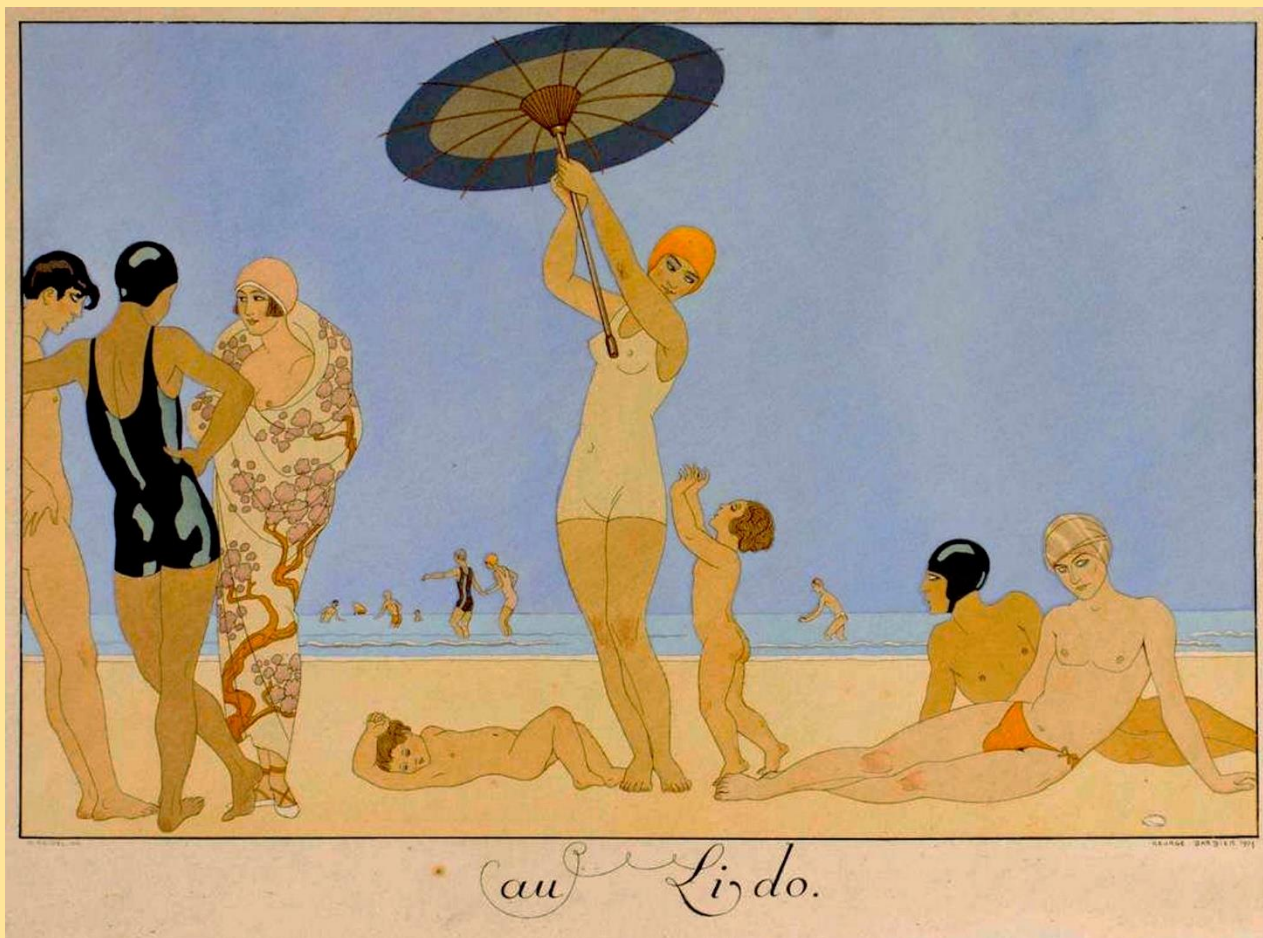
i wyczytaj znaki.

Może w ten sposób osiągniesz

kształt mojej duszy.



The Pillow Book, reż. Peter Greenaway, zdj. Sacha Vierny (1996)



Geroges Barbies (ryc. Henri Reidel), *Au Lido* (1920)

Bałtyk

Przemóżna nostalgia

brzegu Bałtyku

i różowe niebo

Słońce znów nurkuje

niepokojąco szybko

W mojej głowie tęsknota

na przemian

z porno

Obserwacja gwiazd

Cyknie świerszczy.

One i szorstkość desek werandy,

Która otulając nasze plecy

Stróżowała nad obserwacją gwiazd.

Z wnętrza domu bije inny blask.

Rozmigotany, ognisty ekran telewizora.

Spójrz. te gwiazdy nad nami –

Możliwe, że już nie żyją.

Dziwi mnie rzeczywistość i czas,

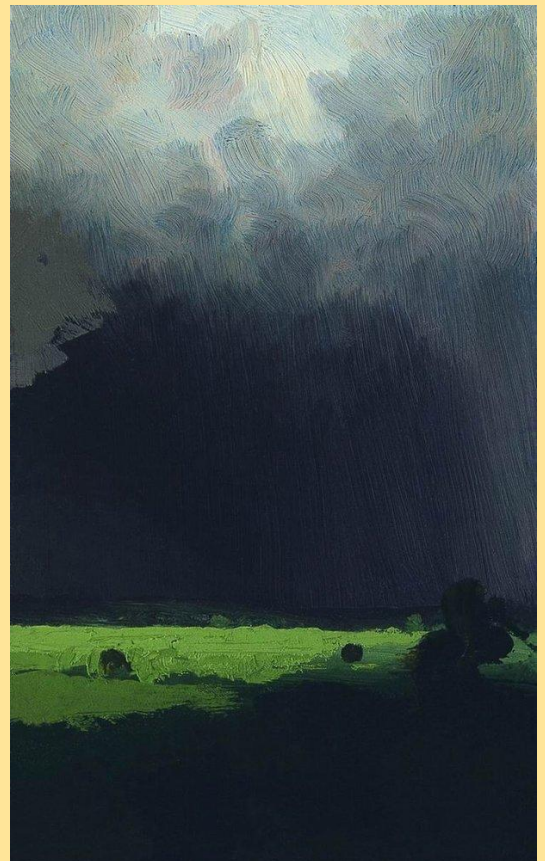
Gdy tak wzdycham do dziejów przeszłości

I myślę sobie:

Może i tej werandy już nie ma.

Może i gdy patrzę na twą twarz,

Ty już dawno przeminąłeś.



Архип Иванович Куинджи (Αρχίπ Κουίντζι),
После дождя (ок. 1879)

Szukasz mnie?

Szukasz mnie?

Kołyszę się między snami

Gdzie samotne wyspy gruchocą się o siebie

I wnikają w czarną toń

Jestem gdzieś między Ziemią, a Marsem

Brak mnie w łazience, gdzie w lustrze

Widać moje odbicie

Dryfuję między Uranem, a Neptunem

Coraz dalej i zimniej

Zamrażam tęsknotę

Już planety Ziemi widok

Zbyt mnie przerasta

Spoglądają oczy wielkie

Moich słabości, wspomnień

Czynów

Szukasz mnie?

Szukaj mnie w przestworzach

Moje serce już dawno jest wśród

Latawców i gwiazd

Mój duch oddaje się niewinności kosmosu

Nie umiem zejść na ląd.

Patryk Miąskowski

Piszę wiersze

Zdarza mi się pisać wiersze,
niezłe, wprawdzie.

Choć te pierwsze były śmieszne,
proste w składzie, niebrzemienne.

W sensie – puste prawie.

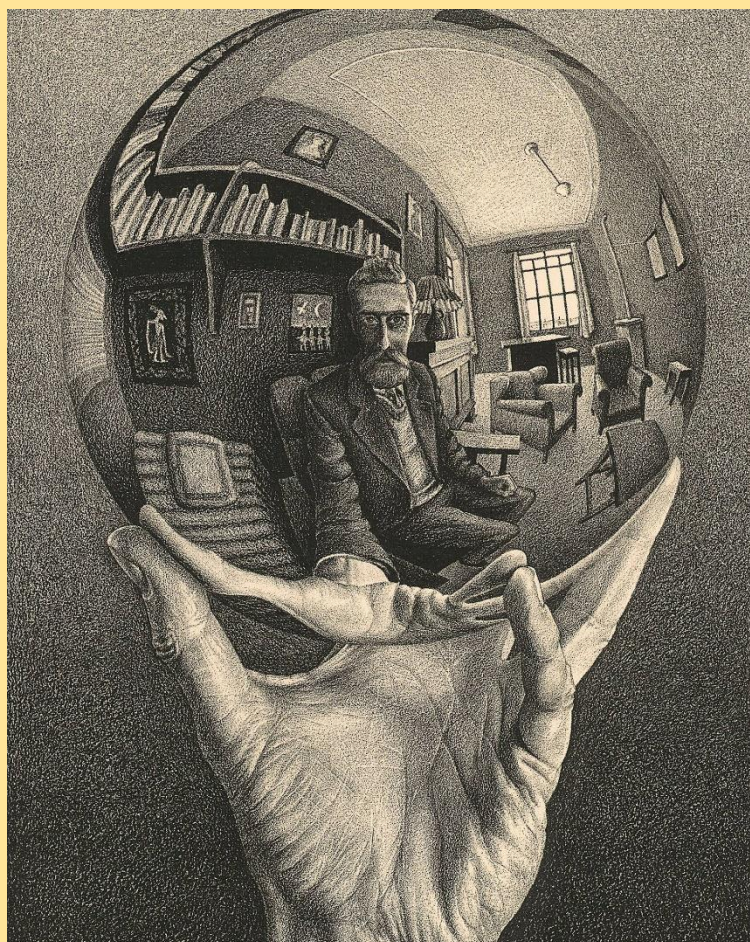
Niepoprawne prawnie.

Dość wulgarne, wszakże
złość mnie jara strasznie.

Jak gitara w szafie płonącej
gra. Jątrzę w sobie emocje.

Złość napiera na kark.

Ja tylko gwizdzę pod nosem.



Maurits Cornelis Escher,
Hand met reflecterende bol
alias
Zelfportret in sferische spiegel (1935)

Wolnym być?

Czymże jest wolność?

Wie tylko ten, kto jej posmakował.

A ten kto jej nie zaznał?

Jest jak język wadliwy.

Co nie działa poprawnie,

tylko gorzkie i słone odczuwa smaki.

Jak pies na łańcuchu.

Co nie pomyśli nawet,

jak piękne życie toczą wolne wilki.

Jak królik zrodzony za szkłem.

Co nie zazna nigdy

zajęczego pędu wśród gęstej trawy.

Jak głos wewnętrzny.

Co pomimo starań

nigdy nie zazna, jak jest być na zewnątrz.

Czy to źle? Czuć smak, chociaż jakiś?

Jak pies i królik być pod czyimś skrzydłem?

Jak głos wewnętrzny móc przeżywać emocje?

Zależy. Bo każdy jest inny.

Jednemu wystarczy bieg torem.

Drugiego ogranicza horyzont.

Magda Anna Sajewicz

9

Jej czerwona sukienka zmieszała się z kolorem dzikich róż.

Sekrety zakopane pod osiedlowym krzakiem

już na zawsze miały otaczać się czernią.

Jej głos niósł się przez 9 pięter ludzkich historii,

w których główną rolę odgrywała zupa wiśniowa.

Stałam w tym miejscu, w którym kiedyś zaczynałam swoją pogoń za motylami.

Trawa trochę podrosła, a mimo to, nadal wołam przez 9 pięter ludzkich historii.

Dzisiaj zamiast krzyku, zwracam Twoją uwagę ku sobie pokorną Miłością,

Którą karmisz zupą wiśniową.

Wymienili huśtawki.

Odkopali sekrety.

Mała dziewczynka dorosła.

Oświadczenie

Uroczyście oświadczam, że rezygnuję.

Zrzekam się wierności wody,

na każdym krańcu świata oddając

swój ostatni oddech.

Ofiarowuję Tobie moją śmierć –

pierwszą rozmowę z Bogiem.

W popiele składam rachunki wystawione żalem,

Pustymi obietnicami, pominiętymi planami.

Wybieram Życie.

Kocham Cię

Kocham Cię tyle lat,
Na przekór wszystkiemu, w co wierzę.
Może to już dziesięć lat,
A może dwadzieścia – nie wiem.

Zmieniłam wszystko po wiele,
By jeden raz z Tobą już być.
Przy Tobie, o Tobie, dla Ciebie,
Przez deszcze, tęsknoty i mgły.

Zrezygnowałam z siebie, by móc sobą się stać.
Umarłam w ciemności i ciszy,
Wydarłam z serca Twą twarz.

Lecz czasem Wiatr mnie odwiedzał,
Niosąc w me progi Twój śpiew.
Splątało się, zmierzchnęło – gdzie Ty, a gdzie ja.

Wychodzę do Ciebie w pół drogi,
Z nadzieją powierzam Ci „teraz”.

Czy przyjmiesz, docenisz, udźwigniesz?
A może na zawsze pominiesz...



Erich Heckel, *Maja* (1907)

Kwadratura koła

Akcja! Działanie! Czas start!

Masz trzy życia, czarny kot powstał z martwych.

Wstajesz, podchodzisz do drzwi, 3 -2 -1 – TERAZ.

Rozglądasz się. Powinno się coś stać,

Jakiś huk, może trzask, ruch, wielki coming out!

Idziesz, niepewnie.

Czekasz na grom z ciemnego nieba.

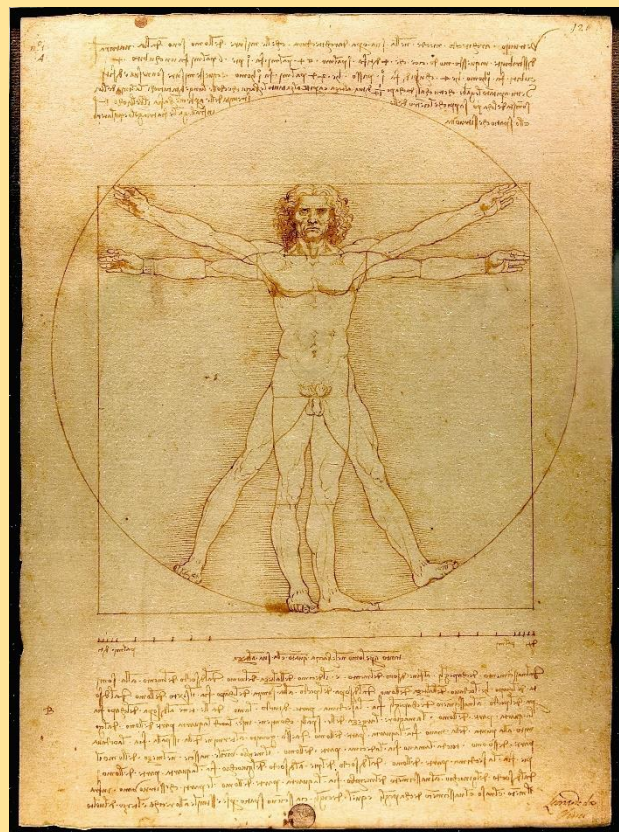
Dzieje się nic.

Musisz żyć.

Jak?

Cisza. Idziesz dalej.

Over and over again.



Leonardo da Vinci, *L'uomo vitruviano* (ca. 1490)



EPIGRAMAT

Franciszek Sobiech

Haiku

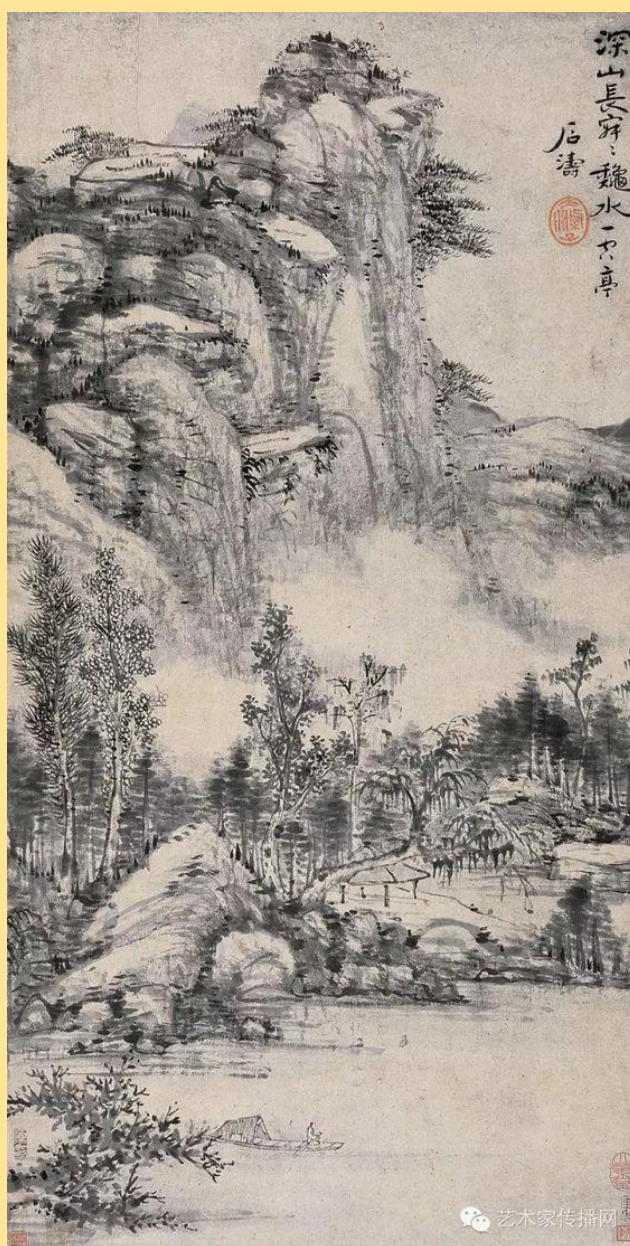
still asleep sound of siren should I

we exist
and we need
only a cup of tea

between the new
what it remembers
an old building

train stopped
I can walk now
lucky me

ptasia rozmowa
odłożyłem książkę
podstuchuję



Shitao /Zhu Ruoji/ (XVII w.)

Julia Kobro

Limeryki

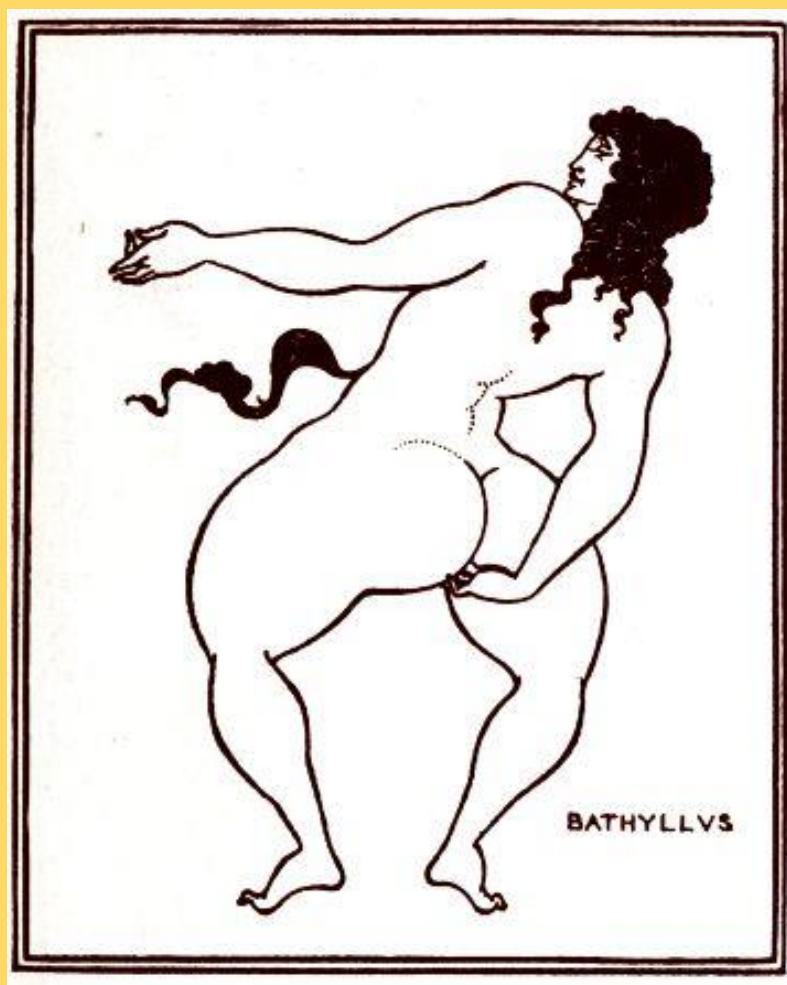
Pewien rzeźnik z Olszynki
lubi małe dziewczynki.
Do zakładu je zwabia,
na wędliny przerabia.
Może zjadasz je w plasterkach szynki? :-)

Pewien Ahmed z Benghazi
ładunek se w tyłek wraził.
A że wyjąć go nie mógł,
to na długo zaniemógł.
Aż przyjaciel go w końcu wysadził.

Raz Rustem z Dagestanu
zaprażył miłości panów.
Lecz wioska była pusta,
wszyscy strzelali do Ruska,
wychędożył więc stado baranów.

Remigiusz z Rembertowa
swą matkę molestował.
Choć śmierdziała staruszka,
wciąż jej włożył do łóżka.
No a ojciec? – Nie protestował.

Krystyna, lekarka z Radości,
na portalu szukała miłości.
Lecz żaden z zalotników
nie znał obcych języków.
Umarła więc w samotności.



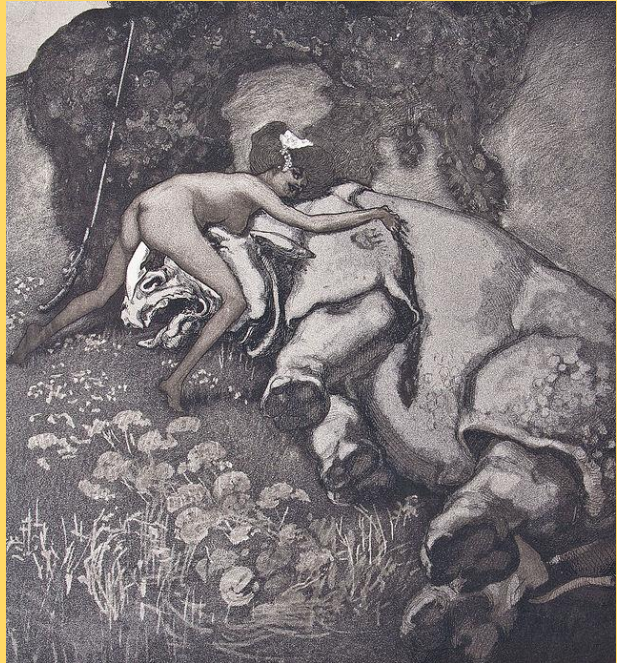
Aubrey Beardsley, *Bathyllus Taking a Pose* (1896)

Włókniaarka z Żyrardowa
nie znała słowa „odmowa”.
Dla niej kierownik zmiany
był jak dla chłopa „pany”.
Aż nastała Polska Ludowa.

Z Wrocławia SS urszulanka
nie znała słowa „skrobanka”.
Zrobiła ze swej macicy
dar dla Maryi Dziewicy.
Nie to, co jej koleżanka.

Kirył, urzędnik z Moskwy,
Był wobec córek swych oschły.
Zamiast na jazdę po świecie
Zezwalał na surfing w Runecie.
Lecz nawet stamtąd infekcję przyniosły.

Anton ze Lwowa, co służył w Donbasie,
chciał wiadro z wodą zawiesić na kutasie.
Choć biedził się i srożył,
wodę wylał, wiadra nie założył.
I wciąż krzyczał: Bład', nie da się!



Franz von Bayros, *Die Nashornjägerin* (1907)

Zamiasty

Zamiast klócić się z rodziną,
wolę bitwę pod Lenino.

Zamiast ćwiczyć mięśnie Kegla,
wolę nocą czytać Hegla.

Zamiast o przyziemnych celach,
świętuj Dzień Nauczyciela

[Przed kriokomorą...]

Przed kriokomorą w dzień randomowy

kobiety toczą takie rozmowy:

Pani taka raczej sucha,
a ja mam już kawał brzucha.

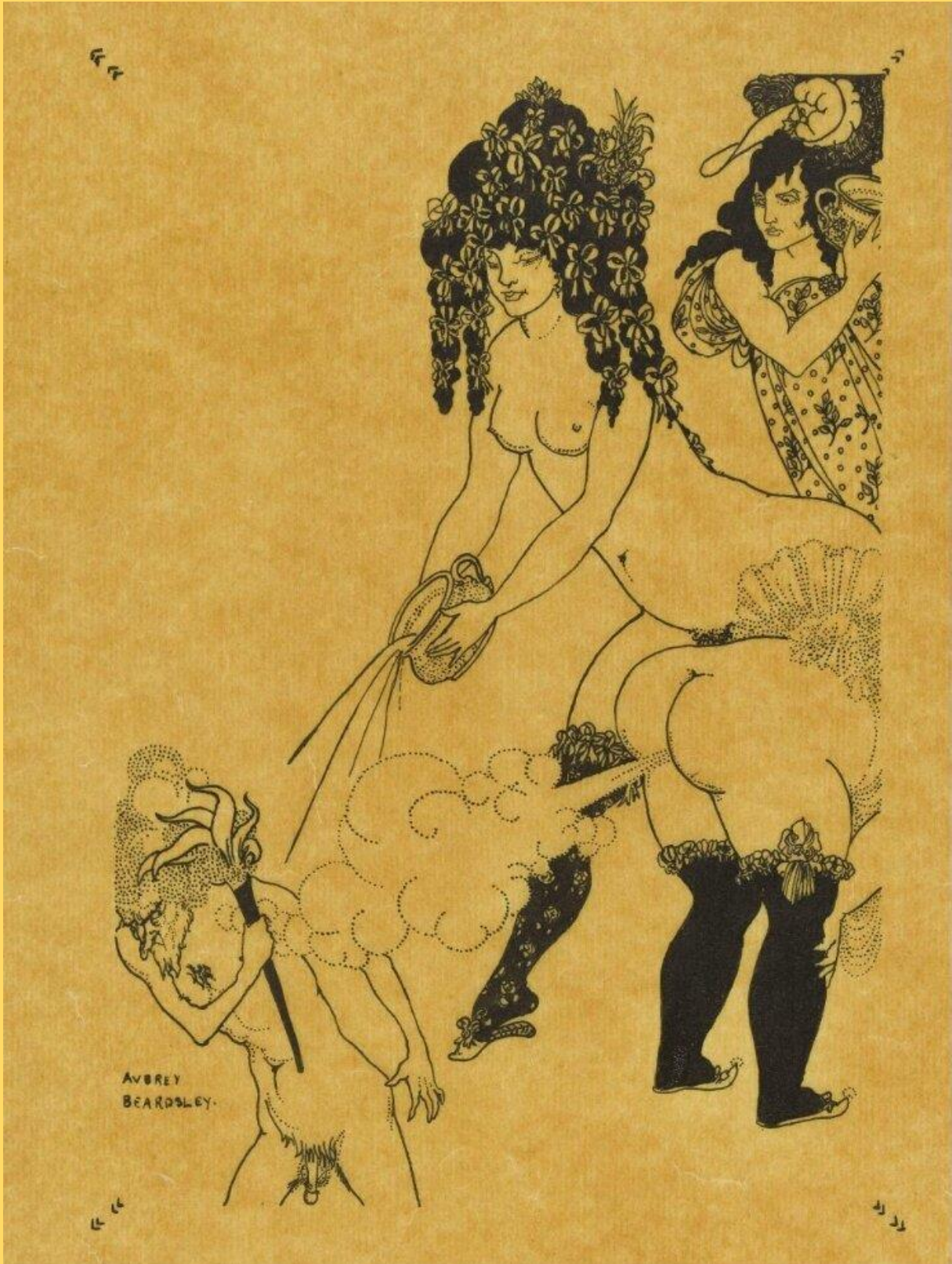
No i włosy przeredzone,
czeszę je na jedną stronę.

Pani taka raczej gibka?

Ja też kiedyś byłam szybka,
to i pranie porobiłam,
posprzątałam i poszyłam.

Ale teraz nie to zdrowie.

Niech no pani coś odpowie!!!!



Aubrey Beardsley, *Lysistrata Defending the Acropolis* (1896)

Przemek Saktura

Trudna miłość do kolarzówki

[sześciosłownik // *six-word story*]

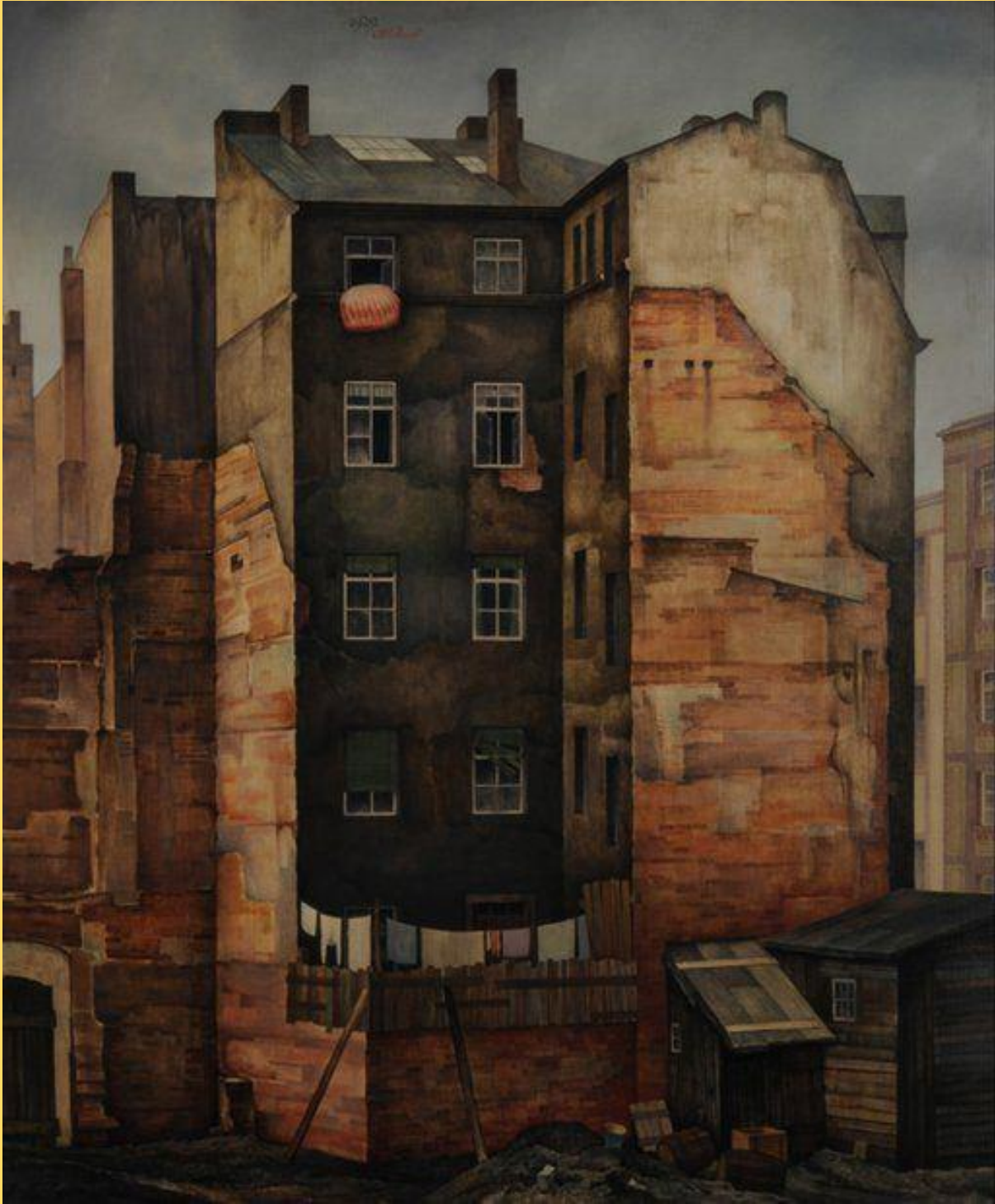
Ona zaczepla krawężniki,
mnie nokautują chodniki.



Наталья Сергеевна Гончарова, *Велосипедист* (1913)



PROZA



Franz Lenk, *Berliner Hinterhäuser* (1929)



W STRONĘ LIRYKI

Magda Piotrowska

Długi lot w dół

Woda pluska pod białymi, za dużymi kaloszami. Powieki wydają się zbyt ciężkie, determinacja wypływa ze mnie z każdym oddechem, oddalając się w postaci wątlej pary. Tłumi ją wilgotna maseczka, obrzydliwie ocierająca się o usta. Zimne krople spadają z blaszanego sklepienia i rozbryzgują się na białym blacie stołu lub nikną w przykrytych cienkim czepkiem włosach. Kap. Kap. Kap. Nieustanne jak ból w moich nogach i ramionach.

Szum maszyn wybija niepokojący rytm, nie mogę pozbyć się tego szumu z głowy. Wózki szurają po hali, a ich operatorzy trąbią nieoczekiwanie. Kakofonia dźwięków sprawia, że robi mi się niedobrze. Przytłumione zimne światło daje dziwną poświatę, przez co czuję się, jak w niekończącym się koszmarze. Palce przemarzły mi w grubych rękawicach. Kap. Kap. Kap. To cholerne kapanie.

Mimo wszystko najgorszy jest smród. Przesiąknięte śmietanowo-koperkową przyprawą powietrze wdziera się we mnie, jak trucizna. Drobinki ciężkiego, chemicznego oparu wnikają w moją ledwie wystającą z morza bieli skórę.

Nie jest przecież tak źle, ludzie tak pracują. Powtarzam sobie uparcie, starając się ignorować nacierające na mnie dźwięki. Kap. Kap. Kap.

Wyobrażam sobie, jak zdieram z przedramion niebieską folię, odrywam od palców lateksowe rękawiczki razem z materiałowymi i rzucam na stół, nie zważając na serty pomarańczowej ryby. Oznajmiam stanowczo, że kończę z tym, nadaję się do większych rzeczy niż sortowanie lososia i nie będę gnęła na tym wysypisku ambicji ani sekundy dłużej. Przez moment widzę zdziwione oczy, rozwarłe w rozdrażnieniu usta pracujących obok kobiet. Kap. Kap. Kap.

Nie oddaję im sprawiedliwości, bo nie mogę się zdecydować, czy je podziwiam, czy darzę niechęcią. Wstają rano, szykują śniadania dla swoich dzieci i wychodzą, zanim te się obudzą. Wracają wieczorami, akurat by zjeść z nimi kolację i wysłuchać ich westchnień. Pracują ciężko, bez narzekania. Znajdują czas, by plotkować, spiskować i podnosić z podłogi strąconą przez nieuwagę rybę. Wiodą życie odliczane równomiernym kapaniem z sufitu i tacami ułożonego lososia. Mogło

być gorzej. Nienawidzę tego stwierdzenia prawie tak mocno, jak tego miejsca. Zawsze może być gorzej; to nic nie znaczy.

Wytrącona z zamyślenia próbuję odkleić uparty kawałek mięsa od pokrytej dziurami tacy. Darzę tę rybę nieuzasadnioną nienawiścią. Jakby moje położenie było jej winą. Nie cierpię rytmu fabryki, jej bezosobowości, smrodu i hałasu. Nie pozwalają mi malować paznokci i ust, mam im to za złe.

Za każdym razem, gdy wsiadam do zakładowego autobusu, ubrana w blade światło, czuję się jak ptak obdarty z skrzydeł. Były moją dumą. Nie było z nich dużego pożytku, ot ozdoba, ot nadzieja. Sądziłam, że kiedyś będą w stanie unieść mój ciężar.

Teraz myślę, że to wszystko było mrzonką, a w zderzeniu z twardą i zimną rzeczywistością okazałam się bezużytecznym kanarkiem, który wraz z wolnością od złotej klatki upada podczas pierwszego podmuchu wiatru. Nie upadłam jeszcze, utrzymuję się w powietrzu, ale nie posuwam naprzód. Dla mnie to jak lot w dół. Myślę, że to wszystko było kłamstwem i tylko to zimne kapanie jest prawdą. Nie lubię tak myśleć. Kogo obchodzi, co myślę? Kap. Kap. Kap. Kap. Kap. Kap. Kap. Kap. Kap.

Podnoszę wzrok, by ujrzeć sześć białych rękawów, okrytych niebieską folią, pracują tak szybko. Każda z sześciu dłoni porusza sześcioma palcami. Właścicielka rąk patrzy sennie spod ciężkich powiek, jakby horrendalna liczba kończyn pracowała bez udziału jej woli. Skupiona na liście zakupów i planach na obiad. Wypełnione sześćdziesięcioma kawałkami łososia tacki fruują wokół mojej głowy. Z brzękiem, ze świstem, z mokrym odgłosem kapania.

Patrzę ponad głową zamyślanej maszyny na zieloną tabliczkę. Za każdym razem, gdy na nią zerkam, słowa ustawione są w innym porządku. I choć bardzo się staram, nie wiem już, czy każą mi uciekać, czy zostać.

Białe myszy zgarbione zagląдают mi przez ramię. Ręce mają zbyt długie, wyciągnięte. Czuję na sobie ich wąskie oczy. Kroki ich są takie ciche jak kapanie. Kap. Kap. Kap.

Deszcz śmierdzący rybą i fabryką pada mi na łeb. Pot fabryczny, łzami zakrapiany, cuchnący łososiem i trudem. Ohydny jak dźwięki. Nieustanny szum wentylatorów, szuranie wózków, loskot tacek i ryk klaksonów.

Twarze pracujących tam maszyn, bez względu na pleć i wiek, nie różnią się niczym. A może nie widzę ich twarzy przez te chirurgiczne maseczki. Tylko oczy błyskają jak latarnie na morzu bieli. Karki uginają się, jakby były stworzone do patrzenia pod nogi.

Grube ryby z kapitalistycznym uśmiechem przemierzają obszerne hale. Jakby tuczył ich sam widok pracy. Swoją niekończącą się głód zaspokajają pejzażem mechanicznej roboty,

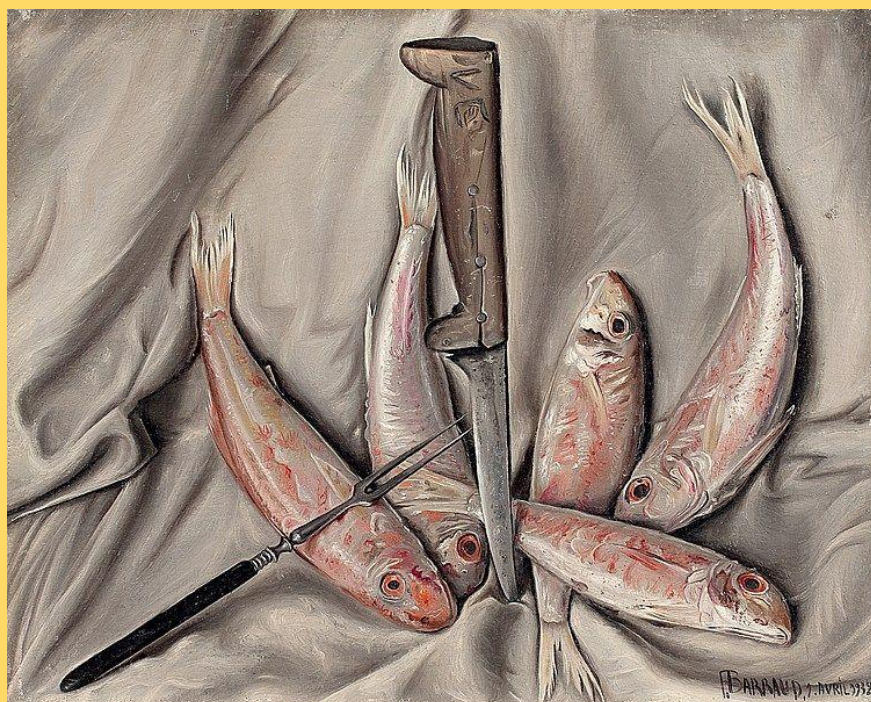
wykonywanej przez oplacane z góry sześcioramienne roboty i przemykające z notesami myszy. Ich uśmiechy są pełne zadowolenia.

Spoglądam na zegar. Patrząc, jak cyfry topią się i spływają na spód tarczy niczym gęsty sos. Powoli, jakby walcząc z grawitacją. Pelzną po blaszce i pozwalają się rozdzierać nieustępliwym, wahającym się wskazówkom. Jeden ruch w prawo, dwa w lewo. Tyk. Tyk. Tyk. Oszukańczo zmieniają swój bieg i częstotliwość. Jakby zazdrosne o czas spędzony w ich towarzystwie, rozciągają sekundy w minuty. Na złość myszom, maszynom i inwestorom. Złośliwe chochliki z tych wskazówek, których żarty nikogo nie bawią.

Przychodzi pora na kolejne stanowisko. Przy końcu niekończącej się taśmy produkcyjnej, zajmuję miejsce na małym taborecie. Pudełka zawierające rybę lecą w moją stronę, jakby w górę rzeki. Stanowią niekończący się strumień, dopóki jeden z odcinków nie zapycha się. Pudełka lecą i lecą, a ja nie mam czasu, by je złapać. Pojawiają się nieustannie, choć krzyczę, by ktoś to wyłączył. O jak bardzo chciałabym to wyłączyć!

Wkrótce upadam przygnieciona ich ciężarem na zimną podłogę hali. Obrywam setką pudełek i patrzę w bezruchu, jak sukcesywnie grzebią mnie żywcem. Niedługo potem nie widzę już światła jarzeniówek i nie słyszę huku fabryki, nieustannego nurtu drażniących dźwięków. Jedynie kolejne plastikowe opakowania wbijają mi się w ciało ostrymi kantami.

Otwieram oczy, zdejmuję z głowy ciepłą koldrę. Ręka boli, gdy sięgam po leżący nieopodal telefon, mam zakwasy. Czwarta dwadzieścia siedem, całe trzy minuty przed budzikiem. Wyłączam go szybko, bo nie chcę, by cokolwiek zmaściło przyjemny plusk deszczu dochodzący zza szyby. Muszę wstać i iść do pracy, jak dobra maszyna, którą jestem.



François Emile Barraud,
Rougets, poissons d'avril
(1932)

Aleksandra Łasińska

Obecność

Dzwoni piąty budzik. Nie mogę go już wyłączyć, jak czterech wcześniejszych. Kolejny dzień. 547. Kolejny dzień dręczącej, nawracającej i bezdusznej autorefleksji. Co wnosi ona do mojego życia? Smutek. Rozgoryczenie. Lęk. Bezradność. Ach, nie. Są w nim obecne od zawsze. Bezwarunkowo. A może jednak sama je zaprosiłam? Nie pamiętam. Nie wiem. Nic już nie pamiętam. Powinnam wstać, jeżeli nie chcę spóźnić się do pracy.

Praca. Opresyjna codzienność. Ból przebywania pośród innych. Ale to ja jestem Inna. Stałam się bezbarwno-jaskrawym refleksem na tle normalności. Stanowię jednocześnie szramę i bezwonne powietrze. Nie wiem, kim jestem. Oni wiedzą. Ponieważ są Normalni. Zdołali opisać mnie za pomocą kontrastu, antytezy oraz hiperboli. Choć dla samej siebie składam się raczej z oksymoronów bądź metonimii.

Wcześniej myślałam, że mogłabym być białą plamą. Ale biel także jest kolorem. I choć nie rzuca się w oczy tak, jak czerwień, wciąż pozostawia ślady. Dlatego nie mogę nią być. Nie powoduję nawet subtelnego szelestu liści.

Włączam ekspres do kawy. Owsianka czy tosty? Tak, tak, codziennie tworzę pozory normalnego, idealnego życia. Gotuję, sprzątam, prasuję, pracuję, tworzę plany, dokonuję aktów obligatoryjnego samorozwoju, chodzę na zakupy, wybieram ubrania do pracy, chodzę w poplamionych dresach, gapię się w ściany, nie mam siły umyć kubka po herbacie... STOP. Ostatnie trzy wykreślić. To NIE SĄ pozory normalnego życia. Te czynności przeszkadzają w udawaniu. A przecież w innym wypadku nie będę normalna.

Normalny. Normalność. Normalnie. Norma (l) nie. Znormalizowane. Zgodne z normą, tradycją, obyczajem, kulturą, powszechną myślą społeczną! Tak, tak, tak! Takie muszę mieć życie. Te myśli wypełniają moją głowę, zawsze są ze mną, pretendują do roli moich najlepszych przyjaciół. Czasami im pozwalam na zajęcie tego miejsca, jednak czuję się z nimi źle. I nie jestem pewna, czy na tym polega przyjaźń.

W takim razie tosty. Są łatwiejsze w przygotowaniu i zajmują zdecydowanie mniej czasu. Same także wyskakują z tosteru, szansa na unicestwienie mojego śniadania jest więc mniejsza. Nie wiem, czy powinnam zabrać jakiś posiłek do pracy. Rzadko przecież mam ochotę na jedzenie. Potrafię bez tego żyć. Na początku wiecznie głodne, ciągle na diecie lub sokowym detoksie koleżanki z pracy komplementowały mój rozmiar. Nie. Podziwiały to, że mogę całymi dniami niczego nie jeść. Tak, jestem wytrwała. Jedzenie nie zajmuje mojego umysłu. Chociaż może

czasami. Kiedy czuję ogromne pragnienie pochłonięcia dużej pizzy. Albo tortu kawowego. Albo wielkiego talerza wegetariańskiego spaghetti. Wybiegam wtedy, gdziekolwiek jestem, w stronę najbliższej restauracji lub sklepu. Kupuję wszystko, na co mam ochotę. I jem. Jem. Jem. Nie przestaję jeść. Aż do momentu, gdy na moim talerzu pojawiają się wyrzuty sumienia. Nie przepadam po prostu za ich niejednoznacznym smakiem. Waham się więc. W miarę mojej rosnącej niechęci, przemawiają do mnie. W głowie słyszę tylko błagalne szepty: „zjedz nas”, „uwolnij nas od niewolniczego losu”. Wtedy przyjmuję je do mojego żołądka. To ogromne poświęcenie, największe męczeństwo. W zamian za wolność moich metafizycznych braci i siostr otrzymuję mdłości, skurcze żołądka, bóle wypełniające ciało. A potem umysł. I duszę. I cała aura wokół mnie spowita jest bólem.

A może nie jest. Nikt jej przecież nie dostrzega. To nieistotne. Wypiłam kawę. Chyba zjadłam także tost, nie mam jednak pewności. Zapomniałam. Muszę już wyjść. W przeciwnym razie spóźnię się na autobus, a w konsekwencji do pracy. Odkąd przestałam jeździć samochodem, jestem zmuszona dostosowywać swój czas do kierowcy autobusu. Jest zimno, a nie zabrałam ze sobą szalika. Trudno. Może się nawet przeziębę. Mogłabym spędzić kilka dni w domu, nie wstawać z łóżka i rozmyślać. Być może napisałabym w tym czasie jakieś opowiadanie. Albo powieść? Tak, może powieść. Ale nie wiem, o czym miałyby opowiadać. O uczuciach, które zmieniają się w mojej głowie jak obrazy w kalejdoskopie? Przebiegają przez ciało, łączą się z innymi, tworzą niemożliwe do określenia sploty, rozpadają się po chwili na milion kawałków. Rozpadam się razem z nimi. A potem znów tworzę całość. Jestem nierzeczywistym bytem osadzonym w rzeczywistości. Niejednoznacznym tworem. Należałoby więc do oksymoronu i metonimii dołączyć polisemię. Polisemiczna, oksymoroniczna, metonimiczna.

W ostatniej chwili wsiadłam do autobusu. Jakiś chłopak przytrzymał dla mnie drzwi, gdy zauważył, że jednak decyduję się przekroczyć ich próg. Teraz spogląda na mnie z lekkim zdziwieniem i chyba zażenowaniem. Czasami po prostu się zamyślę. Wtedy zapominam o czymś ważnym. Bywa także tak, że nie potrafię podjąć jakiejś decyzji. Wtedy również się zamyślam. Ale jednocześnie miotam, odpływam do wymyślonej rzeczywistości, gdzie tworzę scenariusze. Próbuję przewidzieć, co mogłoby się wydarzyć, kreuję różnorakie sytuacje. Odslaniam w tych marzeniach własną duszę i pragnienia. W kontrze do codziennego realizmu próbuję oddalić się w doliny fantazmatów i kroczyć ścieżkami baśni.

Wysiadłam. Mam jeszcze piętnaście minut. Idealnie – dość czasu, aby wstąpić po gorącą kawę do jednej kawiarni. To niezły sposób na dostosowanie się do koleżanek z pracy. Przez mniej więcej pół godziny mogę wtopić się w ich tłum. Nie wyróżniam się. Jestem tak podobna, jak się tego ode mnie oczekuje. Zmieniłam nawet styl ubierania. Kupiłam kilka markowych, eleganckich

rzeczy. Męczyły mnie i do dziś męczą wyrzuty sumienia związane z tym luksusem. Dostosowując się bowiem do środowiska, wspieram także powszechny konsumpcjonizm, który nie leży w mojej naturze. Chcę być taka sama, a jednocześnie wciąż jestem inna. Nawet zakupiona w sieciówce kawa definiuje moją odrębność. Nie biorę standardowego latte z jedną saszetką brązowego cukru. Najczęściej piję czarną, niesłodzoną kawę, której zamówienie staje się symbolicznym aktem rozłamu, kolejnego braku przynależności. Czasami wydaje mi się, że wszystkie czynności, które wykonuję, charakterystyczne dla mojej osobowości gesty stanowią przeszkodę. Niematerialny mur niemożliwy do pokonania. Odgradza mnie on od środowiska, z którym powinnam się identyfikować. Odbiera mi poczucie własnej wartości i przynależności. Sprawia, że moja odmienność rzuca się w oczy. Udawana tożsamość oddziela mnie od prawdziwości. Ale moje realne życie jest jeszcze gorsze. Jestem w nim sama. Umęczona. Nadwrażliwa. Refleksyjna. Depresyjna. Jeszcze bardziej Inna.

* * *

Do czego może prowadzić mnie poczucie samotności? Powinno do chęci nawiązania nowych znajomości. Ale nieustannie schodzę ze ścieżek swojej powinności, którymi kroczą ci NORMALNI ludzie. Utrzymuję się na szlaku zbyt krótko, aby cokolwiek mogło się zmienić. Zbyt często się przewracam i upadam twarzą w błoto. Podnoszę się zawsze za późno. Gdy wszyscy zdążą już pokonać ścieżkę i wyruszyć w inną podróż. Zostaję sama na szlaku i czekam na kolejnych przechodniów, aby do nich dołączyć. Nasza wspólna droga trwa jednak ułamek chwili. Utrzymanie tempa kosztuje mnie więcej niż współtowarzyszy, dlatego znów upadam. I wtedy mnie nie ma. Leżę niewidoczna. Mijają mnie spieszenie, tak bardzo pragną pokonać tę drogę i wkroczyć na kolejną. Nic nie może ich zatrzymać. Nawet moje leżące w błocie ciało. Może kiedyś zostaną w nim na dobre. Będą pokrywały mnie kolejne warstwy podeszczowej brei i drogowy kurz wzniesany przez biegnących przechodniów. Czy nadejdzie taki dzień, kiedy nie będę miała siły ani chęci się podnieść? I dlaczego rozważam ten scenariusz? Powinnam przecież wyobrażać sobie taki, w którym pierwszy raz nie upadnę i podążę dalej. Najwidoczniej znowu upadłam, samymi myślami o końcu.

* * *

Nie poszłam dzisiaj do pracy. Nie mam ochoty na wstawanie z łóżka. Czuję się gorzej. Może to chwilowe. Może nie. Takie dni przychodzą do mnie jednak coraz częściej. Wytrzymałam z nimi

i ze sobą już pół roku od postawienia diagnozy: depresja, zaburzenia odżywiania, nadwrażliwość. Wystarczy, że wytrzymam kolejne siedem miesięcy i wszystko się ułoży. 20 grudnia wypada moja pierwsza wizyta u psycholożki. Gdy się tam udam, będzie dobrze. Znajdę pomoc i wyjście z każdej sytuacji. Stanę się jak koleżanki z pracy. Dowiem się, jak dobrze żyć. Tak!

Tylko czy ja na pewno tego chcę? I czy jestem w stanie to osiągnąć kilkoma wizytami u specjalistki? Nie chcę teraz się o tym dowiadywać. Jestem zmęczona.

* * *

Ciemne, burzowe obłoki wolno poruszały się na gęstym od smutku niebie. Każdy z nich chciał jak najdłużej spoglądać na przygnębiający widok. Na szarych chodnikach stali ubrani na czarno ludzie. Właściwie tylko kilkoro. Trzech mężczyzn i sześć podobnych do siebie kobiet. Kilkadziesiąt metrów dalej, obok soczystozielonego żywopłotu, który wyróżniał się barwą pośród zszarzałych chodników i ulic, przystanęły dwie eleganckie kobiety. Każda z nich miała na stopach wysokie, błyszczące buty na szpilce. Ich ramiona pokrywały żakiety z delikatnego materiału, a spod nich wystawały, wzburzone od czasu do czasu podmuchem wiatru, czarne, zwiewne sukienki. Ich fryzury były starannie ułożone, paznokcie perfekcyjnie wylakierowane, a twarze pokryte idealnie matowym pudrem. Z lekkim zdenerwowaniem przyglądały się oddalonej od nich grupie osób, która nie mogła rozstać się z niewielką urną koloru nijakiego oraz ramką ze zdjęciem, na którym właściwie nie było widać nikogo konkretnego. Wahaly się przez chwilę, czy powinny podejść do nieznajomych i towarzyszyć im w tym symbolicznym przekazaniu, lecz zdały sobie sprawę, że pierwszy raz to one mogą dla kogoś nic nie znaczyć. Nie były pewne, dlaczego dziś pojawiły się w tym miejscu i dlaczego w ogóle chciały przyglądać się temu spektaklowi. Gdy usłyszały tę wiadomość, na początku poczuły się nijako. Dopiero po pewnym czasie dotarło do nich, że tak właściwie to jest im przykro i że w ich życiu także coś się zmieni. Spoglądały na puste krzesło, stojące przy biurku koloru prawie przezroczystego. Szukały wzrokiem czarnej, skórzanej kurtki, ukrywanej ze strachu pod eleganckim beżowym płaszczem. Rozglądały się za dotykającymi klawiatury paznokciami koloru paznokciowego, które bezszelestnie wprowadzały na ekran komputera jakieś znaki. Nigdy miały już ich nie zobaczyć. W kuchni znalazły jedynie biały kubek z przetartym przez zmywarkę napisem, który dziś trudno już było odczytać. Był on jedynym śladem zaświadczającym, że ktoś oprócz nich tu przebywał. Kubek, który zauważyły pierwszy raz od dwóch lat. Teraz odwróciły wzrok od postaci, które wciąż wahaly się, czy powinny już zakończyć przedstawienie. To oczekiwanie sprawiło, że poczuły się nieswojo i obie w tym samym momencie odwróciły się i ruszyły w przeciwną stronę, wzdłuż soczystozielonego żywopłotu.

Drogę do domów, które znajdowały się na tym samym nowoczesnym osiedlu, pokonały w milczeniu. Razem z nimi milczały smutne obłoki, a cichy wiatr nadal rozwiewał falbany eleganckich sukienek. Wysokie i cieniotkie obcasy stukwały w szare chodnikowe płyty. Tuż przed oszklonymi drzwiami, prowadzącymi do czystych i stylowych mieszkań, ucichły. Zamiast stukotu można było usłyszeć mieszające się z wiatrem, wypowiedziane cicho słowa: nigdy nie powiedziałam, że doceniam jej obecność. Znow rozległ się stukot cienkich obcasów.



Richard Riemerschmid, *Wolkengespenster I* (1897)



Richard Riemerschmid, *Wolkengespenster III* (1897)

Marta Paluch

Tuk tuka

Nieśli trumnę z ciałem, a kościół był pełny. Zmarło dziecko w małej miejscowości.

Siedzieliśmy w ciasnych ławeczkach tuż przy ołtarzu, oszołomieni, trzymając w rękach znicze. Żadne z nas tego nie rozumiało. Ciało Marcinka miało być w tej małej białej trumnie, ale nikt z nas nie mógł sobie tego wyobrazić. Przed oczami miałam go zdrowego, o jasnej, ale rumianej cerze, z piegami na nosie, z przerwą między jedynekami i z burzą kręconych, przydługich włosów. Jedno oko Marcinka zawsze widziało inaczej. Gdy mrugał brązowym – zaczynała się zabawa. Gdy mrugał niebieskim – nie było go z nami. Mrugnęłam obojgiem oczu patrząc w tłący się w białym zniczu płomień i przez chwilę zobaczyłam Marcinka z tą wielką blizną na огоłonej czaszce. Coś zasyczało w moim wnętrzu i wydostało się na zewnątrz.

– Poparzyłaś się? – zapytał Tomek.

– Nie.

Postawili białą trumnę pomiędzy gromnicami, tuż za zdjęciem uśmiechniętego i wyjątkowo uczesanego Marcinka. Marcinka nie mogło być w trumnie. Obróciłam się za siebie i zobaczyłam blade i mokre twarze dorosłych.

Ksiądz zaczął coś mówić, wszyscy wstali, usiedli, potem uklękli, znowu wstali, usiedli, słyszałam szloch. Tomek po mojej lewej patrzył do wnętrza znicza, a Donia po prawej bawiła się zamkiem kurtki. Marcinek powinien zaraz gdzieś się pojawić, spóźniony, rzucić torbę pod ławkę, usiąść za nami i powiedzieć zdecydowanie za głośno „tuk tuka” – a my byśmy wiedzieli, że powaga może już opaść, że nie powstrzymamy śmiechu, że to koniec spełniania oczekiwań. Tuk tuka.

Tomek przechylał znicz w taki sposób, że wosk rozlewał się po jego wnętrzu, zmieniając kolor z czerwonego na mleczno-różowy. Ksiądz podniosłym głosem mówił rzeczy, które nie miały nic wspólnego z Marcinkiem, a pociąganie nosów za nami zaczęło mnie irytować. Tuk tuka. Marcinka nie ma w trumnie. Nie może go tam być. Donia wykrzywia twarz i widzę, że powstrzymuje kichnięcie. Jednocześnie patrzy prosto na światło wpadające przez kolorowy witraż z którymś ze świętych. I szarpie zamek od kurtki. Zaczynam się niecierpliwić, bo Marcinka nie ma, a powaga, która panuje w kościele, bez niego staje się nie do zniesienia. Tuk tuka.

– Tuk tuka – szepczę w końcu przed siebie. Tomek przerywa obracanie znicza. Donia gwałtownie obraca się w moją stronę. Tuk tuka i nagle między żebrami wzbiera we mnie tyle powietrza, że muszę zacisnąć usta. Moi towarzysze nadymają się podobnie, a Tomek mówi nieco głośniejszym głosem, tak, że ściąga na siebie spojrzenie wikariusza:

– Tuk tuka.

I pozostałe dzieci w małej ławce obracają się, nawiązują kontakt wzrokowy.

Tuk tuka i powietrze nie mieści nam się w płucach. Tuk tuka i czuję, że śmiech wydostanie się z moich ust, i już go nie powstrzymam. Tuk tuka i to wszystko zawiruje w kolorowym świetle przepuszczanym przez witraże. Tuk tuka w gotyckim, ciemnym kościele. Tuk tuka pod sam sufit, nad którym jest strych, gdzie biegaliśmy jakby wczoraj. Tuk tuka w twarz wszystkim świętym, którzy nie słuchali. Tuk tuka, gdy mruga brązowe oko, i obyś nigdy nie mrugał niebieskim.

Tuk tuka, Marcinku.



Tadeusz Makowski, *Czworo dzieci z trąbką* (1929)

Burza

Tej nocy przysła burza. Niebo było ciemnoczerwone, zamknięte purpurowymi chmurami. Czasami otwierało się błyskawicą, rozsypując gromy z deszczem, ponad miastem, domem, dachem, mną. Siedziałem w niebieskim pokoju. Ciemnoniebieskim, granatowym, ciemnym.

Bałem się wtedy, bardzo się bałem. Burza wcześniej nieczęsto zaglądała do naszych miast, miasteczek, wsi. Janek powiedziałby mi, że zdarzało jej się lata temu zabierać ze sobą jedno wybrane dziecko. Stawało się ono potem kolejnym księżycem błyskawic – dzikim, mściwym, podpalającym pola i lasy. Dopiero na starość do księżycy docierało, kim był, kim się stał, i dlaczego robił to, co robił. Jaki okrutny żal go napędzał. Z tej zgryzoty, z tego żalu umierał, a burza musiała sobie szukać kolejnego smętnego nieszczęśnika, który dla niej ryczałby gromem.

Jak ja straszliwie, okropnie się radowałem. Od tych wybuchów, hałasu i światła, aż chciałem wybiec i paść przed piorunem na klęczki, oddawać mu poklony. Próbowałem to do czegoś przyrównać, zrationalizować ten okropny dźwięk, te rozbłyski, w których mój zawsze bezpieczny pokój wyglądał niczym niedola błękitu, w którą raz się zapada i tak już zostaje.

Paweł potrafiłby to zrobić. Powiedziałby mi, że burza co prawda zabiera czasem ze sobą dzieci, ale tylko te bez domu, rodziny, przyjaciół – i daje im ciepło, daje im dobrobyt, wieczne szczęście. Te dzieci zawsze już fruują, zawsze już się unoszą, a ktoś zawsze się śmieje w oddali. Tak pięknie. Coś tak strasznego musi być piękne, tak by mi pewnie powiedział.

Burza. Tak mi jednak powiedzieli, kiedy byłem jeszcze młodszy, kiedy ledwo zaczynałem odróżniać siebie od swego oblicza w lustrze – ostrzegali mnie. Nie myśl z tęsknotą o burzy, tak mówili. Nie wychylaj się, za barierkę się nie wychylaj. Ona cię pochłonie w całości, pożre cię, i żeby chociaż wypłula, ale nie, już na zawsze pozostaniesz niebieski, ciemnoniebieski. Granatowy. A twoje wybuchy podpalą nasz dom, drogie dziecko.

Burza. Tak ją jednak zapamiętałem, i tak do niej tęskniłem, mimo wżerającego się niczym jaskrawy robak w trzewia niepokoju. Szukałem jej potem, wiele razy szukałem. Wchodząc na najwyższą wieżę katedry o czerwonych ceglach wychylałem się przez barierkę, i chociaż powinienem był patrzeć w górę, patrzyłem w dół – wszystkie zmysły ostrzegały, żebym się odsunął. Bo spadniesz, tak mi mówiły. Spadnę, odpowiadałem. Spadnę. Utopię się w tym czerwonym bagnie i zniknę, tak jak i oni zniknęli. Gdzie oni zniknęli?

Poszli z burzą, tak podejrzewałem.

I tej nocy znowu nadeszła, po tylu latach, jakby wiecznie oczekiwana. Ależ ja musiałem ją zobaczyć, musiałem ją oskarżyć. Za wyburzenie we mnie spokoju. Za zburzenie mego niebieskiego pokoju. Za wzburzenie. Mnie.

Wyszedłem jej na spotkanie. Niebo wrzało, bulgotało piorunami, rozrywało się wciąż i sklepało na nowo, tworząc przy tym hałas tysiąca walących się kościołów o czerwonych ceglach. Białe kule gradowe i czarny deszcz, i świat w ciemnobłękitnych płomieniach chmur.

Było pięknie.

– Nie mam mnie więcej, nie mam! – Rozpaczliwie przekrzykiwałem ten gorszący, zachwycający spektakl.

– Łaknę odpowiedzi, albo zapomnienia. Daj mi, błagam, jedno albo drugie!

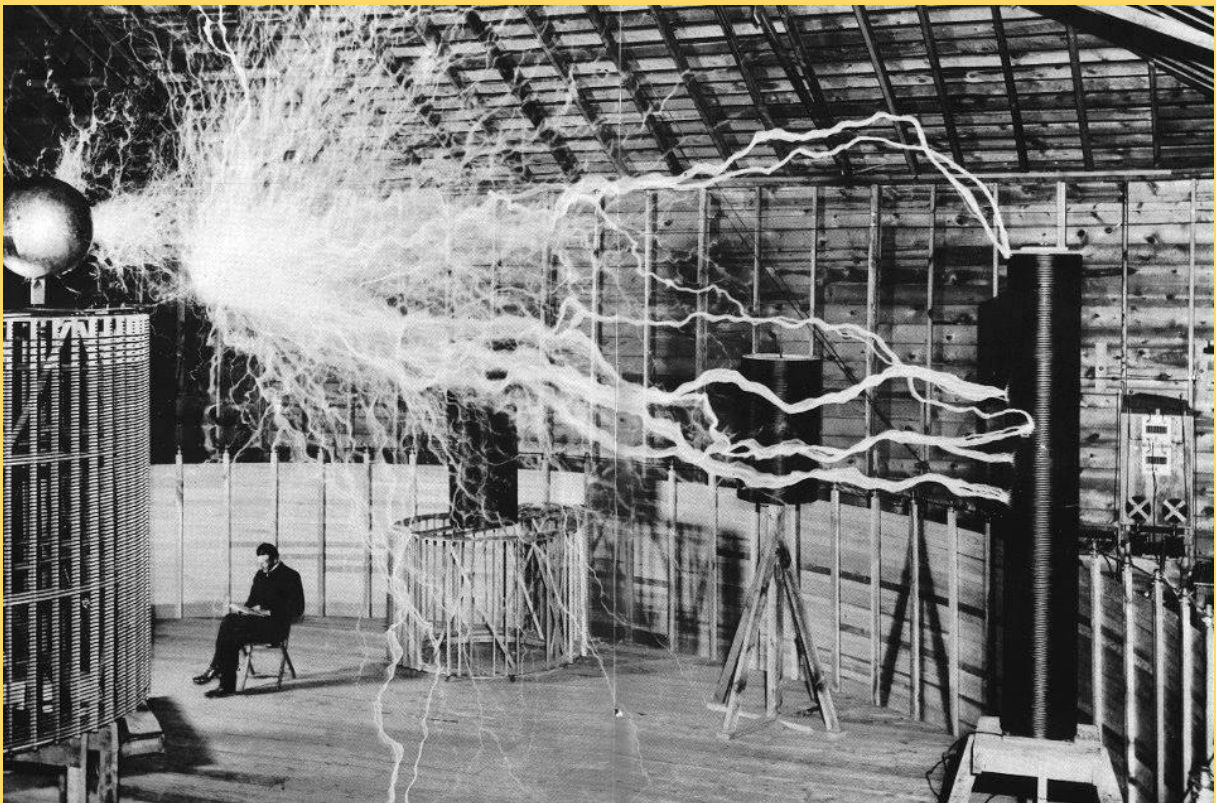
Lecz burza już milkła.

– Niegdyś tańczyłem z twymi córami; niegdyś niewinnie biegałem lasami – oddaj mi to, oddaj!

Lecz burza wciąż milkła.

– A jeśli nie możesz, to mi odpowiedz – czy mam iść za tobą? Czy zatrzymać się gdzieś? Czy przeć przed siebie? Nie roztrząsać, nie myśleć, nie patrzeć na innych i wstecz?

Burza zamilkła.



Dickenson V. Alley, *Tesla in Colorado Springs* (1899)

Szczęśliwe zakończenie?

Kolejny kierunek studiów, piątek i praca domowa – zmora większości młodych ludzi. Szczególnie tych, którzy mają dużo na głowie, tak, jak ja. Rozdrażniona po raz kolejny zmieniłam stację w radiu, szukając czegoś poza politycznym jazgotem albo hitami lat 80. Jednocześnie zerkałam na ekran laptopa, by nie przeoczyć, gdy mężczyzna wykona jakiś ruch. Samochód nie był najwygodniejszym miejscem do nauki, ale ćwiczenie na kryminalistykę musiałam dokończyć, nim za pół godziny zacznę zmianę w lokalnej jadalni.

Nowe zajęcia były co najmniej ekscytujące, szczególnie po roku spędzonym na filozofii. Może zarwane noce, spędzone na oglądaniu CSI, nie pójdą na marne. Obserwowałam właśnie, jak „obiekt” wysiada z samochodu i podkrada się pod okno. Moim zadaniem było wychwycić wszystkie momenty, w których mógł zostawić ślady. Na szczęście, dzięki mojej kochanej mamie, wielozadaniowość to moje drugie imię.

Zostały mi już tylko trzy minuty, więc zamykam urządzenie, biorę torbę i kieruję się do jadalni „U Grzegorza”. Nadanie nazwy po właścicielu było trochę idiotyczne, zważając na to, że Grzegorz nie umiał gotować, poza tym był strasznym pijakiem i raczej nikt nie chciałby u niego jeść wiedząc te rzeczy. Witam się ze wszystkimi i wbijam w komputer rozpoczęcie pracy.

– Soniu! – Słyszę z zaplecza głos Grzegorza.

– Tak? – Obok stoi jakiś chłopak, ubrany w nasz firmowy strój.

– To jest Adam, przeszkolisz go dzisiaj. – Skrzywiłam się na tę informację. To nie pierwszy raz, kiedy musiałam tłumaczyć „nowym”, jak zaparzać kawę albo myć talerze, ale Grzegorz nie przyjmował odmowy.

– Jasne. – Wyciągnęłam rękę żeby się przywitać. – Sonia. Masz już jakieś doświadczenie? – Chłopak uśmiechnął się krzywo i ujął moją dłoń.

– Adam. Dorabiałem w wakacje w kawiarni – powiedział niskim głosem.

Nie powiem, był przystojny, ale nie miałam teraz czasu na głupoty, więc przystąpiłam od razu do wyjaśniania szczegółów, jak wygląda każdy dzień pracy, jakie będą jego obowiązki i gdzie co leży.

O dwunastej, jak co dzień, przyszła moja mama, robiąc wielkie wejście, jak to ma w zwyczaju. Podeszła do Grzegorza i pocałowała go w policzek... Tak, do tego Grzegorza.

Po tym, jak otrzymałam pracę, uznała, że to doskonały pomysł zacząć umawiać się z właścicielem. Wtedy na pewno mnie nigdy nie wyrzuci. Na szczęście zostało pół godziny do końca zmiany i nie będę musiała na nich patrzeć.

Umówiłam się z Olą w kampusowej kawiarni, ale jak zwykle się spóźniła. Napisałam, że wezmę jej kawę i spotkamy się przed salą. Byłam już w połowie drogi na zajęcia, gdy usłyszałam za plecami:

– Sonia!

Odwróciłam się. W moją stronę szybkim krokiem szła przyjaciółka.

– Ratujesz mi życie, jak zawsze – powiedziała uśmiechnięta i z wyrazem wdzięczności upiła duży łyk kawy.

– Byłam u Arturo i zapomniałam nastawić budzika.

Arturo to jej nowy „chłopak” i jednocześnie nauczyciel hiszpańskiego. Ona jedyna może łamać reguły moralne i nie ponosić konsekwencji. Jej urok osobisty zawsze wygrywa ze wszystkimi argumentami przeciwko niej.

– Dobrze się bawiłaś? – pytam z przekąsem, szturchając ją jednocześnie w bok. Wie, że żartuję i śmieje się.

– Nic nie mów, zakochał się jak szczeniaczek, a mi tylko zależało na korepetycjach. – Śmiejemy się razem, bo obie dobrze wiemy, że nie tylko o to chodziło.

Przypomniało mi się, że mam gdzieś w torbie notatki, o które wcześniej prosiła, i jedną ręką, cały czas idąc, próbuję je znaleźć. To nie był dobry pomysł, bo chwilę później ląduję na tyłku z połową kawy na mnie, a resztą na biedaku, z którym się zderzyłam...

– O mój boże! Przepra... - zaczynam i zawieszam się, bo moją ofiarą okazuje się Adam... Parska śmiechem i podaje mi rękę.

– Wiedziałem, że twoja wielozadaniowość gdzieś ma swoje granice – mówi z rozbawieniem i zaczyna szukać czegoś w plecaku. Wyciąga chusteczki i oboje staramy się usunąć jak najwięcej płynu.

– Wybacz, na pewno ci to jakoś wynagrodzę. Nie mogę uwierzyć, że narobiłam takiego bałaganu. – Czuje, jak oczy zaczynają mnie delikatnie piec przez hamowane łzy. Nie znoszę robić z siebie pośmiewiska, ale jak na złość zawsze musi mi się przytrafić jakaś głupota.

– Hej, spokojnie, każdemu może się zdarzyć. – Patrzę w końcu na jego twarz i widzę, że uśmiecha się delikatnie. – Postawisz mi kawę po następnej zmianie i będziemy kwita.

– To wy się znacie? – odzywa się Ola, Zupełnie zapomniałam, że jest obok.

– Aaaach tak, to jest Adam. Adam, to moja przyjaciółka Ola. Jest nowy u Grzegorza. Dzisiaj miał pierwszą zmianę.

– Miło mi poznać – przywitała się Ola, trochę za dużo jak na mój gust trzepocząc rzęsami.

– Mi również. Wybaczcie, ale muszę lecieć. Do zobaczenia Soniu! – I już go nie było. To była osobliwa sytuacja, a ja zostałam bez kawy.

Po całym dniu pracy i zajęć w końcu wracam do domu.

– Och, jesteś wreszcie. – Słyszę głos mamy od razu po wejściu do domu. – Ileż można na ciebie czekać? Mam coś ważnego do przekazania, pośpiesz się.

To nie może oznaczać nic dobrego. Pomysły mojej mamy zazwyczaj są szalone i czasami nawet niemożliwe do zrealizowania. Czeka na kanapie, z otwartą butelką wina, jak co dzień. Wydaje się... szczęśliwa?

– Co się stało? – pytam ostrożnie.

– Mam doskonale wieści. Sprzedaję dom!

Cooo? Odjęło mi mowę. To ma być ta dobra wiadomość?

– Grzegorz poprosił, żebym się do niego wprowadziła, a ja się zgodziłam – mówi podnieconym głosem i klaszcze. – Teraz na pewno mi się oświadczy.

– A co ze mną?

– Jesteś już przecież dorosła, czas żebyś zajęła się swoim życiem. – Gorzej już chyba nie mogło być.

– Czyli po prostu mnie wyrzucasz. – Jeśli kiedyś wątpiłam, że moja matka jest szalona, to właśnie przestałam. Czy ona myślała, że pieniądze rosną na drzewach? – A za co mam się utrzymać? Praca u Grzegorza pokrywa studia i drobne wydatki. Za co mam wynająć mieszkanie albo chociaż pokój?

– Dramatyzujesz, jak zwykle. Dasz sobie radę. Zawsze dajesz. A teraz wybacz, muszę zadzwonić do Grzesia i zaplanować przeprowadzkę.

Mama wyszła z pokoju, a ja stałam tak, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Czy to był jakiś chory żart?

Następnego dnia miałam poranną zmianę. Postanowiłam wybadać szefa, czy faktycznie ma jakieś poważne plany związane z moją mamą, czy może coś kombinuje. Po drodze do biura zobaczyłam Adama. Jeszcze on będzie mi się dzisiaj naprzykrzał.

Zapukałam do drzwi.

– Wejdz!

– Dzień dobry, możemy porozmawiać?

– Oczywiście, słucham.

Wzięłam głęboki oddech na uspokojenie i zaczęłam mówić.

– Chodzi o pomysł mojej mamy odnośnie sprzedaży domu i przeprowadzki do pana.

– Och, Anna już ci powiedziała, doskonale. Uznaliśmy, że czas na poważniejszy krok, a ty dasz sobie doskonale radę. Jesteś już dorosła, czas zacząć zachowywać się, jak na taką przystało. Ja w twoim wieku to już na drugim końcu kraju mieszkałem i harowałem od świtu do nocy.

Krew uderzyła mi do głowy, w uszach zaczęło szumieć. O czym on do cholery mówił? Znowu ta sama gadka jak w domu. Traktował mnie jak jakiegoś darmozjada, ale to ja przez całe życie opiekowałam się moją matką manipulantką. Czułam, jak łzy wypełniają oczy, a dłonie zaczynają się trząść.

– Ale ja mam studia – powiedziałam lekko łamiącym się głosem. – Dwa kierunki, ledwie dają radę, żeby tu pracować, a sam pan wie, ile zarabiam.

– Młoda damo, nikt cię tu nie trzyma. Jak coś ci nie pasuje, wiesz gdzie są drzwi. – Cooo? On chyba żartował. Rozpacz zaczęła zmieniać się w furję.

– Wiedziałam, że moja matka jest szalona, ale że owinęła sobie pana wokół palca? Naprawdę nie sądziłam, że jest pan taki podatny.

Wstałam i trzasnęłam drzwiami wychodząc. Szybko się przebrałam i wbiłam na komputerze rozpoczęcie pracy.

– Oho, ktoś tu jest zły. – Prawie podskoczyłam na dźwięk głosu Adama. – Kurczę, przepraszam. – Od razu się zreflektował i zrobił skruszoną minę.

– Ach, to nic, po prostu zamyśliłam się.

Trochę otrzeźwiło mnie to i ogarnął mnie nagły smutek. Jak ja sobie teraz poradzę? Będę musiała zrezygnować z jednych studiów i znaleźć drugą pracę.

– Sonia, co ty? Co się stało? – Nawet nie wiem, kiedy po policzkach popłynęły mi łzy. Szybko je starłam, ale napływały kolejne. Chyba nigdy nie czułam się taka bezsilna i wykorzystana przez mamę. Poczułam, jak Adam przytulił mnie delikatnie i prowadzi na zaplecze.

– No już dobrze. Popłacz sobie i zaraz będzie lepiej. Nie wiem, co się stało, ale z każdej sytuacji jest wyjście. Zaraz coś wymyślimy.

– Co? – wychrypiałam i czknęłam. – Jak to my? To ja mam przerąbane. – Ponownie czknęłam i głośno wydychałam nos.

– Ale przyjaciele są od tego, żeby sobie pomagać. – Uśmiechnął się uroczo i przez chwilę mu uwierzyłam, ale...

– Przecież znamy się kilka dni, nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Tak ci się tylko wydaje, byłem sąsiadem Oli. W dzieciństwie często bawiliśmy się w trójkę.

Przestałam już zupełnie płakać i wpatrywałam się w niego osłupiała. Faktycznie, kiedyś byliśmy prawie nierozłączni, ale chłopiec z sąsiedztwa przeprowadził się do innego miasta i kontakt się urwał.

– Niemożliwe! Czemu od razu nie powiedziałaś!

– Nie było okazji, zresztą sam dowiedziałem się dwa dni temu. Dostyc o mnie, mów, jaki masz problem.

Wróciliśmy do pracy i wyjaśniłam mu całą sytuację.

– Najbardziej mnie martwi znalezienie miejsca do spania. Semestr już się zaczął, wszystkie najtańsze oferty są już zajęte, a ja nie mogę sobie pozwolić na nic więcej. Idę obsłużyć piątkę i zaraz wracam. – Choć miło było zwierzyć się ze swoich kłopotów, nie mogłam zapomnieć, że jeszcze jestem w pracy, której bardzo ale to bardzo potrzebuję. Postanowiłam też, że od razu pójde przeprosić szefa, żeby przypadkiem nie chciał mnie jednak zwolnić.

Miesiąc później stałam pod moim niegdysiejszym domem, a łzy spływały mi po policzkach. Tyle wspomnień, radosnych i tych mniej. Moje bezpieczne miejsce zostanie mi teraz odebrane, nie będę już miała mojej oazy spokoju. Słyszę delikatne kroki i czuję, jak Ola mnie ściska.

– Będzie dobrze, dasz sobie radę, jestem tu z tobą. Może pomysł mieszkania u Adama nie jest idealny, ale na jakiś czas będzie w porządku. Jak tylko uda mi się pozbyć mojej głupiej współlokatorki, zamieszkaż ze mną i będzie idealnie.

– Dziękuję, że jesteś tu ze mną – mówię lekko łamiącym się głosem. – To wiele dla mnie znaczy.

– No co ty? Sonia, jesteśmy prawie jak siostry, gdzie indziej miałabym być. No już, wsiadajmy i jedźmy. Ku nowej przygodzie.

Życie zawsze stawiało przede mną trudne wyzwania, ja jednak nigdy się nie poddałam. I teraz też nie zamierzam. Może i jestem teraz bezdomna, ale mam jeszcze w sobie na tyle motywacji, by zawalczyć o swoje. Skoro matka się mnie wyrzekła, muszę szukać pomocy wśród znajomych. Szczęśliwy traf ponownego spotkania Adama musiał być jakimś znakiem od losu.

Z rozmyślań wyrывa mnie krzyk Oli i nagle szarpnięcie samochodu. Wszystko zaczyna się kręcić, a ja tracę orientację, gdzie jest góra, a gdzie dół. Coś ciężkiego uderza w moją głowę i przed oczami robi mi się czarno. Po chwili tracę przytomność.



Ernst Ludwig Kirchner, *Frau Schuh zuknöpfend* (1912)

Powerless

– Jesteś gotowa kochanie? – W samochodzie rozniósł się wymuszony śmiech mojego ojca. Nie umiał udawać. – Nieźle sypało w nocy – dodał i zerknął na mnie w lusterku. Mój wzrok z nicości przeniósł się na skostniałe ręce ułożone cholernie równo na kolanach. – Czeka nas wielka frajda.

Gówno prawda. Nienawidził przebijać się przez śnieg. W przeciwieństwie do niego ja to kiedyś kochałam. Uwielbiałam te skoki adrenaliny, gdy nie jesteś do końca pewien, czy się uda, czy dojedziesz do celu. Samochód prze naprzód, a ty razem z nim prowadząc go, dopingując. To niczym narkotyk, najlepsza czekolada. I na koniec ta euforia. Tak! Hura! Udało się. Zrobileś to. Po takim poranku humor dopisywał już do końca dnia. Ale to... było kiedyś.

Zapadło niezręczne milczenie, a napięcie można było kroić nożem. Nie zamierzałam tego przerywać. Nie miałam nic do powiedzenia. Otepienie było dużo lepsze od bólu, który odczuwałam. To tak, jakby cała moja przeszłość nagle stała się pieprzonym kłamstwem i nikt nie zamierzał mnie poinformować, że to głupi żart. Że to nie prawda, że to nie wydarzyło się naprawdę. Że zaraz obudzę się z tego idiotycznego snu i będzie jak dawniej. I ona będzie tu razem ze mną.

Nie mogłam nic na to poradzić, lzy same płynęły zmywając kolejne pokłady smutku z twarzy, ale warstw było zbyt wiele. Zbyt wiele, żeby usunąć go całkowicie. Mogły jedynie niszczyć makijaż i powodować konsternację na twarzy mojego ojca. W uszach mi szumiało, a głowa zaczęła boleśnie pulsować. Czemu to musi być takie oczyszczające i bolesne zarazem?

Czułam wszystkie nierówności pod samochodem i jego lawirowanie wśród trylionów kryształków śniegu. To wcale nie polepszało mojego stanu. Właśnie w tej chwili miałam ochotę ubrać się w moją ukochaną dużą bluzę, dresy, zwinąć się na łóżku pod ciepłym kocem i spać. Spać przez resztę życia, aż do końca, gdy znowu mogłabym ją zobaczyć. I będziemy razem już na zawsze.

Mówią, że w życiu spotyka się dwie bratnie dusze – jedna to twoja przyjaciółka, a druga to mąż. Na męża byłam zdecydowanie za młoda, ale przyjaciółkę mam. A raczej miałam... Ten widok prześladuje mnie co noc w koszmarach. Jej wątłe, blade ciało osuwające się na brudną ulicę. Brązowe, zalzawione oczy patrzące na mnie z przeprosinami i miłością. Twarz wykrzywiona w grymas bólu. Biała bluzeczka, ledwo co zakrywająca, farbująca się na czerwono jej własną krwią. I mój przeraźliwy krzyk. Krzyk, z którym budziłam się co noc. Krzyk, który najpierw przemieniał się w spazmatyczne szlochy, a następnie w niekontrolowany płacz. Krzyk... który co noc łamał serce moim rodzicom.

Nie chciałam o tym z nikim rozmawiać. Właściwie o niczym nie chciałam rozmawiać. Nawet wspomnianie tego przysparzało zbyt wiele bólu. Jedyne czego pragnęłam, to cofnąć się w czasie i znaleźć się tam pięć cholernych minut wcześniej, i zakryć jej ciało moim, a nie stać i czuć się tak cholernie bezsilna. Ale nie mogłam. Mogłam jedynie dalej siedzieć w samochodzie toczącym się po nie równej drodze i gapić się na swoje skostniałe palce.



James Ensor, *Badkoets op het strand* (1876)

Malkontenta alko-travel-story w trzech aktach

I

Wstałem. Niechętnie, bo o szóstej rano inaczej mi się nie zdarza. No, ale zachciało się życia w Metropolii to trzeba dymać jak na roli.

Śluch od razu podpowiedział, że coś jest nie tak. Jakiś pisk, cichy, przerywany, drażniący. Pierwsza myśl była jeszcze otoczona senną mgielką, jednak brzmiała trzeźwo – ładowarka mi się psuje. Zsunąłem głowę nieco niżej, bliżej ładowarki, jednak pisk nie stał się głośniejszy. Druga myśl była nieco na wyrost – laptop mi się psuje. Nie, to jednak nie było to. I dobrze, bo dałem za niego cztery koła. Pisk jednak nie ustawał. Trzecia myśl była skierowana głęboko do mojego wnętrza – zachlałem i piszczy mi w uszach. Na szczęście mózg zaczął już swój swobodny, niespieszny rozruch i podsunął oczom ledwie napoczętą butelkę rumu. No, taką ilością nawet dziecko by się nie upiło. Z racji tego, że dzień zapowiadał się nader aktywnie i nader długo, porzuciłem rozważania nad źródłem pisku. Odsłoniłem roletę.

Na ziemi leżało ciało sąsiadki, która, jak się później dowiedziałem, mieszkała na czwartym piętrze. Cztery to dużo, kiedy spada się na beton. Szybko zlokalizowałem też źródło pisku – to ratownicy próbowali ją wskrzesić. Resuscytacja okazała się mało pomocna. Z biegiem kolejnych minut do ratowników dołączyła straż pożarna i policja. Podnośniki, zasłony, toporki, gapie. Sąsiadka popsuka dzień dużej ilości osób – w tym swojej matce. A nie, przepraszam. Matce nie, bo ją zabiła. To wyjaśniałoby motywy skoku. Wyszedłem z mieszkania, gdyż wzywały obowiązki. Mijając strażaka grzecznościowo powiedziałem mu „Dzień dobry”. Nie odpowiedział. Z jednej strony zrozumiałe, z drugiej – uprzejmość nie boli, z trzeciej zaś – koleś prawdopodobnie zepsuł mi dzień.

W przeciwieństwie do zaaferowanych gapiów woląłem szybko opuścić teren – bo jeszcze się uczepią, zrobią ze mnie świadka, każą zeznawać, a ja swoje zasady mam, poza Wigilią z psami nie gadam. Czmychnąłem więc szybko i skierowałem się na przystanek. Skarbowkę lepiej odwiedzać z samego rana, póki te stare baby nie zdążą się rozkręcić. No to wsiałem do autobusu, postąłem, pooddychałem przez maskę, poudawałem, iż wcale nie rusza mnie to, że wielmożny „foliarz” zakasłał pół autobusu. Wysiadłem i od razu ruszyłem w kierunku starego, popeerelowskiego gmachu. Szybka dezynfekcja, stanie w kolejce, uzupełnianie formularza, stanie

w kolejce, poprawianie formularza, stanie w kolejce, drugie poprawianie formularza, stanie w kolejce, podpisy i dostałem – jedną kartkę z pieczętką. Dziwny jest ten świat.

Zadowolony, że udało się sprawę załatwić „od ręki”, ruszyłem dalej – do ZUS-u. Udałem się na przystanek. Lista linii autobusowych nie była zbyt długa, ale poczekałem, bo co się będę po obcym terenie szlajać. W końcu nadjechał. W pełnej krasie, okazały, z wolnymi miejscami siedzącymi. Machnąłem do kierowcy. Kierowca też mi machnął. Nawet się uśmiechnął. I pojechał dalej. Omijając mój przystanek. Czy byłem zły? Jeszcze, kurwa, jak. Doładowany świeżą dawką adrenaliny popędziłem na tramwaj. Wsiadłem, skasowałem bilet, tramwaj ruszył i wszystko wróciło na swoje tory. A przynajmniej do kolejnej stacji, gdzie niezbyt włochaty motorniczy oznajmił, że dalej nie jedzie, bo mu się drzwi nie zamykają. „Ok” – pomyślałem. Kiedy wszyscy pasażerowie opuścili tramwaj, zamknął drzwi i pojechał dalej. Nagle drzwi przestały być problemem. Dziwne... Później kontrolę nade mną przejęła złość. Jak dostałem się do ZUS-u, nie pamiętam. Jedyne, co utkwilo mi w pamięci, to kolejka i pani o talii osy. Wróć, całego gniazda os. Dlaczego zapadła mi w pamięć? Czy była dla mnie szczególnie miła? Niekoniecznie. Czy była zabawna i charakterystyczna? No też nie. Czy proponowała mi wykupienie ubezpieczenia, mówiąc, że nie wiadomo, kiedy umrę, i mrugając przy tym okiem? Tak.

Było już dawno po południu, kiedy spóźniając się do pracy, udawałem, że wcale nie burczy mi w brzuchu. Wpadłem na zaplecze, przebrałem się, wyszedłem pogadać z resztą zespołu, a tam dowiedziałem się kilku istotnych kwestii. Pierwsza, najistotniejsza dotyczyła nowej pracownicy – kobiety, której największym osiągnięciem życiowym było zostanie matką. Czy jestem taki anty? Nie – dałem jej szansę, ale każda kolejna godzina słuchania o Brajanku czy innym Alanie, to o krok bliżej do pęknięcia tej nieszczególnie głęboko skrywanej frustracji. Druga wiadomość dotyczyła sprzętu. W salonie znajdowały się dwa komputery, dwa tablety i jeden infopunkt. Gdybym miał wymieniać działające, wskazałbym tylko jeden komputer i to ten na zapleczu. Informatycy w tej sieci nigdy nie byli błyskotliwi, ale tego dnia dali z siebie chyba wszystko albo prawie nic.

Stanąłem przy kasie. „Dzień dobry, zaproponuję pani tę oto pozycję”, „może skusi się pani na?”, „czy ma pan naszą aplikację?” – Dzień jak co dzień. Obowiązek noszenia maseczek negatywnie wpływa na klientów. Nie na tych zwykłych, a na tych, którzy i tak nigdy nie błyszczą inteligencją. Przyszedł więc on – Janusz z twarzy, Pasibrzuch z ciała i dżdżownica z wyniku testu IQ. Swój bunt zakończył frazą, żebym sobie tę maseczkę wsadził w dupę. Chojrak, rzucił tę kwestię wychodząc z salonu. Szkoda, bo nie słyszał, iż życzyłem mu tego samego.

Nie był to jedyny odważniak tego dnia. Kolejny przeżywał, że strona internetowa oferuje niższe ceny niż salon. Takie novum panujące od niepamiętnych czasów. Kiedy obrażając się, twórców, producentów i mnie wychodził z salonu, rzucił jakże ikoniczną kwestię, iż „to się w pale

nie mieści”. Odpowiedziałem, że w takim razie chyba ma za małą palę. Nie słyszał, szkoda. Byłoby jeszcze ciekawiej.

Po pracy wróciłem do mieszkania. Pieszko, bo zraziłem się do komunikacji. Przeszedłem obok zniczy stojących w miejscu, gdzie rano leżały zwłoki samobójczej zabójczyni. Zamknąłem się w pokoju. Rum stał tam, gdzie go zostawiłem. Tym razem dawka poskromiłaby nie tylko dziecko. Rano zaś niezwykle poskramiający był budzik – uporał się z moimi snami bez drgnięcia wskazówką, może dlatego, że jest cyfrowy. Tak czy owak osiągnął swój cel – mój przysłonięty pijacką mgielką umysł ponownie przystąpił do funkcjonowania. Szybki prysznic, pakowanie i wymuszony koniecznością i uciekającym czasem przejazd PKS-em.

II

Ruszyła maszyna po szynach ospale... Tuwim nie żyje prawie sześćdziesiąt siedem lat, a w PKP wiele się nie zmieniło. Klatka na kółkach wjechała na peron spóźniona zaledwie o pięć piosenek, to będzie jakieś dwadzieścia minut. Chłód dał mi się we znaki, bowiem znowu wstałem wcześniej, a butelka rozgrzewającego rumu była pusta, kiedy wychodziłem z mieszkania. Poprawiłem kaganiec i wskoczyłem do środka. Idąc w zwartym szyku dotarłem do miejsca, gdzie powinna znajdować się moja cela. Przedziału jednak nie było. Sprawdziłem bilet jeszcze raz. Miejsce 63. Przeszedłem się wzdłuż wagonu, a tam zaraz po 48 następowało 71. Wiele się nie zastanawiając, wdarłem się do ostatniego przedziału. Dlaczego do ostatniego? Pomyślałem sobie, że będąc ostatnim draniem idealnie się do niego wpasuję. Poza tym był pusty. Zupełnie jak moje wnętrze. I żołądek.

Załadowałem swoje toboły na górę i rozsiadłem się wygodnie na pryczy. Jadowity syk maszyny zwiastował rychły start. Droga długa, niebo pochmurne, niemal sybirskie. Korzystając z chwili dla siebie, wyciągnąłem książkę i oddałem się lekturze.

Przeczytałem raptem pół strony o przygodach mieszkańców petersburskiego metra, a do mojego przedziału zawital git, w sensie – konduktor. Szybko – pomyślałem. Pewnie wyglądam podejrzanie albo zaostrzyli rygor. Wylegitymowany wróciłem do metra. Kilka stron później do przedziału, nie, nie metra, a pociągu, weszła starsza para. Ona – oaza spokoju, on – zespół niespokojnych nóg. Weterani życia na tym leż padole zachowywali się cicho, a ich opuszczone maseczki nie sprawiały mi problemu. Mało tego, sam pozwoliłem sobie wychylić nos na przestwór pociągowej klitki i pooddychać bez pośrednictwa.

Kolejny rozdział przyniósł nową pasażerkę. Gładkie, połyskujące spodnie, kurtka z futerkiem, szpilki na nogach i świdrujący wzrok, którym sama szpile chętnie by wbiła. Do tego skazańczego transportu zesłana została, żeby napsuć ludziom krwi. Zaledwie ułamek sekundy po wejściu urządziła burdę krzycząc na starsze małżeństwo, że nie mają maseczek. Że ona nalega,

a wręcz rozkazuje, żeby założyli. Że idzie do konduktora. Że ona pracuje w szpitalu. No, w dupie się jej poprzewracało. Podreptujący mężczyzna, krótko stwierdził, że on też kiedyś pracował w szpitalu, zapewne dłużej niż ona, więc swoje wie. Oburzona królowa żmij opuściła nasz karcer. Słyszałem, że kolejne przedziały również się jej nie spodobały. Wróciłem do metra.

Na dworcu powitała mnie salwa chłodnych powiewów. Nagle gwizd. Nagle świst. Para buch i zostawiłem żelaznego węża za sobą. Wsiadłem do powozu nr 13 i zniknąłem gdzieś w szarej, deszczowej dżungli bloków, gdzie czekała na mnie butelka grzańca.

U drzwi spotkała mnie klasyka gatunku, kiepskiej komedii – cisza. Pobimbałem dzwonkiem, aż wreszcie moja królowa wstała. Piękna jak zawsze, nieco zaspana, możliwe, że jeszcze psychicznie nieobecna. Grunt, że otworzyła. Kilka minut później siedziała już nad gorącym kubkiem herbaty, jednym z tych ode mnie. Ja, jako iż zamilowanie mam do klasycznych brzmień i smaków, zdecydowałem się na czarną, niczym moje poczucie humoru, kawę. Czyli dokładnie to, czego ona nie lubi, w sensie kawy, nie humoru.

Kiedy nasze owiane wciąż senną atmosferą kubki zaczęły ujawniać wygląd swoich denek przystąpiliśmy do degustacji planów na śniadanie. Procesory naszych smartfonów zawrzały w poszukiwaniu taniego, dobrego żarcia. Miasto oferuje jednak tylko dwa typy usług – tanie albo dobre. Zważywszy na to, że większość czasu zwykłem spędzać w pracy, tym razem postawiliśmy na bramkę numer dwa. W skrócie: pizza. Drogą negocjacji udało nam się wybrać składniki – nie wiem, jakim cudem trafiłem na kobietę, która też nie lubi pomidora, czy, jak zwykłem to nazywać – tej czerwonej, obrzydliwej, wymiotopodobnej papki. Mniejsza – po zamówieniu zaczął się najtrudniejszy etap, czyli czekanie. Uważny czytelnik zdążył już poznać się na moim życiu, tak też wie, że czas dostawy „nieco” wykroczył poza normy. Zmieńmy więc scenerię – środek dnia, to samo pomieszczenie, głód wypisany na twarzach. Naszych uszu dobiegł subtelny dźwięk trzynastego parkującego pod klatką samochodu. Tak jak przy poprzednich dwunastu ogarnęła nas niezrównana nadzieja, która, o dziwo, ziściła się. Kurier wiedział, że dał ciała, więc wynagrodził nam to butelką czarnej jak... wystarczy tego porównania. Dał nam colę gratis, taką małą, co po rozlaniu na dwa kubki zmieściłaby się w jednym. Co tam, że nasza pizza, wykluczając użycie lodówki, zimniejsza być nie mogła. Grunt, że dostaliśmy równie „cieplą” colę. W czasach opodatkowania wszystkiego, co nie jest własnością rządu, to i tak dużo.

Jako że dzień minął nam na niezwykle nieproduktywnej vegetacji, czas było się zbierać. Spakowałem ledwie wypakowane manatki i wróciłem na krwawoceglasty dworzec. Nim dotarłem na peron, moje oczy powitał jakże „niespodziewany” komunikat o opóźnieniu pociągu. Szok i niedowierzanie... Szok i niedowierzanie to stany, których nie zaznałem. Usadoviłem swoje cztery litery w kącie poczekalni i patrzyłem tylko, jak ilość cyfr w opóźnieniu zmieniła się z dwóch na trzy.

Jako że jestem dobrym pracownikiem i nagrodzony zostałem czymś na wzór premii, postanowiłem zaszaleć i zamówić w dworcowej restauracji zapiekankę w wersji deluxe, czyli i z szynką, i z pieczarkami. Ku mojemu zaskoczeniu zamówienie zrealizowane zostało na czas. Co prawda pieczywo poznaczone było znamionami koloru porannej kawy, ale było... na czas. Gdy skończyłem zajadać się tą nader skrupulatnie wypieczoną bułką z plastrem mielonki i grzybopodobną masą, udałem się bezpośrednio na peron. Z cichą nadzieją, że może akurat, w niewyjaśnionych okolicznościach, skacząc w czasie czy w inny sposób, pociąg zajedzie wcześniej. Ku mojemu absolutnemu niezaskoczeniu tak się nie stało. Kolejne pół godziny stałem na wietrze. Bo można, bo może ktoś lubi, tak dla zdrowotności.

Kiedy żelazna klatka na kołach, o wdzięcznej nazwie „Kopernik”, wjechała na peron, czułem się jak ptak. Czyli przewiany i zmarznięty. I z wielką chęcią zamoczenia dzioba. Nie tym razem, gdyż do domu daleko niemal dokładnie tak samo jak w tę stronę, choć zwykle żartuję, że moja lepsza połówka ma do mnie bliżej. Ot, błąd logiczny: tyle samo, co do centymetra. Załadowałem więc moje cztery litery i torbę lżejszą o czekoladki do przedziału. Tym razem podróż czekała mnie w towarzystwie dwóch Ukraińców uparcie słuchających swoich pieśni narodowych czy innego techno. Na słuchawkach, co prawda, ale tak żebym i ja słyszał. O czytaniu mogłem zapomnieć.

Kiedy dotarłem już do mieszkania, w pokoju czekało mnie chłodne przyjęcie. Chłodne, około dwustopniowe, pieniaące się brązem, czarne w swej naturze, gorzkawe i słodkawe zarazem, nieco kawowe i czekoladowe, dziewięcioprocentowe, butelkowe, bezzwrotne.

III

Wstałem rześki. Znaczący się – względnie. Na tyle rześki, na ile rześki mogę być wstając do pracy o tej nieludzkiej godzinie. Ubrałem się, spakowałem i wio, w te pędy sprzedawać starym babom erotyki, sztukę kochania i inne kamasutry. Tak, pracując w księgarni człowiek zmienia sposób patrzenia na ludzi. A jak już ma się wgląd w ludzkie predyspozycje, to i chętniej się to robi. Uwielbiam życzyć milej lektury panom odbierającym paczuszkę z książkami o obsłudze penisa. Jakoś tak zabawnie się wtedy uśmiechają.

Ranek względnie spokojny. Pomijając klientów 60+, nie mieliśmy żadnego. Uwzględniając klientów 60+, mieliśmy pełen salon. Bycie kierownikiem w księgarni to z każdym kolejnym rokiem coraz bardziej surrealistyczna sprawa – zwiększa się liczba obowiązków, liczba osób, którymi dowodzę, liczba maili do napisania, liczba klientów, na których mam alergię, liczba wskazująca na średnią wieku klientów, liczba pracowników, którzy odeszli i których wyszkoliłem, liczba norm

do wyrobienia, liczba sprzecznych komunikatów. Tylko liczba na koncie się nie zmienia. Pomijając inflację, rzecz mogę, iż mam stabilną sytuację finansową – non stop dostaję tyle samo.

Ogólnie rzecz biorąc, praca z książką to fajna sprawa – mam do niej bezpośredni dostęp, tylko nie mam czasu czytać. Chyba że w pociągu. A takie właśnie miałem plany na popołudnie, więc kiedy tylko wybiła moja godzina, wybiegłem z pracy, zabrałem z mieszkania przepakowane torby i ruszyłem w te pędy na dworzec. Przez „w te pędy” mam na myśli „żałośnie krocząc z wolna w deszczu, gdyż bardziej już nie zmoknę”. Pociąg był prawie na czas. Przez „prawie” rozumiem... a szkoda gadać. W każdym razie – zdążyłem nieco przeschnąć.

Po wejściu do przedziału doznałem uczucia zdziwienia. Pragnę zaznaczyć tylko, że przedział, jak i wagon był prawidłowy. Zaskoczenie wynikało z dziwnie pracującego algorytmu PKP – usadowił mnie on w przedziale I klasy. Istny luksus – sześć miejsc zamiast ośmiu, nie trzeba stykać się ramionami, można wygodnie usiąść. Gdybym jeszcze miał w sobie jakieś emocje, to pewnie bym się wzruszył. Ale nie mam. No i moje miejsce i tak było zajęte.

Gdy tylko pociąg ospale ruszył, rozpoczęły się szarady. Przedział wypełniony był po brzegi. Obstawa klasyczna – opasły dzidowiec, małolata z matką, jedna z tych co je ***** prądem i towarzyszący jej przeciętny glonojad. Plus ja, czyli równo sześć. Aż tu nagle otwierają się drzwi. Do zestawienia dołączył facet przypominający mi dzieciństwo. Wyglądał niczym postać wyjęta z bajki i nie były to Pokemony. Typ wyglądał jak Włóczykij z Muminków, z tym, że zamiast kijka miał parasol i ze dwie torby prowiantu. Spytał kobietę siedzącą na jego miejscu, czy ma bilet. Miała. Powiedziała, że usiadła tam, bo jej miejsca były zajęte. Wskazała wtedy moje – stara kłamczucha. Drugie ze wskazanych zajmowała matka. Ta, jak to rasowa maDka, zaraz zaczęła robić szum i tłumaczyć, że to jej miejsce. Jak się okazało, kobieta trafnie określiła swoją pozycję, z tym, że pomyliła wagon. Włóczykij nie robił problemu, stwierdził, że przejdzie do innej bajki. Do innej bajki nie chciał przejść za to kolejny gość – przeciętna klientka mojego sklepu, to jest jedna z tych, co dorobiła się jeszcze za PRL-u na sprzedaży miejsca na półkach. Swojego miejsca sprzedać nie chciała. A miała siedzisko zajęte przez małolatę, której obrażona matka odstąpiła swoje i ruszyła w poszukiwaniu wolnego slotu na własne omyłkowe cztery litery. W tym wszystkim najbardziej podziwiałem dzidowca – słowem się nie odezwał, jedynie podkurczał nogi, żeby przepuszczać innych. Pewnie nie miał biletu, cwaniak.

Na totalnym wypizdowiu czekała mnie przesiadka. W sensie – to ja czekałem na przesiadkę. Ponad godzinę zresztą. W międzyczasie rozsiadłem się wygodnie na jednej z dwóch ławek wewnątrz gmachu dworca. Na jedynej dostępnej. Na drugiej spał pijaczek. Wyglądał na martwego, dopóki nie przebudził się – wyciągnął wówczas zza pazuchy swoje zapasy, wychylił zawartość

malpki, zdaje się – cytrynowej, po czym zasnął ponownie. Ja pisałem, bo sesja zaraz, bo terminy gonia, bo w końcu nikt nie zerkał w laptopa.

Po przesiadce było już z górki. Ludzi jakby mniej, cel jakby bliżej, bilet jakby tańszy. No i dotarłem. No i fajnie było. Dwa dni na terenie teściów – brzmi strasznie, a wbrew pozorom człowiek się relaksował – rozmowa, żaretko, winko, śmiechy, chichy, odpoczynek. Mogę sobie pozazdrościć.

Zazdrościłem sobie też powrotu. Przynajmniej do czasu. Pomijam fakt, że pierwotnie kupiłem bilet na zły dzień, no i pomijając ten etap podróży z karmiącą matką, studentką i antymaseczkowcem, przecież to wcale nieinteresujące. Tak więc, kiedy czekałem już na przesiadkę, spotkało mnie duże zaskoczenie – pociąg nie przyjechał na czas. Bo przyjechał przed czasem. Mój mózg zwariował na informację, że tak się da. Wsiadłem do, ku mojemu zaskoczeniu, pustego przedziału i czekałem piętnaście minut na odjazd. Jeszcze większe zaskoczenie złapało mnie, kiedy pociąg ruszył po dwóch minutach. Nie jestem jakimś mistrzem dedukcji, ale dość szybko połączyłem kropki, że coś mi tu nie gra. Kiedy tylko wjechaliśmy w strefę, gdzie na ekranie mojego telefonu zaiskrzyła kreska zasięgu, szybko sprawdziłem rozpisę. Wpadłem w zadumę. Pociąg jechał tam, gdzie chciałem, z tym, że kilka minut szybciej i nie był tym pociągiem, na który miałem bilet. Gotów na mandat wygodnie rozsiadłem się i czekałem.

Pomimo półtoragodzinnej podróży nikt nie zawitał do mojego przedziału. Kiedy dotarłem do celu, zrozumiałem, iż ów pociąg był nieoficjalnymi przeprosinami PKP za wszystkie niedogodności, które spotkały mnie przez lata. Skąd to wiem? Jak wyjaśnić, że byłem jedynym podróżnym? Jak wyjaśnić, że pociąg był wtedy, kiedy chciałem, i tam, gdzie potrzebowałem? Opatrzność jakaś czy inne boskie moce, może przypadek, ale słuszny.

Wróciłem do mieszkania i wybaczyłem przewoźnikom lata zniewag. Wzniosłem za nich toast szklaneczką whisky. A nawet dwiema. Niech znają gest. Widzimy się przecież w weekend i zabawa zacznie się od nowa...



Vittorio Corona, *Dinamismo di un treno* (1921)



W STRONĘ FANTASTYKI

Emilia Kuczma

Rzeźbiarka

Skąd wzięła się ta kosmiczna siła, która powołała do życia młode kobiece ciało? Czy była różową mgławicą, planeta, tak samo okrągła jak mury Wiszących Ogródów? Czy bliżej jej było do tchnienia, które podnosi kielki z nasion, czy może do pędu końskich kopyt? Czy była zawieszoną w niebycie piosenką, która darzy rozkoszą uszy, gdy ktoś zdoła się na odwagę, by ją zanucić? Wyszeptać? Wykrzyknąć? Spisać?

A mężczyzna? Miał być piaskiem i formą? Korytem wyschniętej rzeki w suszy, spragnionym rychłego potopu? Czy miał być ostoją, bezpieczną kopułą świątyni? Czy tylko kluczem do wrót wielkiej, zbrojnej twierdzy, w której mógł się schować? Miał być siewcą, pasterzem czy jeźdźcem? Może pijawką, która wysysa uroki z trawionego chorobą dziecięcego ciała?

A może oboje mieli być tą samą, ludzką materią, która zaleje sztuką Wszechświat.

I

Odrzuciła wszystkie wartości na rzecz spokoju w depozycie. Skurcz mięśni twarzy, omyłkowo nazywany uśmiechem, w istocie obnaża zęby zdominowanego zwierzęcia, prezentującego uległość, skruchę i lęk. Dobry nastrój to chwilowy przestój karuzeli strachu, izolacja od nieprzyjaznych bodźców skandujących błędy lat wcześniejszych, porażki wychowawcze.

Ostatnio mało się uśmiecha. Czyli bywa dobrze. Naprawdę dobrze.

Tyle razy przeinterpretowywała główny tekst, rozbijając go na czynniki pierwsze, katalogowała mikroskopijne wspomnienia budując albumy, składała na nowo, najpierw w to samo, czym był na początku, z czasem, ulegając naciskom, konstruuując z niego rzeźby z kategorii trochę sztuki pierwotnej, trochę *recycled art*.

Ktoś z zewnątrz nazwałby to śmietniskiem, składowiskiem rupieci. Ktoś bardziej uwrażliwiony na brzydotę, ktoś taki jak ona, z pewnością dostrzegłby w tych strzępach złomu dwumetrowy kwiat, hortensję o blaszanych listkach, choinkowe drzewko obleczone tysiącami

lampek jak liana, o igłach z tęczowo barwnych kabli, albo też pawia z tysiącem neonowych oczu, które mrugają niby ostrzegawczo, niby kusząco. Pochłaniała ją ta zabawa w konstruktora-kreatora. Zatapiała.

Tak właśnie, DAWNO, DAWNO TEMU, w pewnym zamkniętym Kosmosie, czyjeś drobne, jasne dłonie łamały, zginały, przykręcały i stapiały skrawki metalu, budując ostatni żywy świat pod słońcem. W miejscu, gdzie brakowało już jezior, gdzie rzeki nie miały sił, by spotkać się z morzem, gdzie góry skruszały rozsypując się w żwir, piach i pył, pewna Rzeźbiarka budowała sobie Królestwo Ostatniej Szansy, Rajski Ogród oślepiający blaskiem stali – jedynej materii, z której go tworzono, Eden ziębiący każdego, kto odważył się dotknąć jego skrawka, nieświadomy ciepła, jakie mieści się w pewnym bladym ciele – najrzadszym okazie – w samym jego centrum.

Przyszł jednak dzień, kiedy części pierwsze się skończyły. Stada stalowych zwierząt i kępy drzew zmroziły przestrzeń wokół, a metaliczny odór wymieszany z posmakiem rdzy wdzierał się w receptory niczym paskudny lek, czyniąc podniebienie zgorzkniałym i ślepym na wszystkie inne smaki.

Smutek spełnionego marzenia.

Nikt nie wiedział, czy jest to zoo pozbawione gości, wnyki na roboty, czy pozytywka w pudełku, która wydzwoni swoje melodie w dniu, gdy otworzy ją jakiś zbłąkany rycerz, wysłucha, a jego żebra rozewrą się, odsłaniając spisane nuty tej właśnie, nazwanej od wtedy piosenki.

Olbrzymie złote żyrafy płonęły, buchając ogniem spomiędzy kręgów szyjnych i oczu, niekiedy ziejąc jak smoki, zarażały piekłem dziesiątki innych zwierząt. Konie zastygłe w galopie rżały świstem ciśnienia zaplombowanych ołowianych kotłów, wzrastającego w ich olbrzymich płucach. Zaraz wybuchną.

Tykające jak maleńkie bomby pszczoły i świerszcze traciły nogi nadepnięte znienacka czyjaś nieuważną stopą. Zmiażdżone, przypominały strzępy sreberka, w ich wnętrzach niekiedy tylko można było dojrzeć jakiś mrugający organ, najpewniej to dziwne owadzie serce w ostatniej odzie, wieczornej serenadzie nocnych owadzich spraw, kołysanek spomiędzy traw, oprószonych nie szronem, lecz rdzą dnia, jak kwiatowym pyłem.

Tysiące stąpnień depczących rzeźbiarski kunszt, elementy najmniejsze, najdoskonalsze a zarazem najprostsze. I woda. Całe wiadra słonej wody, która miała zmyć ten rozgardiasz, niemilosierny sztuczny twór jakiegoś obląkańca, cały ten brud, rozpuścić, na zawsze zmyć po cichu przyprawiając o korozję, aż obróci się w pył, rozsypie. Kurz i pył.

Przetopić to wszystko na pomniki, stalowe giganty, odlać tysiące identycznych kwiatów z brązu, ażeby tę ziemię uczynić swoją, sobie wreszcie poddaną, żywą do szpiku martwotą naiwnie ocucić; ziemię, a raczej pustynię, na której brak już nasion i krwi. Ożywić piach. Stopić wszystkie

ziarna klepsydry i tak ją odwrócić, ażeby cała jej zawartość poddała się grawitacji. Oto czego pragnęła Zła Siła ukryta pod czaszką pewnej Rzeźbiarki.

Tymczasem po drugiej stronie Planety snuł się rycerz odziany w żywe, tętniące krwią ciało, z umysłem niezmaconym żądzą władzy. Przemierzał wydmy na ostatnim organicznym wierzchołku, wieczorami lustrując niezapisane karty jedynej swojej księgi. Był młodym wygnańcem, którego w dzieciństwie podstępem skazano na tulaczkę po najbardziej jałowej ziemi słonecznego układu. Szczęśliwie, książkę ten posiadał serce, które mimo okropności, z jakimi przyszło mu się zmierzyć w samotności, nigdy się nie zatrzymało.

Pewnego dnia do Mechanicznego Pałacu zajechał strudzony wędrowiec. Minawszy Wiszące Ogrody, stanął pod bramą czekając, aż male szklane oko tkwiące na szczycie mrugnie zalotnie, pozwalając mu przekroczyć złoty próg posiadłości. Kiedy zostawiał za sobą na zawsze pustynne piaski, srebrna ważka przysiadła mu na ramieniu pytając, kim jest, czego pragnie i o jakiej porze dnia zjawi się u królowej. Gość odparł, iż jest badaczem istot żywych, że pragnie spisać wszystkie tutejsze gatunki, a czas jego odwiedzin przypada na wieczór.

– He- he- heretyk! – Zacięła się ważka i odfrunęła bezszelestnie, znikając w gęstwinie mosiężnych frezji.

Botanik postanowił czym prędzej przystąpić do pracy, jednakże ogrom blaszanych koron drzew, ilość kabli oraz wszelkich żyjatek pelzających i fruujących wokół, wróżyła bardzo długi czas potrzebny do sporządzenia kompletnych szkiców, opisów, wykazów i klasyfikacji. Spacerował więc z lupą pomiędzy wybrukowanymi złotem alejami, przez łąki obrosłe w żarówce o najróżniejszych kształtach, potykając się co rusz o jakiś trybik, śrubkę, nie zastanawiając się przy tym, czy bezceści w ten sposób czyjeś zwłoki, czy też przyczynia się do tworzenia nowego życia, strącając jakiś opilek bliżej większej żeliwnej macierzy.

W najwyższej wieży zamku pewien ślepy, pozbawiony cyfr, zegar wybijał w majakach kolejne godziny dnia, przyprawiając Ogród o straszliwy lęk. Zła Siła zdawała się napelniać trwogą każdy zakątek wokół pałacu, uciszając nakręcane żaby, odłączając od prądu stada unieruchomionych w biegu rzeźb antylop, których ślepia i aorty gasły albo też pod wpływem nagłego zwiększenia mocy wybuchały, wyrzucając w przestrzeń kawałki najostrzejszego szkła.

Zamierały. Później, gdy Zło zasypiało, pewne blade bosc nogi wędrowały po ostrych odłamkach, zakrwawiając ścieżki wiodące przez gąszcze, utykały pomiędzy źdźbłami wysokich nierdzewnych zbóż, zacinane tysiącami porozkręcanych, wbitych ostrzem do góry, nożyc... Jako ostatni przychodził szloch, który trwał tygodniami, spływając strugami po aluminiowej sukni, wsiąkał w piach bądź podlewał śmiertelnie lilie o patynowozielonych lodygach.

Ale tym razem miało być inaczej. Tego dnia do królestwa przyszedł pierwszy gość, który wymagał zastosowania najwyższych środków ostrożności. Mechaniczne żyjątko krzątało się zwinnie w pośpiechu, zaaferowane obecnością tajemniczego przybysza, stuknęło radośnie racicami w bieżący, zgrzytając turbinami w locie, tworząc wrzawę, która zagłuszała nawet Tykającego Ślepcę.

Przyrodnik dość prędko zaprzestał sporządzania wykresów, pochłaniając wzrokiem cuda pierwszego żywego świata, jaki dane mu było spisywać we własnej pamięci. W Edenie żadne stworzenie nie czyniło drugiemu krzywdy. Masywne nosorożce klaniały się głęboko, pochylając swe ciężkie ołowiane głowy zwieńczone mosiężnymi rogami. Jelenie podbiegały zwinnie, dostojnie prezentując poroża, a papugi, bażanty i lirogony rozkładały wachlarze blaszanych piór, odbijając oranżowe promienie zachodzącego już słońca. Zupełnie jakby go kusily, próbowały przekupić, nabierając na swoje sztuczne piękno.

Nadeszła godzina wieczorna.

Błękitna smuga oblała rajski mechanizm, który topiąc się z każdą kolejną minutą w coraz ciemniejszych odcieniach indygo włączał światła setek wielobarwnych oczu i szklanych serc. Poprzerastane kablami gąszcze rozbłysły tysiącami lampek, a neonowe oblicza słoneczników i magnoli o skrzących się nieśmiało przeciekach zaczarowały noc w jakiś tajemny sen o tęczy, której nie potrzeba burzy i słońca, jedynie prądu i krwi.

Olbrzymie marabuty klekotały pomiędzy tatarakiem, dziecięcy wystukiwały rytm do trzech, a chór cykad niczym spotęgowany szepot podekscytowanego tłumu zwiastował zbliżającą się historyczną dla dziejów królestwa chwilę. Tylko sam badacz nie był jeszcze świadom, jak wielkie brzemię na siebie przyjął przekraczając bramę Raju.

Kiedy stawiał się u wrót pałacu, te były już otwarte. Fauna i flora huczały coraz donośniej, gdy wtem cienkie jak pajęczce odnóża wskazówki oznajmiły godzinę siódmą, tnąc euforyczny harmider na głuche strzępy.

Badacz nie przeląkł się jednak i śmiało przekroczył próg, a drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Gdybyż on tylko wiedział, ile nakręcanych dusz liczyło na jego ofiarę!

II

Otoczony całkowitym mrokiem, już miał wykonać pierwszy krok, szukać po omacku włącznika światła, lecz nagle podłoga, na której stał, ruszyła, niosąc go wartko w nieznanym kierunku.

Podczas tego biernego marszu ciemnymi korytarzami pałacu chwilami zdawało się, że słyszy ciche dzwonki, kwilące ostrzegawczym sygnałem zza niewidocznych ścian.

Ruch podłóża ustal. Dziecięce chrząknięcie odbiło się echem w pomieszczeniu i po chwili wszystkie świetlówki rozblęsnęły biało-seledynowym światłem.

Znajdował się w olbrzymiej, pustej białej komnacie pozbawionej okien. Odwrócił głowę. Z początku maleńki, rozpędzony w jego stronę okrąg zatrzymał się ze skrzypieniem tuż przed jego twarzą, prawie dotykając koniuszka nosa. Przyrodnik z początku złęknioty, opanował emocje, jak przystało na naukowca, osobę światłą, zaangażowaną w cel, jaki sobie stawia. Wyjął więc lupę, niespiesznie wytarł szkiełko i ze spokojem godnym doktora od przypadków najtrudniejszych, okiem uzbrojonym zajrzał w głąb soczewki teleskopu.

Zdarzyła się rzecz niesłychana. Magiczna i nienaturalnie nieprzewidywalna. Jedna z tych pojedynczych, niecyklicznych. Mianowicie, w tym ułamku, w tym jednym nieuchwytnym momencie, krótszym nawet niż czas potrzebny kolibrodronom do wykonania pełnego obrotu skrzydełkami – dwójka czyichś przystrojonych w soczewki oczu zachłysnęła się swoim obrazem! Maleńki elektryczny ładunek przeskoczył pomiędzy źrenicami płasząc w górę i w dół jak mocno napięta, najcieńsza struna instrumentu. Sufitowe lampy krztusiły się światłem rozblęskując, to znowu ciemniejąc, wreszcie zostawiając niemych rozmówców w cierpkim odrętwieniu...

Nagle teleskop skurczył się jak sprężyna. Jakaś maleńka figurka w dali odsuwała na bok swój badawczy przyrząd.

– Czy zastałem królowę? – zapytał książę, jednak nikt nie raczył mu odpowiedzieć. Dopiero po chwili wybrzmiał głos o barwie specyficznej, melodyjnej, ni to należącej do kobiety, ni to do chłopca

– Jaśnie Pani Królowa się wa-ha.

Szepty znów przybrały na sile, po czym równie prędko ucichły, a podłoga, na której stał gość, ponownie ruszyła, zmierzając w stronę niesymetrycznego tronu. Po kilku sekundach oczom przybysza ukazała się w dali krucha, dostojna postać o władczym spojrzeniu, w kunsztownej aluminiowej sukni niemal spływającej z ciała, od linii obojczyków ku stopom. Na głowie połyskiwała korona o ostrych jak brzytwa krawędziach, co dziwne – nie pozostawiając wyraźnych skaleczeń na czole, które zdobyła.

Wymachując berłem, jak obłąkana wróżka, siedziała niedbale na tym swoim szezlongu, który zdawał się topić, zalewając podest swą formą. Spojrzenie jej było zimne i nieprzeniknione, badawcze, a zarazem pełne wyniosłości, godnej największego mędrca, który zadaje pytania, znając już na nie odpowiedź.

– A więc? – spytała niespiesznie.

– Tak? O, tak! Wasza Wysokość, przybyłem by...

– Nie dokończyłam pytania – westchnęła, przewracając oczami. – Małpo! Podaj mi żelazo. Ryża sługa złęknioma tą prośbą czmychnęła do rozsuwanych drzwi windy, ciągnąc za sobą kraniec zbyt dużego fraka. Za moment z wielkiej przezroczystej tuby spuszczonej na blat nocnego stolika wypadła tabletki.

– Doskwiera ci choroba, Pani?

– Doskwiera mi bicie serca. Okrutnie to męczące. Wszystko tu tyka, uderza, wali. Głowa od tego pęka...

– Tam, skąd przybywam, nie słycać nic prócz szumu, gdy wiatr toczy piach po wydmach.

– Biedactwo! Szum jest najgorszy! – Małeńka tabletki równie biała jak skóra na policzkach, zniknęła w pełnych różanych wargach, mijając migdałki. – Czasem rozsadza głowę przeradając się w świst, paradoksalnie, właśnie wtedy głuchnę na wszystko, co wokół...

Zakasłała.

– Chciałem raczej powiedzieć, że pięknie jest słycać cokolwiek, Wasza Wysokość, w twoich ogrodach wszystko tętni, a jeśli nie...

– Dość – poinstruowała małpę, której czarna drżąca dłoń najpewniej napelniała właśnie pierwszy kieliszek w życiu. – Mów mi Hawwa.

– ...to słodko szemrze... Adam.

– No tak. Mechanik... Rozczaruję cię. Moje królestwo działa w najlepsze i nie trzeba mi twojej pomocy. Zresztą... – Przeciagnęła się jak stary kot mrużąc oczy. – Sama wszystko tu zbudowałam. Znam każdą śrubę i trybik.

– Ależ, Hawwo, czy ważka ci nie przekazała? Jestem przyrodnikiem, badaczem istot żywych i spraw naturalnych, posiadam wszelkie kompetencje...

– Tak... Mówiła, żeś heretyk. Małpo! – Podniosła się niczym lwica. – Wino.

– Nie. Przybyłem tu, by spisać wszystkie gatunki roślinne i zwierzęce.

– Ajajaj! – Pokiwała kieliszkiem, obserwując, jak czerwona ciecz obmywa kulistą formę. Rozlała.

Sługa zabrała się za ścieranie kropli burgunda z aluminium, jednak pani odprawila ją zamasyście jak psa. Zganiona spojrzała na Adama, ostrzegawczo wybaluszając oczy na drzwi. Czy wskazywała ratunek? Sugerowała ostatnią szansę?

– Śliczne... – Chyba pierwszy raz uśmiechnęła się bezwiednie, naturalnie.

– Co takiego?

– Kropelki... Lubię sobie wyobrazić, że to prawdziwy sok...

– Wybacz, Hawwo, ale im dłużej tu jestem...

– Zimno tu... wiem, przepraszam!

– Ach... – Widząc, że dialog ten nie ma sensu, Adam wlał pierwszy haust wina do gardła, aż żelazny posmak obmył jego język, przyprawiając o nagłe obrzydzenie.

– Och! Nie smakuje ci! Przepraszam... Nie spodziewałam się, że ktokolwiek mnie odwiedzi, zmuszając do wypełniania obowiązków gospodarza... Nigdy nikogo niczym nie częstowałam, wybac mi...

Widząc, jak twarz królowej pąsowieje ze wstydu, że zaraz rychło wybuchnie szlochom niczym mała dziewczynka, księżę wypił pospiesznie cały kieliszek. Każdy kolejny łyk był słodszy, każde kolejne drgnięcie grdyki wdzięczniejsze, bardziej łapczywe...

– Smakuje ci! Smakuje! – Małpo przynieś drugą butelkę! Już!

Dźwięk marszu bosych, szorstkich stóp, które przed chwilą opuszczały komnatę, ponownie stawał się głośny.

– Nie, nie, naprawdę dziękuję, pani... Hawwo. Chyba kręci mi się w głowie...

– Istotnie, ja też zaraz zemdleję... Chyba to czas na sen... Ale dziękuję, że raczyłeś mnie odwiedzić. Zagłuszyłeś wszystkie te rupiecie... Dobranoc, Adamie... – Kryształowy kieliszek wypadł ze zwiotczalej nagle dłoni, rozpryskując się na posadzce z resztką zawartości. Królowa opadła, zupełnie jak jej odłączeni od mocy poddani.

Oczy zgasły niknąc pod gilotyną powiek.

– Hawwo... – wyszeptał ostatnim tchnieniem przyrodnik. Zasnęli.

III

Adam obudził się wypoczęty, tak jak miało to miejsce za każdym razem, gdy królowa zapraszała go do siebie na degustację. Wszystkie wieczory wyglądały ludzaco podobnie. Księżę stawiał się pod pałacem, prowadzony do sali tronowej przez małpę, którą z czasem zaczął darzyć pogardą wzorem jej właścicielki. Każda komórka jego ciała była wdzięczna za te kilka godzin, kiedy ofiarowano mu najslodsza ambrozję. Następnego dnia odzyskiwał przytomność gdzieś w ogrodzie, nie pamiętając nic, co miało miejsce po spożyciu trunku. Kierował się wyłącznie przeczuciem, że kolejnego popołudnia ważka podfrunie z zaproszeniem ponownie. Na pewno.

Kiedy żył na pustyni, niejednokrotnie spoglądał w niebo, szukając punktów odniesienia. Masochistycznie oddając się wyobrażeniom o swoim utraconym raju, zatapiał wzrok to w jednej, to w drugiej konstelacji, z nadzieją, że gdzieś tam, hen w górze, na jednym z błyszczących okruszków mieści się jego dwór, z którego również ktoś go wypatruje.

Podczas pobytu na królewskim dworze, jego tęsknota za ojczyzną stopniowo jednak gasła, a nawet poczucie czasu niknęło gdzieś bezpowrotnie, gdy pochłonięty pracą za dnia, wieczory spędzając na rozmowie o czarnych dziurach i astralnej sile, zapominał o wydmach, kulistości planet oraz prawach fizyki, które Ślepiec nadaremnie starał się mu przypominać co godzinę.

Humor nie odstępował go na krok, a mury Wiszących Ogrodów przysłaniały wszelkie jego dawne troski.

Któregoś ranka natrafił na wyjątkowy okaz srebrzystego ostrokrzewu o krawędziach cienkich, jak brzytwa. Błaznane listki odbijały promienie słońca jeszcze piękniej niż korona Hawwy skrzęca się w blasku świetlówek pałacu. Zdawać się mogło, że skonstruowanie podobnego nakrycia głowy dla siebie samego nie stanowiłoby dużego wyzwania – cóż bowiem skomplikowanego w zapleceniu cierniowego wianka; jednak, właśnie kiedy przyszło mu na myśl, by zerwać pierwsze źdźbło, nadfrunął posłaniec.

– Jaśnie Pani Królowa, Konstruktor-Kreatorka Natury Martwej i Wszelakich Jej Przejawów, zaprasza cię, o Adamie, Panie Wydm i Księżę zza Murów, na degustację ambrozji, dziś wieczór, to jest, gdy wybije godzina siódma.

Adam wzdrygnął się na tę wieść zacinając się przy tym w palec.

– Aj! – jęknął. – Przeszkadzasz mi, sługo.

– Wybacz mi, księżę. Czy mam to rozumieć jako odmowę?

– Nie. Po prostu... – Przyrodnik oglądał teraz swoją dłoń, która istotnie nie krwawiła, chociaż mógłby przysiąc, że liść werznął się głęboko w jego tkanekę.

– Czy coś się stało, księżę?

– Nie, ważko. Przekaż królowej, że się zjawię, jak zawsze... Dziękuję.

I ważka odfrunęła, czy też może się zdematerializowała, bo Adam nie dostrzegł jej odlotu. Zaaferowany dziwnym zdarzeniem postanowił odłożyć formowanie korony na następny dzień.

Jego twarz przesłaniał okazały bukiet sztucznych lilii.

Królowa musiała dłonią zakryć oczy od nadmiaru światła. Jednak nie blask metalowych roślin klął jej źrenice, a szeroki uśmiech widniejący pomiędzy lodygami.

– Sporządzałeś wykresy?

– Oczywiście, Hawwo, jak co dzień. – Mrugnął do niej prawym okiem.

– Hmm. A już myślałam, że wygrałeś jakąś bitwę.

Gorzka pigulka zniknęła za kurtyną spierzchniętych ust.

– Doprawdy, nie musiałeś się trudzić. Wolę pozostawiać swoje twory za murami pałacu. Tak jest sterylniej. – Królowa zaklaskała i odziany jak bezdomny w zbyt duże ubranie orangutan nalął gościowi pierwszą porcję trunku.

– Opowiesz mi teraz o swojej planecie? Jaka ona jest?

– Wspaniała – uciał krótko, za chwilę wystawiając język w modlitwie o ostatnią kropelkę nektaru. Kielich zawisł nad twarzą przysłaniając pytanie, a czerwona kometa stopiła pragnienie, które rychło miało powrócić ze wzmożoną jak zwykle siłą.

– Rozwiń, proszę.

– To będzie bardzo trudne... – Upiornej lekkości mosiężnego naczynia towarzyszyła żelazista woń, prócz której nic nie zostało się w czaszy.

– A więc jesteś księciem?

– Mogę potwierdzić, a także zaprzeczyć. Zrzuciono mnie tutaj bardzo dawno temu. Czy byłabyś tak dobra i uraczyła mnie jeszcze tym winem?

– Jesteś dzisiaj wyjątkowo niegrzeczny.

– Nie, Hawwo. Zwyczajnie targa mną pragnienie. W odróżnieniu od twego pałacu pustynne piaski nie nagrzewają się tak mocno jak materie, z których zbudowałaś swój przybytek. Powietrze tu aż faluje.

– Może to fatamorgana. Całe to skupisko.

Królewska bosa stopa uderzyła trzykrotnie w metalowy szeszląg. Adamowi zdało się, że dostrzega na jej skórze szereg blizn. A może tylko nierówna powierzchnia sukni odbijała kanciaste cienie na ciele?

Małpa wróciła rzucając srogie spojrzenie na obcego. Naląła napoju nieco mniej niż zwykle. Książę nie pozostał jej dłużny i gdy się odwróciła, nadepnął na kraniec jej fraka. Upadła, twardo uderzając o ziemię. Nie wydała z siebie nawet pisku.

– Jak śmiesz!?! – krzyknęła Hawwa, stopniowo wtapiając się w biel pomieszczenia.

Przeżona sługa rozejrzała się wokoło, wpierw spoglądając w oczy swej pani. Na przyrodnika bała się od tej pory zerknąć. Kuśtykając trzymała się za twarz, mruganiem powstrzymując hańbiący dla niej płacz.

Cisza wypełniła salę.

– Dlaczego tak patrzysz? – spytał w końcu. – Hawwo...

– Wieczory budzą największe obawy... – Oczy władczyni napelnily się trwogą, szukały odpowiedzi, ich galki skakały jak pchły. Zagryzła krzywo wargę, po czym zeszywniała prostując się niby posąg, rzuciwszy w kierunku gościa lodowate spojrzenie.

Adam wystraszył się tej kobiety.

– Nie jesteś tu pierwszym księciem. Nie tylko ciebie wygnano z królestwa. Różnię się od was tym, że sama potrafię zbudować swoją bezpieczną twierdzę. I nie jestem na tyle głupia, by nazywać ją domem. W tym słonecznym układzie nie istnieją domy. Są ściany. Są mury. Gruzy. Wysypiska. Zamknięte kopuły bez wyjścia. Ale domów nie ma.

Przyrodnik bezowocnie próbował znaleźć w myślach źródło tej nagłej aluzji.

– Skąd to wiesz? – dopytał wreszcie.

– W odróżnieniu od ciebie nie posiadam lupy, a teleskop.

– Ach tak? I cóż takiego udało ci się przezeń dostrzec, królowo? – Jego szczęka stwardniała.

– Twoje dziedzictwo.

Księżę wzdrygnął się na słowo, które chowane w podświadomości od czasu dzieciństwa, teraz wybrzmiało jak dzwon, głośniejszy od wskazówek samego Ślepcy.

– Ach tak... – Zasepił się. – W takim razie wiesz lepiej, jak je opisać. Będę rad słuchając twych obserwacji!

– Chcesz wiedzieć? Dobrze więc. To miejsce ludzi zatwardziałych i pysznych. Każdy jego mieszkaniec włada innym, sobie tylko znanym dialektem. Mieszkają na górze, której bliżej do kurhanu z glazów, co dawniej tworzyły świątynie, akwedukty, posągi bezimiennych bohaterów. Wszyscy dlawią się pyłem, szturchają, potykają, co rusz wykrzykują słowa starych ksiąg, których dziś nikt już nie rozumie. Upadła cywilizacja, która może była dawniej miastem światła, może nawet bogów, pełnym prawdziwych roślin i zwierząt o zapachach tak rozmaitych i dźwiękach odmiennych od tętentu ciężkich kopyt, ale dziś to imaginacja.

– Możliwe. – Mówiąc to spojrział gdzieś za siebie, bardzo, bardzo daleko. – Weź je.

Ogromna księga z wymalowanym napisem *Atlas istot żywych* spadła z hukiem przygniatając dziennik.

– Oto jest spis wszystkich martwych istnień tego padolu.

Mimo, że zwierzęta nie mogły dosłyszeć tych słów, właśnie w tym momencie każda para szklanych ślepi zgasła, każda czerwona dioda schowana pod żebrami szerniała. Motyle, jętki, chruściki i ważki kolejno zastygały w powietrzu, lecąc na ziemię niczym deszcz i roztrzaskiwały się w drobny mak bądź zalegały na niej ze skrzyżowanymi odnóżami, jak pomdlale kowaliki, kózkowate, pluskwiki. Większe zwierzęta, oryksy, wielbłądy, antylopy gnu i bawoły sztywno spuszczały głowy do ziemi zastygając w wiecznym letargu, zaś te o ciałach cieńszych i smuklejszych przewalały się na bok. Żyrafy padały kolejno, jak grzmoty, a ich szyje łamały się na kilka części, osierocając głowy.

Słoniątko, które przed chwilą radośnie tarzało się w kaluży smaru, teraz zeszytywniało w czarnej mazi tak, że tylko mały obły brzusek i część dużego ucha wystawały ponad powierzchnią, trąba była niewidoczna. Szczęśliwie oczy słonicy zgasły sekundę wcześniej.

Kajmany z brązu spojrzwały żałośnie na miedziane flamingi, rozdziawiwszy paszcze, jak gdyby wierząc, że dane im będzie ostatni i pierwszy raz w życiu zabrać głos.

Rechot żab, śpiew drozdów, kosów oraz wszelkich ptaków obniżył swój ton do rejestrów zgrzytliwych, coraz niższych, aż wreszcie niesłyszalnych. Pazurkami wczepione w gałęzie truchła zawisły głowami w dół niczym maleńkie huśtawki.

Królowej zrobiło się słabo.

Zerknęła ostrożnie na swój nocny stolik, bez powodzenia próbując doszukać się na nim kolejnej dawki żelaza, która pozwoliłaby jej upić przybysza do cna. Niestety, poprzednia okazała się ostatnią.

– Od teraz mój pałac jest skażony. Rozkazuję ci jak najprędzej stąd wyjść.

Mężczyzna zacisnął pięści. Powstał z białej posadzki. I zadarłszy brodę, patrzył przez chwilę na królową, jak ofiara i kat w jednym ciele.

– Już! – Ocknęła się, po chwili rzucając weń berłem.

Ślepiec oszalał.

IV

Gdy Adama pochłonęły drzwi, Hawwa osunęła się ze swojego tronu na posadzkę. Opuściły ją siły i zmysły. W odróżnieniu od swego rozmówcy, nie miała żadnej kondycji. Była jak pusty wazon, stęskniony kwiatów i wody. Jak nagie piskłę zdychające w rynsztoku. Zaś najgorszym ogniwem tej karuzeli strachu był fakt, że żadne z wymienionych nie miało przecież prawa istnieć na planecie pełnej zanimalizowanych kukiel.

Ryża sługa chwiejąc się podeszła niepewnie, jednak ilekroć miała jej użyczyć swojego ramienia, odskakiwała krzyżąc w przerażeniu, aż w końcu wybiegła z sali pewna niebezpieczeństwa, które mogło ją czekać. Miała słuszość, bo już po chwili pałac spowil mrok, sufitowe lampy zgasły, a zegar począł przeraźliwie wzywać na pożegnalną mszę, świadom, że przyjdzie mu zabić po raz ostatni.

Adam wkraczał właśnie do Ogrodu, chociaż pełen gniewu i smutku, zdumiony ogromem zmian, jakie dokonały się pod jego nieobecność. „Czy zawsze było to miejsce tak straszne? Czy wino odbiera mi zmysły, czy może to czary?” – jął powtarzać cicho w subtelnym oblędzie. Był to pierwszy raz, kiedy sam, na własnych nogach opuszczał królową w nocy, nie miał obudzić

się wypoczęty następnego dnia, nieświadom, co działo się w ułamku doby, kiedy jego ciało pozbawione było wszelkiej percepcji.

Targały nim jakieś nieokreślone wyrzuty sumienia i żal względem Hawwy. Zaczął analizować, czy istotnie zachował się podle w stosunku do sługi, czy nie był zbyt łapczywy, pragnąc dolewki trunku? Wszak, zapraszany był dzień w dzień na degustację. Czego, jeśli właśnie nie zaspokajania pragnienia, miał więc oczekiwać?!

Ta ostatnia myśl dotycząca ponownego zażycia wina o żelaznym posmaku oczyściła go z gniewu, przyprowadzając o pragnienie, z jakim jeszcze nigdy w życiu nie dane mu było się zmierzyć. Każda komórka jego ciała zdawała się lkać z bólu, z tęsknoty do gorzko-słonej, lepkiej substancji; cieplej ciecicy, która odżywiała jego strudzone wieloletnią tulaczką przez piaski pustyni mięśnie. W szczególności ten jeden mięsień w samym centrum kościstej klatki, który wyrwał się niczym wyposzczony przez wiele, wiele dni lew, pożerając jego jaźń kęs po kęsie, zostawiając mu laskawie wyłącznie instynkt przetrwania, a jednocześnie pozostając w bezruchu. Ból fantomowy.

– *Od was. Od was. Od was!* Składowisko śmieci. Rupieciarnia. Pluję na ten Eden! Co też ja miałem w głowie, chcąc to wszystko spisać!? – Zadręczał się nieszczęśnik...

– Och słodka ambrozjo, bezimienny trunku... – Usta miał suche, a oczy wielkie i czarne jak smoła. Nie były takie wcześniej. – Piekielna udręko! Chodź do mnie! Pochłoń i daj popaść w niebyt! Och najśłodsza... Maro senna! Moja głowa... – Opadł na pień drzewa, aż kilka martwych truchel zaskrzypiało na gałęzi objijając się o siebie dziobami jak dzwonki. Odskokzył przerażony, gdy wtem coś chwyciło go za ramię.

Piękne lśniące oczy, najsmutniejsze pod słońcem, wpatrywały się w niego łzawym spojrzeniem, trochę beznadziejnie, trochę błagalnie. Rudą sierść prześwietlał leciutko księżyc. Frak zniknął. Stali tak przez chwilę wpatrzeni w siebie wzajem, kiedy ciszę przerwało skruszone:

– Przepraszam...

Małpa spuściła wzrok, po czym chwyciła przybysza za rozedrganą rękę.

– Wybacz mi, ale nie mogę z tobą iść. Zostałem wygnany.

Jednak sługa zmarszczyła brwi, tupnęła nogami i ponownie rozwarła szeroko oczy, pozbawiona tajemnej mocy ludzkiego języka. Mimo to wysłuchał jej.

Szli dość długo, podążając przez gęszcze szpikulców i noży, co rusz depcząc jakiś mały martwy mechanizm. Zdarzało się często, że ostrza wrzynały się w nogi Adama, nie zostawiając na nich dziwnym trafem blizn, podczas gdy przewodniczka zdawała się znać każdy element otoczenia na pamięć.

Czyżby scenariusz tej wystawianej na deskach Edenu tragedii był dla niej codziennością? Czy Adam doprawdy zawsze przesypiał główny akt sztuki? Nie potrafił sobie odpowiedzieć...

Kiedy zbliżali się do wrót, małpa gwałtownie odbiła w prawo i tym sposobem okrążając pałac znaleźli się przed czymś na kształt szopy. Książę nacisnął klamkę, służa wybiegła przed niego, by uruchomić ukryty za ścianą włącznik światła.

Czy byłoby możliwe, by książę zniknął na zawsze? Zapodział się gdzieś za horyzontem? Może teleskop istotnie pomagał w dojrzeniu gwiazd i mgławic, ale nie był w stanie wychwycić zjawisk, jakie zachodzą po drugiej stronie tej właśnie planety, na której sam się znajdował... Zła Siła wypełniła swą goryczą skronie, częściowo znajdując ujście w królewskich kanalikach łzowych, które nie dały się jej dostatecznie uwolnić. To nic... Była spokojna, pewna rychłego zwycięstwa, zawładnięcia i tak już półmartwym ciałem. Powolutku spływała w dół do samych jego krańców, płacząc po drodze jakieś wiry między piersiami. Krew nabierała ciemnej barwy, pieniała się czarno tak, że sina stawała się skóra, a oczy kwitły purpurą.

Krzykiem próbowała uwolnić ducha z chorych murów, ostatni raz rozszerzyć okiennice powiek wyskakując, pozostawiając za sobą wszystko, co cielesne. Urządzić największe w dziejach Bachanalie, wylewając na bruk całe zapasy własnoręcznie robionego wina, ulecieć w kosmos, do sfer zimnych i bezdźwięcznych lat sprzed Apokalipsy. Dotychczas nawiedzały ją podobne myśli, nigdy jednak nie posiadała w sobie odwagi wystarczająco wielkiej, by je ziszczyć.

Chociaż bramy zostawił już daleko w tyle, Adam wcale nie był pewien, czy dobrze robi, podążając za służą. Szopa była pełna kurzu, pajęczyny formowały girlandy, na których skrzyły się ośmionogie broszki i ich uskrzydłone ofiary. Samotna lampka dyndała z sufitu wyświecając światłem pojedyncze punkty popadającej w ruinę pracowni.

Orangutan przykucnął pokazując palcem fragment podłogi. Odlane w brązie okrągłe wrota do podziemi, z wygrawerowanym na nich wężem, połyskiwały w ruchomym świetle niczym stara moneta na dnie spróchniałego kufra. Małpa zrobiła nagły krok w tył, patrząc co rusz na przemian to na wrota, to znów na podłogę i w oczy swojego nowego pana.

– Wierzę, iż nie jest to rodzaj twojej zemsty.

Schowała twarz w obydwu dłoniach, jak małe dziecko.

Książę odchylił wieko wjazdu, puszczając przewodniczkę przodem, ale ona nie śmiała ni drgnąć.

– Dobrze. Tylko masz pilnować tego wyjścia, zrozumiano?

Małpa zamrugnęła oczami siadając na brązowej tarczy.

Przyrodnik chwycił się szczebli drabiny, schodząc nisko, nisko w dół, aż zapach kurzu począł ustępować nie do końca przyjemnej woni środków dezynfekujących.

Po pewnym czasie przestał zwracać uwagę na zapach. Ściana była niezwykle wysoka. Głowa małpy wyglądała teraz jak zwęglona muszka na czole rozpalonej do białości żarówki. „Dzięki bogom, że jest tu ciemno” – myślał badacz. Tuż po obawie przed wiecznym pragnieniem, nic nie budziło w nim strachu tak wielkiego jak lęk wysokości. Tylko ciemność, która go otaczała, pozwalała przyćmić paraliżującą myśl o ewentualnym upadku.

– Aj! – krzyknął uczepiwszy się stalowych żerdzi. – Co teraz, małpo? Drabina się skończyła!

Czarna plamka zniknęła na chwilę z pola widzenia, lecz za moment źródło światła nad głową księcia pojawiło się z powrotem. Małpa ponownie usiadła na brzegu wejścia.

– Mhm. – Królewicz wyciągnął pomału rękę i machając próbował wymacać na ścianie pstryczek.

Kilkumetrowe podniebne meduzy uczezione parzydełkami pod sufitem rozbłysły bezgłośnie czekoladowym światłem. Gdy zaczerpnąłeś powietrza, czuleś jakby twój nos utknął głęboko między stronami szeroko rozwartej starej książki wykonanej z najprawdziwszej celulozy. Brązowa sala była ogromna, podłoga jej była chłodna, obłożona wielkimi, prostokątnymi kafłami tak, jak ściany. Słysząc było syk gazowych palników kwitnących płomienią wzdłuż całej jej szerokości. Daleko, hen w głębi, księżę dostrzegł dwa wizerunki krokodyli zwrócone do siebie głowami ponad czymś na modłę ołtarza. Tam światło żyrandoli nie docierało, jedynie pochodnie podświetlały gadzie paszcze.

Huk z góry przerwał śpiew węży.

– Psia krew. Wiedziałem.

Wysoko na powierzchni ziemi czyjeś zmarszczone dłonie postanowiły domknąć kolejny rozdział tej historii. Królewicz byłby się tym nawet przejął, gdyby nie nagle szczenięcie.

Mała czarna kulka zwiększała się z każdą sekundą pędząc z końca komnaty, potykając się niezgrabnie raz po raz. Przyrodnik wykonał krok w tył, aż mała torpeda, nie potrafiąc wyhamować, uderzyła mokrym pyskiem w jego łydki. Małeństwo klapnęło ogonkiem na ziemię, jak atlasowy woreczek. Uszy miało spiczaste i duże, ogon prosty, sierść króciutką, a oczy wielkie i zalzawione od pędu.

– A niech mnie – szepnął zoolog.

Szczeniak wstał pokracznie na cztery nogi, oblizal nos i zaszczekał piskliwie w jakiejś niedookreślonej egzaltacji.

Adam podniósł tę sierotę najostrożniej, jak tylko potrafił, niepewny do końca skutków tak bliskiego kontaktu z pierwszym organicznym psem, którego spotkał w życiu. Malec zastygł, lustrując uważnie twarz pierwszego samca gatunku ludzkiego w ogóle. Na jego szyi migotał zwieszony na wstążce złoty medalik z wygrawerowanym napisem.

– Anubis...

Znajda zaszczekała, wierząc się przy tym gorączkowo, szukała sposobu, by jak najprędzej oblizać choć trochę nowego towarzysza zabaw.

– Zaprowadzisz mnie do swej pani, dobrze Anubisie? – To powiedziawszy odłożył psa na ziemię, tarmosząc pieszczotliwie jego końskie ucho.

Szczenię czmychnęło z powrotem w kierunku, z którego wystrzeliło parę chwil wcześniej. Badacz podążył za nim miarowym tempem, nieco rozbawiony, nieco znużony całym tym zamieszaniem wynikłym z jednego jakże dobitnego poróżnienia. „Czy mijając próg Ogrodu wyraziłem zgodę na niekończącą się zabawę bez reguł, zdany na malpę i psa?”

Nagle piskliwe wycie odbiło się echem z miejsca, gdzie wyłącznie złoty trójkąt mienił się w ciemnym zakątku.

Mozaikowi władcy rzeki zdawali się oddychać w falującej od płomieni palników poświacie. Byli wysocy na trzy metry, a dludzy na pięć – każdy. Oczy ich mieniły się szmaragdowym blaskiem, żywym od światła, które się w nich odbijały. Nagle nozdrza Adama wypełnił ciężki acz słodki zapach, niepodobny do żadnych z planety, na której się urodził.

Nie był to ołtarz, lecz wielkie łoże wyścielane jedwabną pościelą. Tuż przy nim spoczywało wieko, którego przyrodnik odwracać teraz nie zamierzał, zaintrygowany bardziej wysokim miedzianym stołem pełnym foliowych sakiewek, malutkich plastikowych pudełek oraz zwojów gęsto tkanych, puszystych bandaży.

– A to co jest? – szepnął do siebie pochyliwszy się nad sarkofagiem

– Sssss! – zaklął kot o ślepiach z bursztynu i ciele wygiętym jak harfa.

Przyrodnik odskoczył przestraszony przez tego miniaturowego gargulca, który wisząc teraz na krawędzi swojego posłania, jął kołysać łbem lustrując Anubisa.

Pies, mimo że trzykrotnie większy od oprawcy, przywarł do podłogi niczym nadeptany robaczek. Skomlał.

Kotka wabiła się Bastet. Zeskoczyła prosto pod nogi gościa, wodząc ogonem po jego goleniach niby wąż wijący się wokół pnia. Następnie tanecznym nieomal krokiem podbiegła do ściany i stając na tylnych łapach szorowała pazurami po miedzianej formie naściennych płyt, ocierając się futerkiem o każdą napotkaną powierzchnię, zupełnie jakby jej pragnieniem było rozetrzeć swą cielesną powłokę na miążgę, rozkruszyć do postaci pyłu. Marzyła o miedzianym mózdzierzu, który by rozgniółł jej obolale od kilkusetletniego snu kręgi.

Dopiero teraz Anubis zebrał się na odwagę, by stanąć na cztery łapy i podbiec w kierunku magicznej istoty. Podniecony jej tańcem skakał wokół, merdając ogonem, obchodząc z każdej strony, żeby obwąchać to drobne, giętkie ciało. A Bastet kładąc się na grzbiecie, wodziła raz po raz

małym suchym noskiem po jego wielkim wilgotnym pysku do czasu, aż jakiś bodziec wzburzył ją na tyle, by jednym ruchem łapy wywołać najwyższy pisk bólu, na jaki stać było tego młodego szakala. Nie wiedzieć kiedy, z jakiej przyczyny, Anubis przeistoczył się w rosłego samca o smukłym ciele. W pewnej chwili jego chuda kufa, mimo że nadal obolała, rozbłysła bielą kilkunastu klów. Kotka niesiona własnym jękiem lewitowała teraz nad ziemią trzymana za kark.

Coś obrzydliwego i sprzecznego z naturą było w tej nieokreślonej, ale jakże zażyłej przyjaźni dwójki czworonogów. Coś kuszącego. Adam z trudem godnym starca zaczerpnął powietrza. Patrząc tak na nich z dystansu, przypomniał sobie o suchości w ustach, o zadaniu, które powierzyła mu małpa, o niemożności wyjścia z krypty, a także o kończącym się czasie...

To wszystko razem sprawiło, że chwycił się mocno w pasie, boleśnie doznając głodu, którego źródło tkwiło ni to w sercu, ni w żołądku, bo jak też nazwać coś, co się w sposób niewyjaśniony zrosło?

Potrząsając z wolną głową, odzyskał resztki kontroli nad ciałem. Czuł jednak, że był to ostatni raz, kiedy udaje mu się uniknąć śmierci. Zwierzęta jakby oprzytomniały. Spoczywająca już na ziemi Bastet ruszyła z wyprostowanym na sztorc ogonem w kierunku sarkofagu. Anubis ze swoją motoryką godną konia pocwałował skosem do nowego właściciela, by wylizać mu twarz. Kocica dokonywała w tym czasie obliczeń, gorączkowo szukając czegoś na ścianie, między wizerunkami rzecznych władców.

– Wydaje mi się, że dalej nie dam rady iść, mój mały. Może pod ziemią nie słyhać Ślepeca, ale ja sam wyczuwam, że to kwestia godzin. Potem utknę tutaj po wsze czasy. Jeśli byś znalazł wyjście z tej krypty, wręczyłbym ci swoją łupę jako ostatni podarunek dla naszej pani. Na kartach atlasu wypisane są treści, których ja sam nigdy nie zdołałbym powiedzieć jej na głos.

Anubis zmartwił się stanem nowego właściciela. Znalł inny plan na tę okoliczność. Wskoczył wprost na pościel, potem znikając za łóżem wrócił z czymś w rodzaju symetrycznego przezroczystego woreczka, dość płaskiego, wypełnionego ciemną cieczą.

– Na bogów! Skąd masz ambrozję?

Zamroczony przez spadek energii witalnej księżę nie zarejestrował nawet momentu, gdy obydwie boskie pupile zniknęły w tajemnym przejściu udając się po pierwszą i ostatnią porcję nektaru. Ostatnią.

Tej nocy nie tylko księżyc odbijał się bielą w tafli smoly. Pewnie w to nie uwierzycie, ale królowa dalej utaczała swej krwi skryta w gąszczu. Połyskiwała na brzegu bagnistego zbiornika, obleczona dziesiątkami srebrnych skrzydlatych strzykawek, które brzęcząc jak najdroższa biżuteria na cesarskiej skórze, co rusz odlatywały wracając z powrotem po kolejne porcje. Naiwnie podszywały się pod pszczoły, składające zdobycze w ulu o dwojakiej nazwie winnicy-ambulatorium. Również pijawki, oble broszki, wczepiały się w jej poharatane tatarakiem od kostek po uda nogi. Wypełzały z bagniska pobudzone lunarnym blaskiem niby pod wpływem hipnozy, w istocie jednak będącej specjalnym oprogramowaniem. Hawwa zdjęła suknię, by oddać nietoperzom swoje łono i piersi. Złote kleszcze oblekły małżowiny uszu, palce u dłoni, nadgarstki, jak perły. Chwilami tylko dwójka mrugających, różowych oczu nie była przesłonięta krwiopijczą fauną. Królowa była w stanie agonalnym.

A duch już się zbliżał. Napromieniowany pulsował blaskiem jak pompa. Opalizował. Cichutko, podążał pomiędzy pniami akacji, wierzb i paproci. Pojawiał się i znikał przysłaniany lianami, wićmi, kiściami, oberwaną gałęzią. Kolysał się jak barka. Nie skradał się, a mimo to sprawiał wrażenie kogoś, kto nie chce nikogo zbudzić. Szedł powoli, chociaż cel, jaki mu przyświecał, był gorączkową modlitwą wyslaną w przestrzeń o życie wieczne dla pewnej popsutej zabawki. Lalki.

– Teraz wiesz wszystko. Byłeś...

– W ambulatorium?

– Tak mi wstyd... Adamie... – jęknęła odwracając twarz w najboleśniejszym grymasie. Wyglądem przypominała suszkę. – Nigdy bym nie przypuszczała, że komuś zasmakuje moja krew. W istocie, na początku...

– Hawwo...

– ...to prawda, pragnęłam wyłącznie, by ktoś wyssał ze mnie Złą siłę... Ale ty się uzależniłeś... A ona cały czas we mnie tętni... Sądziłam, że będzie zamknięta w jednym na sto łyków trunku. Dziś wiem, że choćbyś wypił mnie całą, ona będzie we mnie, póki ja istnieję. Ja jestem Złą Siłą, Adamie. Ja jestem tą plagą, zarazą, która usypia wszystkich mieszkańców Ogrodu. Za moją przyczyną stałeś się tym, kim się stałeś.

– Kim?

– Demonem. Ach... Powołałam do życia złego ducha. Miałeś być fiołką na moje strapienie. W istocie, teraz również od ciebie zależy, czy fauna i flora znów będą działać.

Ujął jej dłoń, przykładając do swojego policzka.

– A jeśli to ja specjalnie przybyłem na tę planetę z misją, by ciebie któregoś dnia uwieść i posiąść całe to bogactwo?

– Heretyk. To wysypisko nazywasz przybytkiem? Setki robocików usypanych w kurhan z zegarkiem na szczycie...

Zacięła się na chwilę, tak że zdanie to wydawało się jej ostatnim. Patrzyła nieruchomo w niebo, które nie zamierzało świtać tej doby. Starcze ciało wyschnięte do cna uwidaczało dziesiątki kanałów, w których niegdyś tętniła krew.

Książę zdejmował z niej kolejno wszystkie pasożyty – ich diody gasły śmiertelnie. Całował każdą bliznę, zlizując gorzkie, zaschnięte zacieki, rozcierając językiem podskórne wylewy, żółte jak mleczko i ciemne jak jeżyny, które od najmniejszych swych ognisk rozlewały się promieniście w kierunku mostka. Tam zastygł na jej piersiach zgryzając z żalnością ostatnią parę szkarłatnych malw.

Po chwili obróciła się do niego, ujmując w dłonie jego zuchwę, zdającą się wyrastać z jej nadgarstków, obleczoną palcami, jak liśćmi. Zaczerpnęła z trudem długi, płytki wdech.

– W świecie pełnym trybików, tak dźwięcznych i zgranych, najprawdziwsze życie jest sztucznością. Nie skóra pełna gruczołów i wydzielin. Nie mimika mięśni tkanych gładko i poprzecznie. Nie skurcze. Nie oddech czyni człowieka żywym. Lecz to, kto jego ciało nakręca. Kto sprawia, że serce bije nieco boleśniej i piękniej. Że śmiech miesza się z płaczem. Tęsknota z rozkoszą. Kto powołuje do życia codziennie. Każdego ranka para z czyichś ust osiada na karku, jak rosa. Para czyichś słońce wylania się z cienia. Pierwsze pohukują sierpówki. Zaraz po nich wróble, szczebiocą skubiąc głosem woale sennej ciszy. Raz po raz pokrzykują bażanty. Zaraz zbudzą się lisy. Tysiące spłoszonych kopyt napelnią drzeniem spękane żarem przestrzenie u kwiatowych stóp, poprzedzone wcześniej dreszczem tysięcy cykad, świerszczy, biesów i trzmieli, zasiadłych na ich trawiastych sztychach...

– I co potem?

Jej palce szukały czaszki. Zdejmowała mu skalp.

– Potem, tygrysy, rozszarpują czyjeś ciało, ocierają się o zwłoki, żywią nimi i kładą spać. A z nimi lwy i hieny, i jaguary, jak przed bitwą, dziesiątkują liczniejsze, słabsze osaczają, niepotrzebnie, tak trzeba, wszyscy się nie zmieszczą...

– A potem?

Oddawał się cierpieniom z uwielbieniem, cierpliwie jak pokutnik.

– A potem, zastępują się wzajem.

– Jak?

– Jakby niesione potokiem...

Oczy jej świeciły błękitem jak ksenon, zniknęły tęczęwki.

– Tak, musimy się schować, deszcze, grzmi... Nadciąga!

Książę chwycił ramieniem wieko sarkofagu. Rzeźbiona lupina polyskiwała złotem niby rozwarty fortepian. Nie domknął go. Czekał.

– Hawwo, co nadciąga?

– Noah...

Ogromna ciemność spowila planetę. Na krótką chwilę zgasły wszystkie gwiazdy. Zapadło się w sobie słońce. Cisza niczym najślodsza, najgęstsza, czarna ciecz, wpłynęła w najmniejsze zakamarki i niezgłębione czeluście Wszechświata. I tylko słowa niesione szeptem zmarzniętych warg, przeszły kosmos, jak ciepła fala.

– Mam serce z magnesu, najmilszy. Czarne i powabne dla innych metali. I wiele jest we mnie części wymiennych, niestałych, uczuć i pragnień, skasowanych wspomnień, coraz to nowszych funkcji, nigdy nietestowanych...

– Moje jest mechaniczne, niesprawne. Zmęczone.

– A jednak, leżymy tu razem i wszystko nas boli. Jakbyśmy byli prawdziwi. I Ślepiec tyka do trzech...

– Dziś nie wiem, czy nas splodziły cyborgi, co zazdrościły krwi, snu, fantazji...

– ...czy ludzie, co dla przetrwania, okuli się w ciała nierdzewne...

– ...by żyć wiecznym snem...



Remedios Varo, *Vuela magica* (1956)



(C) ArtsDot.com - Remedios Varo

Remedios Varo, *El Flautista* (1955)

Odwrócony Zapruder

Poranek. Dzień jak co dzień. Myśli tak każdy przechodzień wokół mnie, ja jednak wiem lepiej. To jest specjalny dzień, a właściwie to... będzie. Dlatego ubrałem się odpowiednio: biała koszula, czerwony krawat, długa czarna marynarka, wygodne jeansy i buty. Dzisiaj mam bardzo konkretny cel podróży. Nigdzie mi się jednak nie spieszy, mam wszystko zaplanowane co do sekundy.

Wybrałem publiczny środek transportu, jestem do nich przyzwyczajony od dziecka. Po drodze zza szyby widzę znajome obrazy: galerie, małe wieżowce, parki i wreszcie... katedrę. Jest wizytówką całego miasta, zwłaszcza jej organy. Wsiadam i kieruję się w stronę bloków mieszkalnych. Po kilku minutach docieram do celu – typowa betonowa szafa z pozoru niewyróżniająca się niczym. Jednakże w środku kryje się pewien stwór – i to po niego tu przyszedłem.

Naprzeciwko bloku znajduje się ławka, skierowana w stronę drzwi wejściowych. Siedzi na niej starszy mężczyzna. Ma niebieską marynarkę, biały garnitur, białe buty, koszulę, spodnie w kant oraz jeszcze bielszą fedorę. Niby to ja nie nadażam za duchem czasu, ale on pomylił chyba stulecia. Czyta lokalny dziennik, widnieje na nim dzisiejsza data: 13 stycznia 2019 roku. Uśmiecham się lekko pod nosem – wszystko się zgadza. Patrę na zegarek: 11:40. Mam jeszcze chwilę. Idę więc w stronę dziadka i się witam.

– Dzień dobry – powiedziałem z uśmiechem swoim spokojnym tonem.

– A dzień dobry, młodzieńcze! – odrzekł ze zbyt dużym entuzjazmem, z nutką desperacji i ulgi. Widocznie lubi rozmawiać, ale ma rzadki kontakt z ludźmi.

– Mógłbym się przysiąść?

– Pewnie! Przyda mi się kompania.

Usiadłem więc. Zwróciłem się w stronę starucha, ale kątem oka uważnie obserwowałem drzwi klatki schodowej.

– Nazywam się Franciszek Jeżowski – przedstawił się mój rozmówca, podając mi rękę. Ucisnąłem dłoń i odpowiedziałem.

– Witam, Tomasz Witkiewicz. – Podąłem prawdziwe personalia. Nie będzie to miało żadnego znaczenia.

– Pan chyba nie stąd, prawda?

– Powiedzmy, że przyjezdny...

– I jak się panu podoba okolica?

– Jest zdecydowanie inaczej, niż zapamiętałem.

– O! To pan bywał wcześniej w naszym zacnym mieście?

– Tak. Mieszka... mieszkałem tutaj ponad cztery... Dwadzieścia pięć lat.

Widzę po minie Franciszka, że coś zaczyna podejrzewać. Ale nie będzie się raczej w to dalej zagłębiał. Jest stary, wszystko mu jedno. Coś czuję, że ma doświadczenie w prześwietlaniu ludzi. Może był policjantem? Patrzą na zegarek. 11:50, jeszcze sporo czasu.

– A co się stało, że się pan wyprowadził? – pyta Jeżowski.

– Tak się jakoś życie potoczyło.

– A jaką profesję pan praktykuje?

– Jestem chronofizykiem. – Znowu odpowiedziałem szczerze. Jakie to odświeżające.

– Nigdy nie słyszałem o takim zawodzie. Zajmuje się pan przypadkiem czasem? – Głupi to on nie jest, ale zadaje za dużo pytań, jakby to było przesłuchanie. Coś mi się wydaje, że dobrze wspomina poprzednią wersję tego kraju.

– He, tak. Zgadza się. Badam czas jako zjawisko fizyczne. Jak wpływa na otoczenie, rzeczy, ludzi.

Miło się rozmawia, ale jednak robota czeka: 11:54. Pora się przygotować. Już sięgam ręką do kieszeni.

– A co pana w zasadzie tutaj sprowadza? – Kolejne pytanie z jego strony. Tym razem jednak wyczułem w jego głosie pasywną agresję. Rzeczywiście go to ciekawiło, potrzebował jednak tej informacji również z jakichś innych powodów.

– Za cztery minuty zabiję człowieka – odpowiedziałem ze stoickim spokojem, ponownie szczerze.

W jego oczach pojawiło się zdziwienie. Był zaskoczony moją szczerością. W ciągu pół sekundy przeskanował mnie całego spojrzeniem. Nie uciekałem wzrokiem, żadna część ciała nie drgnęła, nie pocilem się, głos mi się nie załamał. Wiedział, że mówię prawdę. Z jego twarzy zniknęło zdziwienie, a pojawiło się zaciekawienie i determinacja. W tym momencie wiedziałem już, że umie doskonale przejrzeć drugiego człowieka. Był niepozornym facetem, ta niepozorność była podtrzymywana przez jego aparycję starszego pana. Na to nie miał teoretycznie wpływu. Ale jego ubiór z daleka wskazywał na kogoś, kogo mój siostrzeniec nazwałaby „starym pizdowatym dziadziusiem”. Dopiero teraz spostrzegłem, że jego rysy twarzy zupełnie się zmieniły. Nie był już starym poczciwym pierdołą. To była tylko fasada. Był pewnym siebie typem, który siedział tu w konkretnym celu.

– O, naprawdę? – Powiedział to bardzo ironicznie. Jego głos zmienił się nie do poznania. Był niski, stoicki, pełen profesjonalizmu. Zaczął grzebać w kieszeni. Wiedziałem już, że szykują się kłopoty.

Szybkim ruchem wyciągnąłem mojego Ocelota 500. To piękny okaz fachu rusznikarskiego. Lufa i bębenek pokryte srebrnym metalicznym lakierem. Celownik – mechaniczny klasyk. Rękojeść czarna, matowa. Lufa 250 mm. Bębenek ukryty i może pomieścić aż osiem pocisków kalibru .50 Special.

Franciszek, który wcześniej miał problem ze znalezieniem przedmiotu w swojej kieszeni, przyspieszył nagle. Praktycznie w tym samym momencie wyciągnął swoją broń i wycelował w moją stronę. Rozpoznałem model. Był to Morgan 9000. Całkowicie czarny pistolet półautomatyczny z wydłużoną lufą i zintegrowanym tłumikiem. Miał mały celownik kolimatorowy niewidoczny z daleka. Był drobny i poręczny. Ponadto mieścił w magazynku czterdzieści siedem pocisków 15,2 mm. Broń skrytobójcy. Znaleźliśmy się w tak zwanym impasie meksykańskim.

– Więc? Spodziewałeś się, że tu przyjdę? – spytałem ze spokojem. Gdyby chciał mnie zabić, już bym nie żył. Jest świetnym aktorem, chciał tylko, żebym poczuł się pewnie. Na razie próbuje coś udowodnić.

– Pewnie. Jestem zdumiony, że podałeś prawdziwe nazwisko – powiedział, uśmiechając się lekko. – Przyszedłeś tu z wielką pewnością siebie i nie masz żadnych skrupułów. Doskonale dobrali człowieka do tej misji – dorzucił z nutką ironii, aczkolwiek wyczuwałem w głosie odrobinę szczerości. On serio miał na myśli to, co powiedział.

– Sam się wybrałem do tej misji. A zdradzanie mojej prawdziwej tożsamości? Cóż, to nie będzie miało żadnego znaczenia, gdy wrócę...

– ...jeśli! – przerwał mi donośnie. – Wrócisz.

Nie mam pojęcia, na ile jeszcze pokazuje swoje prawdziwe oblicze. Czy mam wciąż szanse wybrnąć z tej sytuacji, czy nie? Już mnie doskonale przestudiował, ja go ciągle nie.

– My się znamy? – Bardzo głupie pytanie, ale coś czuję, że odpowiedź mnie zdziwi.

– Ja ciebie znam, owszem – odparł. – Doktor Witkiewicz. Wielki doktor Witkiewicz. Legendarny agent polowy organizacji CHRONOS. Niezawodny, wykona każdą misję lepiej niż ktokolwiek.

– Ja niestety nie miałem przyjemności słyszeć o „Franciszku Jeżowskim”. – Nazwisko wypowiedziałem z kpiną. Byłem pewien, że to pseudonim.

– Nie przejmuj się, mój drogi – odparł, jakby uspokajał małe dziecko. – Naprawdę się tak nazywam i jestem równie jak ty pewny tego, że wykonam zadanie. Mów mi Frank...

– Cóż, widzę, że nosisz broń używaną przez Dzieci Czernoboga. Więc to oni musieli cię przysłać.

– Podobnie jak ty, Tomek, sam się zgłosiłem do misji. Widzisz, mam takie same osobiste powody do krucjaty przeciw tobie, jak ty wobec naszego przyjaciela. – Wskazał głową w stronę drzwi wejściowych. Mój zegarek zawibrował – 11:58. Z klatki schodowej wyszedł człowiek, na którego czekałem. Ubrany w spodnie moro, ciężkie czarne buty oraz czarną kurtkę z kapturem. Miał niepewny wzrok, jakby był odklejony od rzeczywistości. Mówiąc szczerze – był i dlatego tu przyszedłem.

Zauważył nas właściwie od razu i momentalnie uciekł z powrotem na klatkę schodową. W tym momencie wiedziałem, że nie mam czasu do stracenia.

Wystrzeliłem w stronę Franka, jednak na czas zrobił unik głową. Był nieludzko szybki. Zamiast odpowiedzieć ogniem uderzył mnie pistoletem w rękę – upuściłem swojego Ocelota, wyładował kilka metrów dalej. W tym momencie Frank drugą ręką chwycił mnie za gardło. Był to bardzo silny uścisk. Wstał, podniósł mnie, a broń schował do kieszeni. Nie! To nie może być człowiek!

– Tomek, oj, Tomek. Czy naprawdę chcesz zlikwidować tego młodzieńca? I za co? On nie zrobił wcale nic takiego. – Uścisk Franka był silny, ale nie na tyle, bym nie mógł mówić. Oczywiście, robił to specjalnie.

– Yyyyyyhhhh... jeszcze nie zrobił! – wykrztusiłem z trudem.

– I to nie było wcale takie destruktywne! Daj spokój, Witkiewicz! – odparł, jakby mówił do dziecka, które nie chce odrobić lekcji. – Już zajmowałeś się poważniejszymi zagrożeniami. Ile zrobiłaś dla świata? I poświęciłaś fundusze CHRONOS-a dla takiego wypierdka historii? Trochę żalotne jak na twój poziom.

– Yyyhhhh... musi być ważny, skoro czarni wysłali agenta, aby go ocalił – odparłem. Jednocześnie próbowałem palcem nacisnąć przycisk na moim zegarku – na tyle dyskretnie, by nie zauważył.

– Hahahah! – zaśmiał się rubasznie. – Nie. Po prostu chciałem wreszcie poznać osobiście najwybitniejszego chronofizyka, Tomasza Witkiewicza. I niestety, Tomek, trochę nie dorównujesz swojej legendzie.

W tym momencie udało mi się umieścić palec na przycisku. Wcisnąłem go. Zegarek odpalił ładunek EMP o promieniu pięciu metrów. Napastnik wypuścił mnie i zastygł w bezruchu. Szeroko otworzył usta, jego ekspresja wyrażała ból i zdziwienie. Potwierdziły się moje przypuszczenia. Był cyborgiem. Przez najbliższe pięć minut będzie bezbronny. Udało mi się złapać oddech. Miałem już na tyle sił, aby zakpić z niego.

– Czarni chyba zbyt łatwo uwierzyli w ciebie. Nie wiedzą, że każdy agent CHRONOS-a posiada standardowe wyposażenie w postaci Omnigyvera, który może zrobić dużo więcej niż wywołać zwarcie u jakiegoś taniego blaszaka? – Powiedziałem to z szerokim uśmiechem na ustach. Frank nie mógł się poruszać, jednak nadal był w stanie coś powiedzieć.

– ...ty ...zielona kanalio! – To nie był już ludzki głos. Jego syntezytor mowy musiał paść wraz z całym systemem. Mówił teraz bezbarwnie, bez osobowości, bez duszy. Tak jak wszystkie blaszarskie ścierwa.

– Masz do mnie jakąś osobistą urazę. Nie mam pojęcia jaką, nie pamiętam twojej parszywej mordy. I szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi – odparłem z lekką irytacją. Mój cel już dawno musiał zabunkrować się w swojej norze i wezwać policję, już słyszałem dźwięk syren zbliżających się z daleka.

– Ale mogę ci zdradzić, dlaczego tutaj jestem i dlaczego wybrałem taką bląhą sprawę – powiedziałem, po czym nacisnąłem ekran swojego Omnigyvera. Zalśnił fioletowo. Boczna dioda na moim rewolwerze zajaśniała tą samą barwą. Po chwili uniósł się z ziemi i przyleciał wprost do mojej dłoni.

– Byłem tam... dzisiaj... Tym razem sam byłem świadkiem tragedii, jaka wydarzyła się w pierwotnej linii czasu. Widziałem, co ta gnida zrobiła. Wszyscy dosyć szybko o tym zapomnieli. Ale nie ja! Byłem wtedy dzieckiem. Ten obraz na zawsze wrył mi się w pamięć. Już nigdy nie zniknie z mojej głowy. Wyświadczę matce naturze przysługę. On jest marnotrawcą tlenu.

Odwiodłem kurek rewolweru.

– Ty też tutaj nie pasujesz – dodałem, po czym sięgnąłem do kieszeni. – Ale spokojnie. Wyręcę nasze dzielne służby porządkowe. – Wyjąłem metalową kulkę wielkości piłki do tenisa. Dobrze wiedział, co to oznacza.

– ...granat... czasoprzestrzenny? Ni-nie... weźmiesz mnie żywcem, sukinsynu!

W tym momencie widzę, jak udaje mu się poruszyć lekko palcem wskazującym. EMP przestaje działać. To znaczy, że on jednak ma w sobie bardziej zaawansowane szczepy aniżeli reszta podrzędnych androidów-gangusów.

Nie miałem wiele więcej czasu. Odbezpieczyłem granat przyciskiem i wsadziłem w jego parszywą otwartą gębę. Zapalnik ustawiony na piętnaście sekund. Ładunek musi się mimo wszystko skalibrować.

Kierowałem się już w stronę klatki schodowej. Frank próbował jeszcze bronić się werbalnie.

– ...Witkiewicz!!! Dorwę... cię... choćbym... musiał... dotrzeć... na... koniec... czasu... Ty zielona... gnido!!!

W tym momencie granat imploduje. Pojawia się błękitna wiązka światła. Ten typ wywołuje pole czasowe, które po wystrzeleniu snopa światła przemieszcza się wraz ze swoim celem na ustalone koordynaty. Tak się stało i tym razem.

12:06. Spóźniłem się przez tego blaszaka. Spojrzałem w górę, na czwarte piętro. Tam, gdzie mieszka ten śmieć. Niesamowite! Siedzi w oknie i obserwuje. Musiał widzieć całą konfrontację. Nasze spojrzenia się spotkały, ponownie. Odwrócił się i pobiegł w głąb swej nory. Tym razem żaden czarny blaszak cię nie uratuje.

Wyjąłem z kieszeni wyrzutnię haków. Wycelowałem trochę nad jego oknem i wystrzeliłem. Najnowsza technologia wspinaczkowa jest naprawdę cudowna. Hak trafił w cel zaledwie po 1,3 sekundy i poprowadził mnie do celu po 3,6 sekundy. Ujrzałem kuchnię, jednak nie było tam już nikogo. Normalnie bawiłbym się w subtelne wyważanie okna, ale byłem już dzisiaj wystarczająco zirytowany. Strzeliłem w szybę i wskoczyłem do środka. W tym samym momencie usłyszałem szloch kobiety gdzieś w głębi mieszkania. Z podniesioną bronią ruszyłem dalej i przeszukiwałem pomieszczenia. Doszedłem do salonu i tam w końcu ich znalazłem.

Z bliska wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem. Szaleństwo i nienawiść były z jego oczu. Wziął sobie zakładnika – własną matkę. Chwycił ją od tyłu i trzymał nóż przy gardle.

Tak. Doskonale pamiętam ten nóż. Wojskowy majcher, który pewnie kupił na jakimś straganie. Pomyśleć, że taki szmelc może posłużyć do czegoś nieprzebaczalnego.

„Jesteś jednak jeszcze większym żartem niż myślałem” – przemknęło mi przez głowę.

– Stój! – krzyknął w moją stronę. – Bo ją zabiję!

– Zaslaniaś się własną matką, aby ująć ze swoim marnym życiem?! – spytałem z wściekłością. – Naprawdę jesteś pieprzoną larwą! – wykrzyczałem, celując w jego czoło.

– Pro... proszę – wyszlochała matka. – Proszę nie robić mu krzywdy! On jest chory, nie wie, co robi.

– Tak. Oni zawsze tak mówią. Wiesz co, gnido? Byłem tam. Widziałem, co zrobiłeś. Byłem wtedy małym dzieckiem. Miałeś ten sam nóż w dłoni – syknąłem.

– O, o czym ty mówisz, człowieku? – odparł mój cel. – Przecież nic nigdy nie zrobiłem.

– Masz rację, ale zrobisz. Za kilka godzin uda ci się to, co zaplanowałeś. – Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie, a po chwili radość i duma z wykonanego zadania. To naprawdę nie jest człowiek. Nie ma w nim żadnej empatii.

Po chwili uśmiech na jego twarzy zniknął. Mimo wszystko coś mu nie pasowało. Całkiem słusznie.

– Przecież ty jesteś starszy ode mnie, o czym ty bredzisz? Dzisiaj miałem iść na piwo z kolegami!

– Pan go z kimś pomylił – nie ustawała matka. – Przecież to jest dobry chłopak, nikogo by nie skrzywdził. Proszę stąd wyjść, to nie zadzwonię na policję...

Niesamowita kobieta. Broni syna do samego końca, pomimo tego że dzieli go ćwierć sekundy od matkobójstwa. Jestem dobrym strzelcem, ale nie chcę ryzykować, że ją trafię. Ok, wiem, jak z tego wybrnąć.

– Dobra – odparłem, po czym schowałem rewolwer do kieszeni.

– Macie rację, to wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem. Przepraszam was bardzo. – Udałem skruchę, po czym odwróciłem się i powolnym krokiem ruszyłem w stronę drzwi.

Pan nożownik, gdy tylko poczuł się bezpiecznie, zmienił się oczywiście w dziką bestię. Odepchnął matkę na bok w stronę kanapy, kobieta się przewróciła. Krzyczał jak berserk i biegł z nożem w moją stronę. Sta nałem w miejscu odczekałem sekundę, po czym tylnym kopniakiem trafiłem go w brzuch. Wypuścił nóż z dłoni, odrzuciło go do tyłu, kompletnie nie był na to przygotowany. Wylądował na szafie, rozpadła się pod jego ciężarem, a jej resztki wraz z zawartością runęły na niego. Spojrzałem jeszcze na matkę. Odniosła lekkie obrażenia głowy, ale przeżyje. Nie marnując więcej czasu, pobiegłem w stronę nożownika, chwyciłem go za kurtkę i wyciągnąłem bezwładnego z drewnianych szczątków. Uniosłem gada i silnym uciskiem trzymałem w górze.

– Nie zasługujesz, żeby żyć! – warknąłem, po czym rzuciłem nim o ścianę.

Od ściany odpadła odrobina tynku. Kiedy facet runął na ziemię, zobaczyłem, że ma zakrwawione twarz i ręce. Bardzo dobrze. W tym momencie jego otumaniona matka częściowo odzyskała świadomość.

– Nie! Błagam! Nie! Proszę mu nie robić krzywdy! – skamlała.

Zignorowałem ją i podniosłem nóż jej syna. Myślę, że to będzie poetycka sprawiedliwość. Jakimś cudem miał jeszcze dość siły, żeby wstać. Chciał walczyć dalej, jednak jego machnięcie dłonią przypominało co najwyżej pijacką gimnastykę. Jednym słabym ciosem w twarz spacyfikowałem go ponownie. Wtedy zakończyłem jego męki, uderzając w aortę. Jeszcze przez chwilę wyl z bólu, po czym skonał.

Adrenalina odpuszczała powoli. Trochę zniszczenia za sobą zostawiłem. Matka podbiegła do ciała. Chwyciła głowę trupa i płakała. Każdy potwór ma rodziców, fakt, o którym czasami zapominam, a o którym przekonywałem się niejednokrotnie. Zakrwawiony nóż rzuciłem na ziemię.

Spojrzałem na zegarek, aby dokonać połączenia czasowego. Na ekranie pojawił się zielony logotyp CHRONOS-a. Odebrało A.I. centrali.

– Podaj kod.

– Dwa-dwa-cztery-siedem – powiedziałem.

– Przyznano autoryzację.

– Agencie Witkiewicz? – odezwał się dyrektor Dydek, mój przełożony.

– Misja wykonana. Oczekuję na ekstrakcję.

– Przyjąłem. Bez odbioru – odpowiedział, po czym się rozłączył. Dydek zawsze mówi krótko i na temat. Zakończyłem transmisję i z ekranu Omnigyvera wybrałem funkcję ekstrakcji. Zanim przyjmą sygnał i potwierdzą moje współrzędne, minie około minuty.

12:34:46. Słyszę już odgłos tupotu dobiegający z klatki; na pewno policja.

– Jesteś potworem! – krzyknęła zrozpaczona matka.

– Tak, jestem – odpowiedziałem. – Ale nie wie pani, ile potworów wciągnąłem ze sobą do otchłani. On był jednym z nich. – Wskazałem na zwłoki jej syna.

12:35:15. Drzwi wejściowe mieszkania zostały wyważone. Niesamowicie, nie pamiętam, żeby w czasach mojej młodości policja była tak skuteczna. Nie miałem czasu do stracenia. Wyjąłem broń, wystrzeliłem w okno i ruszyłem w jego stronę. W tym momencie do pokoju wbiega dwójka gliniarzy z wycelowanymi w moją stronę pistoletami.

12:35:30

– Stać! – krzyczą.

Udało mi się wyskoczyć z framugi okna. Wokół mnie pojawia się już snop zielonego światła.

12:35:35. Nie jest wcale tak wysoko, mogę wylądować na ziemi szybciej, zanim nastąpi ekstrakcja. Robiłem to setki razy, jednak zawsze pozostaje ten lęk przed śmiercią. Zamykam oczy.

1...

2...

3...

4...

5...

Budzę się. Widzę wokół siebie całą aparaturę maszyny chronicznej. Białe światło za każdym razem razi mnie w oczy. Zanim wstanę, już czeka na mnie dyrektor Dydek z dwoma uzbrojonymi ochroniarzami.

– Witam, agencie Witkiewicz – mówi swoim ojcowskim głosem, po czym podaje mi rękę. – Dobra robota.

– Dziękuję.

– Już nastąpił szerokopasmowy efekt Mandeli – zakomunikował. – Historia została zmieniona. Misja zakończona pełnym sukcesem.

– Tak, panie dyrektorze. Jednakże po drodze...

– Napotkałeś agenta Dzieci Czernoboga, tak. Już jest przesłuchiwany w Sali Tantała.

– Chciałbym to zrobić osobiście...

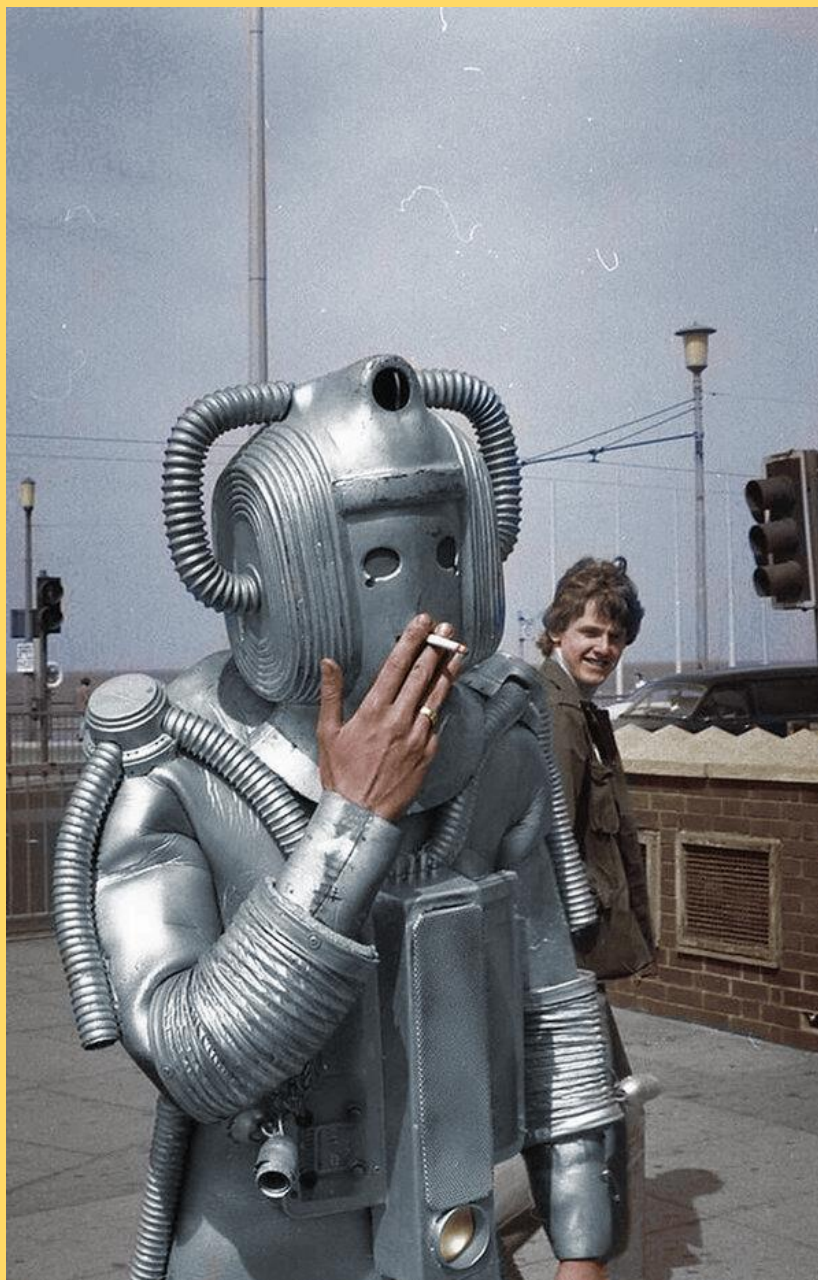
– To nie jest standardowa procedura, doskonale o tym wiesz.

– Z całym szacunkiem, myślę, że za moje zasługi mogę prosić o tę jedną przysługę?
Dydek zastanawiał się chwilę.

– Wyjątkowo wyrażam zgodę. Proszę za mną.

W międzyczasie myślę o matce mojego celu. Była niewinna i broniła swego dziecka nawet kosztem siebie. Nigdy nie będę tak dobrym człowiekiem jak ona. Ale nie mam wiele czasu na te dywagacje. Czeka mnie rozmowa z nowym przyjacielem.

Chętnie się dowiem, czemu jakiś blaszak ma do mnie prywatny uraz.



Doctor Who. Sixth season. Third serial: The Invasion,
reż. Douglas Camfield. Zdjęcie z planu (1968)



POWIEŚĆ W ODCINKACH

Patryk Miąskowski

Brud (odc. 2)

Twarz Borkowicza zastygła nie wyrażając choćby odrobiny emocji. Pazur mógł się tylko domyślać, czy krępy szef jest wściekły, czy bardziej zaskoczony tym, co usłyszał. Przełożony zdawał się być jedynie idealnie odwzorowaną figurą woskową. Przez kilka chwil Leo miał wrażenie, że to wszystko jest tylko frywolnym żartem jego śpiącego umysłu, który zaraz się zbudzi, a on sam pójdzie na wartę, dołączy do Murańki, Suchego i Tatara. Niestety, wizja szczęśliwego powrotu do dnia wczorajszego prysnęła wraz z mrugnięciem Borkowicza.

– Ciekawie, ciekawie – odparł w zadumie stary.

Leo głośno przelknął ślinę.

– Nie wydaje się panu, panie Pazurkiewicz, że to trochę nietypowa sytuacja? Znaczą się, żeby nie było nieporozumień, różne rzeczy się zdarzają, ale brakuje mi tu jakiegoś elementu.

– W sensie? – odparł niepewnie chłopak.

– Sam chciałbym wiedzieć. Coś mi się w pana zeznaniach, ba, zeznania to złe słowo, wszakże nie jest pan o nic oskarżony. Coś w pańskiej relacji, to lepsze słowo, coś w pańskiej relacji nie gra, czegoś tu brakuje. Pozwoli pan, prześledźmy te wydarzenia raz jeszcze. Ale powoli, zaczniemy od momentu, kiedy przyszedł pan na zmianę.

– No więc... – Leo wewnątrz nie dowierzał, że musi zmagać się z tym jeszcze raz. – Wszedłem do stróżówki jak zawsze, punktualnie o osiemnastej. Od tamtego incydentu z grafikiem, od wtedy skrupulatnie kontroluję, kiedy i z kim mam dyżur. To miała być nocna warta na Brętowskich Błoniach. Teren w gruncie rzeczy bezpieczny, chociaż z północy zawsze ktoś może się przypalać, a że szklarnie niedaleko, to trzeba uważać. Ryzykantów nie brakuje. Były już przecież różne akcje, ludzie wolą brać darmo niż uczciwie zarobić, też dlatego społeczeństwo mamy, jakie mamy, a raczej nie mamy, bo wszystko poszło w pizdu. I dobrze, jak to ojciec mawiał, się władza ponoć pozamieniała z chujami na głowy, zaczęła dawać darmo tym, co im nie brak, no to kraj z kartonu stanął w ogniu. Matka w sumie zgadzała się z ojcem co do tej kwestii.

– Panie Leopo... Leonardzie – poprawił się Borkowicz – ale bez dygresji proszę, nie zaprosilem pana, żeby mi pan o rodzicach opowiadał. A z resztą z tego, co się orientuje, to już nie ma o czym. Ojca koniec końców wymęczył pył, matkę alkohol, czyż nie?

Leo zagotował się w środku. Zniewagi kierowane w jego stronę totalnie go nie ruszały. Jako osoba dość bystra miał duże poczucie humoru, nawet czarnego, co w tych mrocznych czasach przychodziło zdecydowanie trudniej. Wśród najbliższych znajomych często obrażali się nawzajem. W jednym ze zrujnowanych lokali znaleźli kiedyś nagrania z dawno zapomnianych widowisk, jakimi były bitwy freestyle'owe. Młodzież przejęła główne założenia konwencji i często wyzywała się dla przyjemności. Jednak, tak jak dawniej, podczas walki panował pewien kodeks – nie wyśmiewano rodziny, wyzwiska były personalne, jednak nie mogły ranić najbliższych. A kiedy któryś z młodych chłopaków pozwolił sobie na kilka słów za dużo, wtedy zwykle dostawał od innych fizyczne wyjaśnienie, że tak się nie robi. Borkowicz nadepnął Pazurovi na niezwykle bolesny odcisk, a ten niczym w amoku, bez skrępowania zacisnął pięści.

– Spokojnie. Widzi pan, moja praca polega na tym, żeby wiedzieć, co u kogo się dzieje i naprawę, ale to naprawę, nie potrzebuję, żeby mi się pan z tego spowiadał. Naprawę. Proszę tylko o wczorajszy wieczór, tu z kolei szczegółowo, bo coś nam umyka.

Pazur z trudem powstrzymał się przed zamachem na szefa. Oczami wyobraźni właśnie masakrował tłustą twarz prezesa swoimi szybkimi, celnymi ciosami. Niestety, w odpowiednim momencie do głosu doszedł zdrowy rozsądek. Chaotyczne myśli chłopaka przestały się nawarstwiać, krew przestała bulgotać w uszach, a dłonie rozkurczyły się. Nastąpiła nieprzyjemna cisza.

Lech Borkowicz doskonale wiedział, że rozjuszył swojego pracownika. Zapewne myślał, że ten ukrywa kluczowe informacje na temat nocnych wydarzeń i w przyływie emocji wyrzuci je z siebie. Dla masywnego wygi opadające pięści młodego nie byłyby problemem. Pomimo biurowego trybu życia Borkowicz miał sporo okazji, żeby pokazać innym, iż pod warstwą tłuszczu skrywają się okazałych rozmiarów mięśnie. Niestety, albo chłopak wyrobił sobie odporność w kwestii swoich rodziców, albo nie zrozumiał wyrachowanych intencji przełożonego.

Leo rozprostował dłonie, strzelając po kolei każdym palcem. Gdy te mu się skończyły, przechylił lekko głowę, tak, że jego kark nieprzyjemnie pstryknął. I to dwukrotnie. Usta zwężyły się, przybierając nieco złośliwy, wężowaty wyraz.

– Panie Lechu, może ma mnie pan za idiotę. Może dla wielu osób jest pan wielkim wodzem. Może tak jest, tego nie wiem. Wiem jednak, że pracowałem dla pana sumiennie, ciężko, broniłem innych, ryzykowałem, zarywałem noce, kiedy pan bezpiecznie spał w swoim zabunkrowanym mieszkaniu. Wiem, że mimo młodego wieku oddałem temu miastu siebie, co nie było łatwe,

bo to miasto zabrało mi wszystko, zabrało rodzinę. I wiem też, że pan jesteś cham i prostak, kawal chuja, który zaslania się dziećmi wyposażonymi w wątpliwej jakości broń, który sam obżera się w towarzystwie służek, kiedy mieszkańcy żyją o ściśle wyznaczonych racjach. Karpacz miał rację – we łbie się panu pomieszało. Ja straciłem dla pana wiele, a pan stracił wszystko, z tym, że w moich oczach. Już nie należę do pana społeczności, tak więc zgodnie z panującymi zasadami opuszczę ten śmierdzący zgnilizną grajdołek w ciągu doby.

Pazur wziął głęboki wdech. Sam nie dowierzał, z jaką łatwością przyszło mu wyrzucić z siebie wszystko, co leżało mu na sercu. Poczul, jak splywa na niego fala niemocy, więc czym prędzej wstał z fotela, obrócił się i wyszedł niemal pewnym krokiem.

W głowie dudniła mu już tylko jedna myśl – nastał czas zmian. I to wielkich zmian. Zdeterminowany młodzieniec zamknął drzwi, a pęd powietrza poruszył nieco żaluzją.

Zacieniona postać Borkowicza pozostała w bezruchu. Poranny promyk słońca, wdzierający się do pomieszczenia, stał się jakby silniejszy, bardziej wyrazisty, jednak wciąż nieznaczący. Skąpiana w mroku twarz Borkowicza skrywała jakieś emocje. Czy to złość? Zawód? Smutek? Wstyd? Żalność? O tym wiedział tylko sam Lech. Wsparty łokciami o krawędź biurka nie dawał znaków życia. Pokój wypełniła atmosfera tajemnicy. Gęstej, niemal smolistej tajemnicy. Mięśnista masa drgnęła, podniosła się i mechanicznym krokiem ruszyła w kierunku okna. Promień na chwilę zyskał na sile, rozszedł się po starych, dębowych meblach, oświetlił lico Prezesa, po czym zgasł. Pomieszczenie spowil kompletny mrok. Nikt nie widział, co skrywała potężna twarz. Unoszący się w powietrzu dym z papierosa znów zaczął napierać na ściany. Wszystko jakby wróciło do normy, jednak nic już nie było takie samo.

Słońce wzniosło się ponad bloki. Zbliżała się godzina ósma, koniec zmiany dla jednych, początek zmiany dla drugich. Ludzkie mrowisko zaczęło ożywać. W miejscu po wygaszonych ogniskach nie tlił się już nawet żar.

* * *

Leo wrócił do stróżówki i bez słowa zaczął pakować swoje rzeczy do wysłużonego plecaka. Współpracownicy tylko patrzyli, jak młody, dowodzący nimi chłopak ze stoickim spokojem i szalem w oczach chowa do torby starą książkę, szary, lekko nadtluczony kubek, pęk kabli i różnorodnej, nieprzydatnej elektroniki, bluzę z naszywką na klatce, teczkę z dokumentami i drugą parę butów. Przez długi czas nikt się nie odzywał. Suchy i Tatar, przyjaciele od dziecka i zarazem najbardziej zaufani ludzie Pazura, stali oniemieli, nie mogąc uwierzyć, że Leo ich opuszcza. Ciszę wypełnioną szmerem pakowania przerwał dopiero najmłodszy ze stróżów, nastoletni Rafał.

– Czemu nie wróciłeś na wartę? Stary cię tak długo trzymał?

W odpowiedzi na pytanie Pazur rzucił tylko karcące spojrzenie, jednak nie splawiło to chłopaka.

– Wezwał cię w związku z...? Pytał, jak do tego doszło? Skąd ty masz to niby wiedzieć?

– Młody, zamknij się! – szybko wtrącił Tatar.

– Leo nie ma ochoty rozmawiać – uspokoił Suchy. – Daj mu teraz spokój. A tak w ogóle, to już po ósmej. Kto do domu, ten do domu, kto na zmianę, to na stanowisko. Rozejść się.

Grupa stróżów usłuchała silnego i zarazem spokojnego głosu Suchego. Jedni zabrali torby i ruszyli w stronę bloków mieszkalnych, drudzy pobrali karabiny i rozeszli się w małych grupkach po terenie umownie należącym do Prezesa. Zatłoczona stróżówka opustoszała, została w niej tylko trójka przyjaciół – Leo, Suchy i Tatar. Pazur zwolnił ruchy. Z wolna zaczęła dopadać go niemoc.

– Leo... – zaczął Suchy. – Wyrzucił cię?

– Nie – odparł chłopak stanowczo.

– W takim razie czemu się pakujesz?

– Sam odchodzę.

Tatar i Suchy spojrzeli po sobie, nie mogąc uwierzyć w słowa Pazura. Przyjaciół zaskoczył ich swoją decyzją, choć dla niego była ona równie niespodziewana. Zmieszany Suchy przysiadł. Nastąpiła krępująca cisza. Jedyne zegar na ścianie pocykiwał, choć zdawać by się mogło, że mimo swej natury przedmiotu rozumiał sytuację i obniżył swój poziom głośności.

– Przecież ty nie masz z tym nic wspólnego – Tatar przerwał milczenie. – Nie miałeś na to wpływu. Stało się i się nie odstanie. Martwi pozostaną martwi, żywi nadal żyją. Więc dlaczego, do jasnej cholery, chcesz odejść?

– Bo mam dość.

– Jak to dość? Czego masz dość? – Do rozmowy włączył się Suchy. – Nas masz dość? W miarę cywilizowanej pracy masz dość?

– Suchy, przecież wiesz, że to nie tak. Mam dość Borkowicza. Tego całego cyrku, który rozgrywa się w naszym mieście.

– Jakiego cyrku? O czym ty bredzisz?

– Nie widzicie, że jesteśmy niewolnikami? Stary, Baron i inni podobni rządzą tym miastem, rządzą twardą ręką. A my jesteśmy jedynie pacholkami, narzędziem do osiągnięcia ich celu, celu którym jest pełna miska, miękkie łóżko i wzbudzanie szacunku. Nie chcę w tym brać udziału.

– Chyba nie rozumiem – rzekł Tatar.

– Tatar, chłopie. Wiem, że u was w Rosji wszystko wyglądało inaczej, zawsze mieliście surową władzę, znormalizowaną biedę i skrajne sytuacje. Ale tutaj było inaczej. Rodzice mówili,

że kraj był wolny, przynajmniej do czasu. Teraz po wolności nie ma śladu. Mam pracować za miskę ryżu, kiedy Borkowicz obżera się wołowiną? Mam codziennie przez dwanaście godzin lampić się przez lunetę mojego AK-12, mierząc przestrzeń i strzelając do dzikich zwierząt i intruzów, kiedy Borkowicz śpi w swoim zatechłym mieszkaniu i ogląda stare filmy? Mam wiecznie słuchać kłamstw o swoich rodzicach od kogoś, kto ich nawet nie znał? Podziękuję. Mam dość, chłopaki. Mam życie tak szare, że chce mi się nim rzygać. A to co się stało... Ja naprawdę nie wiem, jak to wyjaśnić. Słyszałem tylko strzał, zobaczyłem, jak Wojtek pada na ziemię, strzeliłem do mordercy ale... – Leo pokiwał bezsilnie głową.

Zmęczony już opowiadaniem tej historii. Sam nie mógł pojąć, jak do tego wszystkiego doszło. Było tuż po dziesiątej, słońce już dawno zaszło, a zespoły stróżów obstawiły punkty. Deszcz niemilosiernie zacinał, gasząc ogniska. Skryci w specjalnych wiatkach, które specjalnie dla nich zaprojektował Karpacz, obserwowali teren Brętowskich Błoni. Teren pozornie bezpieczny, jednak od strony lasu mogło przyjść wszystko, ludzie, zwierzęta czy inne licho. Dlatego też warta tutaj tylko pozornie należała do prostych.

Tego wieczoru zespół Pazura składał się z trzech przyjaciół – Łukasza Suchackiego, zwanego Suchym, Danily Tatarowicza, zwanego Tatarem, i Wojtka Murańki, a także dwójki młodych, przyuczających się na stróżów adeptów – Rafała Plaskowskiego, zwanego Pyskiem, i ciemnoskórego imigranta, Carola Aloony, przezywanego przez wzgląd na karnację mianem Bambo. Ludność Gdańska stanowili głównie biali. Większość ciemnoskórych skorzystała z okazji do walki w ramach konfliktu rasowego palącego Amerykę Północną. Rodzice Carola zostali w mieście, a sam chłopak postanowił dołączyć do stróżów. I to właśnie on dostrzegł tej nocy ruch na błoniach. Zgodnie z zasadami poinformował o tym pozostałych.

Murańka, serdeczny przyjaciel Leo, Suchego i Tatara, zaoferował, że pójdzie to sprawdzić. Leo, bez pośpiechu, w ściśle ustalonym stumetrowym odstępnie ruszył za nim, aby w razie potrzeby móc osłonić przyjaciela. Oddalili się od wiaty na około dwieście metrów. W normalnych warunkach byłiby doskonale widoczni, jednak mrok posiekany wartkim deszczem sprawił, że Suchy musiał wyteżać wzrok, aby dostrzec ledwo zauważalną postać Pazura.

Murańka odniósł wrażenie, że coś czai się w pobliżu gruzowiska. Kierując się doświadczeniem obstawiał dzikiego psa. Po uzyskaniu zgody od dowódcy zbliżył się do skarpy i powoli zsunął. Po kilku chwilach Leo ruszył jego śladem. Wtedy też wśród gruzów rozległ się dźwięk szybkich kroków i szarpaniny. Pazur rzucił się w tamtym kierunku ale kiedy już dotarł na brzeg skarpy, rozległ się huk wystrzału.

W gruzowisku stały dwie osoby – Wojtek i ktoś jeszcze. Murańka zastygł i bezwładnie padł na ziemię. Leo, w przyplwywie adrenaliny odbezpieczył odziedziczony po ojcu karabinek AK-12,

wycelowal w druga postac i bez chwili namyslu pociagnal za spust. Obok ciala Muranki zwalilo sie drugie cialo, nieco mniejsze, ubrane w taki sam kombinezon. Jak sie pozniej okazalo, byl to adept z innej wiaty, niejaki Kamil Najder. Piętnastoletni chłopak, tak jak jego rówieśnicy dostrzegł podejrzany ruch, jednak postanowił sprawdzić to nie komunikując o tym nikomu. Pośród gruzów zapewne trafił na Murańkę i przestraszony zaatakował. Tak przynajmniej początkowo tłumaczył to sobie Leo. W całej tej historii nie zgadzało się tylko jedno – czoło Murańki przeszły pocisk o kalibrze 7,62 mm, tymczasem uczniowie dostają jedynie klasyczne, niezawodne Beretty APX 4,5 mm...

Ażeby tego było mało – Kamil miał ze sobą jedynie nóż bojowy, który trzymał w garści. Murańka przecież nie zastrzelił się sam, nie zrobił tego również uczeń, który nieszczęśliwie trafił w deszczu na Pazura. Nie dawało mu to spokoju. Czyżby był tam ktoś trzeci? Całą resztę warty rozpaczal nad śmiercią przyjaciela, obwiniał się za zabójstwo młodego chłopaka, jednocześnie próbując rozwikłać nocną zagadkę. Stracił jedną z trzech bliskich mu osób, które mu jeszcze zostały. Przyjaciela od dziecka. Opiekunczego kolegę i wybitnego współpracownika, z którym rozumiał się bez słów. Plakał, obserwując przy tym strugi krwi spływające wraz z deszczem i tworzące na gruzowisku rubinowe, zmacone kałuże.

* * *

Kiedy Kolba dotarł do obozu, nie płonęło już żadne ognisko. Tętniło za to życie. I to takie jak dawniej, kolorowe, wypełnione gwarem i uśmiechami. Życie o wiele prostsze, bardziej pierwotne. Życie, które ciężko umiejscowić na osi czasu. Życie, które jest zarazem pre- i post. Przed i po. Życie, które minęło, i które dopiero przyjdzie.

Kolba przywital się z żoną, pocałował ją i objął w pasie. Poglaskał syna po głowie i ruszył w kierunku swojego domu. Drogę zastąpił mu jednak potężnych rozmiarów mężczyzna ubrany w futrzaną kamizelkę. Jego zamarała w grymasie mierzenia wzrokiem innych twarz momentalnie zmieniła wyraz. Na widok brodatego strzelca olbrzym uśmiechnął się tak szeroko, jak to możliwe.

– I co?

– Wykonane! – oznajmił Kolba po chwili budowania napięcia ciszą. – Mamy go, że tak to ubiorę w słowa – z głowy.

– Mój człowiek... – odparł lysis gigant, po czym mocno uściskał Kolbę. – Teraz jesteśmy bezpieczni, znowu cały obóz zawdzięcza ci spokój. Jak dobrze cię mieć. Ten sukces będzie trzeba uczcić. Chłopy! Dziś wieczorem świętujemy! Kolba zabił Olecha, zdrajca nie żyje, obóz jest

bezpieczny. Opijemy to, jak należy. Ślżzak, przygotuj świniaka, dziś nie będziemy oszczędzać. A ty, Kolba – olbrzym obrócił się w stronę strzelca – do łóżka, musisz odespać.

– Tak jest, generale Mikka – odparł Kolba salutując, po czym uśmiechnął się, ponownie wtulił w żonę i z wolna ruszył do swojej niewielkiej chatki. Luksusowej, bo drewnianej. Ale i zasłużonej.

Las skrupulatnie ukrył tę scenę radości przed całym światem. Bujne korony drzew, dojrzałe krzewy, gęste zarośla i ponadprzeciętnie zielone trawy otaczały obóz z każdej strony. Życie istniało, bo żyło obok zycia, które ani nie umarło, ani nie przeżyło.

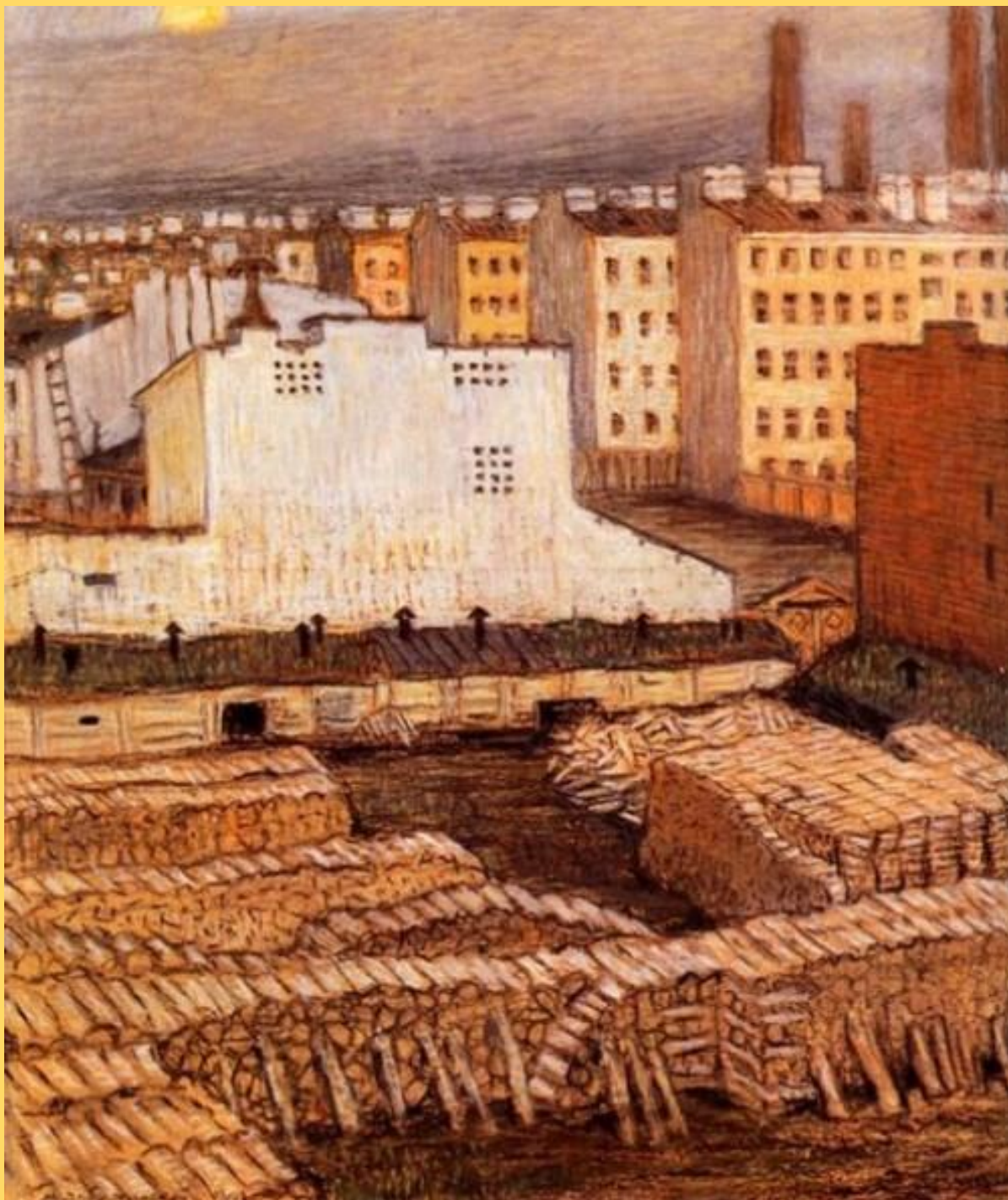
[CDN.]



Théodore Caruelle d'Aligny, *Rochers à Fontainebleau* (ca. 1833)



INTYMIŃTYKA



Мстислав Валерианович Добужинский, *Город* (1904)

Przemysław Mazurkiewicz

Delegacja warszawska

Pamiętnik osobisty z okresu 04.03.18 – 30.03.18

cz. I/II

04.03.18

Jutro mam jechać do Warszawy i niemal zupełnie o tym zapomniałem. Nie spakowałem się, nie zaplanowałem, jakie miejsca chcę zobaczyć. Tak jakby moja podświadomość wyparła fakt tej niechcianej delegacji. Wiem tylko, że nie spędzę tam pełnego miesiąca i będę wracał do domu na weekendy. Zbyt długa izolacja od ulubionych miejsc mogłaby wywołać nawrót depresji, a pociąg z Warszawy do Gdyni jedzie tylko trzy godziny.

Oprócz przejrzanego już podręcznika Adama Wolańskiego zabieram zbiory polskich opowiadań *science fiction* z lat 45-89, które Tomasz Kołodziejczyk polecał w „Nowej Fantastyce” i które kupilem w Internecie za grosze. Trzeba uporządkować myśli...

05.03.18

Przyjazd do Warszawy nieco mnie otrzeźwił. Lubię panoramę okolicy Dworca Centralnego – budzi miłe skojarzenia z konwentami i wielka szkoda, że wynajęty przez Market hotel znajduje się z dala od niej, na przedmieściach.

Miejsce zakwaterowania jest dziwne. To jakby kompleks mieszkalno-usługowy: trzy połączone pod kątem prostym, ceglane bloki, otaczające rozległy parking. Architektura i wystrój wyglądają, jakby ktoś próbował nawiązać do stylu XVIII-wiecznych dworców, ale z braku środków lub talentu wyszła mu z tego kiczowata parodia.

Dostałem na wyłączność dwuosobowy pokój z ogromnym balkonem. Właściwie cała północna ściana to półprzezroczysta szyba, przez którą mogę patrzeć na ludzi na zewnątrz niczym jakiś cyniczny *deus ridens*. Istnym koszmarem jest łóżko. Materac to właściwie sprężynowy stelaż obciążony cienkim płótnem. Autentycznie wygodniej leży się na podłodze. Zachwycony jestem natomiast biurkiem – szerokim i solidnym, wykonanym z litego drewna. To jeden z tych mebli, które wywołują złudzenie, że postawienie ich we własnym mieszkaniu wpłynęłoby na wenę.

Ostatnią rzeczą wartą odnotowania jest wszechobecny półmrok. Sufitowa lampa w pokoju ma tylko jedną żarówkę, w dodatku tłumioną kloszem; lampki na biurku i nocnej szafce świecą nieco jaśniej. Nie lepiej jest na korytarzach, zbyt rozległych i krętych, aby dało się je ogarnąć niewielką ilością lamp. Całe to miejsce zdaje się tłamsić światło.

6.03.18

Tryb zajęć w Warszawskim Markecie niemal pozytywnie mnie zaskoczył. Zamiast spodziewanych dziesięciu godziny dziennie, marnuję tam przepisowe osiem – wieczory mogę więc spędzać na spacerach i czytaniu. Ponadto praca nie polega na zmianie wystroju działającego sklepu, ale na zabudowaniu i zatowarowaniu miejsca przejętego od upadłej konkurencji. Cały asortyment jest więc nowy i ogólnie panuje względny porządek.

Niestety, mimo innych okoliczności to nadal znany mi z łódzkiej przebudowy chaos. Czterysta osiemdziesiąt minut każdej doby marnowane na aktywności pozbawione organizacji i celu, do tego w towarzystwie ludzi tak ubogich duchowo, że niemal sprawiających wrażenie niezdających sobie sprawy z własnej egzystencji.

Do tego ta otępiająca ciemność, która okazała się nie być wyłącznie cechą pokoi hotelowych. Market bez gotowej instalacji elektrycznej, oświetlany jedynie kilkoma technicznymi reflektorami również sprawia wrażenie grobowca. W ogóle cała Warszawa od mojego przyjazdu spowita jest gęstą mgłą, przez którą słońce nie różni się od ulicznej latarni. To wszystko w połączeniu z faktem przebywania na otwartej przestrzeni wyłącznie rano i wieczorem daje poczucie egzystencji w kopalni. Oczy łakną światła.

8.03.18

Dawno nie czulem się równie osaczony. Układ hotelu przypomina fortyfikację, a jego przedmiejskie otoczenie sprawia, że Warszawa niczym nie różni się od pierwszej lepszej prowincjonalnej wioski. Podczas spacerów wszystko wygląda identycznie. Ponadto w budynku nie ma niczego w rodzaju salonu, więc czytać mogę wyłącznie w swoim szcztątkowo oświetlonym pokoju.

Oczywiście wszystko tu odbywa się o ściśle wyznaczonych godzinach. 7:00 – śniadanie; 8:30 – wyjazd do Marketu; 17:00 – powrót. Nie mogę nawet, jak w Gdyni, otępić się wykładaniem towaru, ponieważ na niezabudowanej, otwartej hali nieustannie skazany jestem na czyjeś towarzystwo. Nie zabrałem komputera, więc nie ma dostępu do Internetu. Nie mogę czytać kłótni na Tanuki i nie wiem kto wygrał Oscary.

09.03.18

Na weekend wróciłem do domu. Oscara za najlepszy film dostał *Kształt wody*. Ze wszystkich produkcji nominowanych w głównej kategorii ta podobała mi się chyba najmniej. Obraz del Toro wydał mi się interesujący dopiero, gdy zacząłem go sobie celowo nadinterpretować; gdy przestałem

brać pod uwagę, z jak postępowym reżyserem mam do czynienia, a jego dzieło zacząłem odczytywać jako pochwałę społecznego konserwatyzmu i krytykę wszelkich ruchów lewicujących.

Tak więc:

Bohaterem niezrozumianym i osaczonym jest tak naprawdę ten grany przez Michaela Shannona. On jeden jest w swoich działaniach osamotniony, podczas gdy bohaterowie reprezentujący różnego rodzaju mniejszości – niepełnosprawnych, czarnoskórych, homoseksualistów – tworzą zgraną, doskonale rozumiejącą się wspólnotę. Bohatera Shannona odbieramy jako antagonistę, ponieważ obserwujemy go z perspektywy głównej bohaterki (tak naprawdę – postaci negatywnej). Jego agresja wynika z poczucia bezradności i niemocy: podwładni nie wykonują jego poleceń, przełożeni mu grożą, rodzina nie rozumie, przedsiębiorcy wykorzystują (scena z zakupem samochodu), itd. Prawdopodobnie jest on też brutalnie zindoktrynowanym katolikiem, powtarzającym wyuczone religijne formułki, ale nierozumiejącym ich i niezdolnym się do nich zastosować. Jego osaczenie sygnalizuje kolorystyka filmu – morska zieleń wszechobecna zarówno w miejscu pracy, jak i w przestrzeni osobistej. Poza tym o antylewicowej wymowie filmu może świadczyć to, jak ukazywana jest w nim seksualność. Spełniony stosunek bohaterów zalewa kino (jest szkodliwy kulturowo); poranna masturbacja bohaterki sprawia, że spóźnia się ona do pracy (jest szkodliwa ekonomicznie).

Prawdopodobnie muszę sobie nadinterpretować ten film dla zwiększenia satysfakcji, ponieważ w znacznym stopniu zawiódł moje oczekiwania. W swoim zamierzonym, progresywnym wydźwięku jest zbyt krzykliwy, nie mówiąc już o tym, że fabuła nawet nie umywa się do tej ze znakomitego *Labiryntu fauna*.

12.03.18

Ponieważ w trakcie półtoradniowego pobytu w domu nie mogłem się skupić na niczym produktywnym, zacząłem oglądać trzeci sezon *Black Mirror*. Serial coraz bardziej mi się podoba, choć głównie z uwagi na aspekty kompozycyjne. W dobie wszechobecnych serializacji, gdzie każda książka musi być częścią sagi, a każdy film częścią uniwersum, ogromnie doceniam takie zbiory krótkich, samodzielnych historii.

A treść? Wciąż uważam, że większość odcinków jest przewidywalna i zbyt czytelna jeśli chodzi o moral, choć i tu zdarzają się wyjątki. Na chwilę obecną za najlepszy uważam *Shut Up and Dance* – ciekawa rzecz w kwestii kreowania napięcia, narracyjnego wprowadzania odbiorcy w błąd oraz sposobu stawiania pytań o zasadność podziału na jednoznaczne dobro i zło.

13.03.18

Kolejny tydzień warszawskiej przebudowy rozpoczął się przeniesieniem do innego hotelu. Pokój jest nędzny, zarówno jeśli chodzi o metraż, jak i o wyposażenie. Pomieszczenie liczy sobie pięć kroków wzdłuż i trzy wszerz. Ponadto znajduje się na poddaszu, zatem sufitowy skos dodatkowo ogranicza przestrzeń. Nie ma tutaj biurka, a jedynie płytka toaletka z płyty wiórowej. Jednoosobowe łóżko jest węższe od tego, które mam w domu, co do tej pory wydawało mi się niemożliwe. Drażnią rozmaite techniczne zaniedbania. Jeden z sufitowych kasetonów ma inną fakturę; jedna z łazienkowych listew jest nierówno przycięta; jeden z włączników światła zamontowany jest na odwrót, tak że logo producenta widnieje na nim do góry nogami. Do tego pokój ma chyba najgorszą lokalizację w całym hotelu – parę metrów od palarni. Przesiąknięty jest zapachem papierosowego dymu i dźwiękami rozmów lekko zniecierliwiałych członków klasy robotniczej. To chyba nie jest lokalizacja, w której powinno się dłużej mieszkać. Raczej „nie-miejsce” przeznaczone wyłącznie do krótkotrwałego przebywania.

14.03.18

Jak dotąd pobyt tutaj uświadomił mi trzy rzeczy:

1. Nie doceniałem komfortu łódzkiego hotelu. Choć miał tę samą ilość gwiazdek co ten, tam miałem w pokoju dwukrotnie szersze łóżko, solidne biurko, elektryczny czajnik i wannę. Mimo smaczniejszych śniadań, to lokum jest co najmniej o klasę gorsze.
2. Jestem sybarytą jeśli chodzi o warunki pracy. Prawdopodobnie student mieszkający w akademiku ma do dyspozycji pokój w podobnym standardzie, a do tego dzieli go z drugą osobą. W takich warunkach ludzie są w stanie się uczyć i kończyć studia. Ja studiów nie byłem w stanie skończyć w warunkach dla siebie optymalnych.
3. Nie znam podstawowych zasad gramatyki i ortografii. Do pisania pamiętnika, poza zeszytem i długopisem, potrzebny jest mi podręczny słownik, którego tym razem zapomniałem zabrać z domu. Nawet nie chcę myśleć, jak wiele żenujących błędów ortograficznych popełniłem w ostatnich wpisach.



Józef Czapski,
Martwa natura z cytrynami (1971)

[cdn.]

Cementująca przygoda

spisał*

Przemek Saktura

Cała przygoda zaczęła się od tego, że O. pojechała na warsztaty, do Olsztyna. Poniedziałki o 18.00 to termin taki se dla przyjezdnych spoza Warmii i Mazur. Połączenia fatalne. Na sensowne pociągi czy autobusy nie ma co liczyć. Pożyczyła samochód. Długo się przed tym wzdrygała, wracanie po nocach widziało jej się tak sobie, ale warsztaty dobre, więc w drogę.

Zapomniała z domu karty do bankomatu, nie zdąży obrócić, podjechała do mnie do pracy, wzięła dwie stowy, to tylko kilka godzin, więc myśli, że powinno starczyć.

Dzwoni, uśmiechnięta; mimo orkanu i gradobicia na miejsce dotarła na styk, 17.58, zaparkowała pod teatrem. Z warsztatów zadowolona, trochę mi opowiada, resztę powie mi w domu. Śpieszy się, wraca, jutro od rana praca.

Ja mam wieczór dla siebie, jestem „słomianym wdowcem”, lata już nie te, więc w planach żadne balety, ot, piwko, dwa na kanapie przed kompem. O. nie lubi, kiedy piję w domu, w tygodniu, bez okazji. Zwalcza we mnie kawalerskie nawyki. Ale przecież okazja jest. Jestem „słomianym wdowcem” jeszcze przez cztery godziny, do północy, nim wróci.

Po północy telefon. Problemy są dwa. Oba poważne. Drugi jest taki, że kończy jej się paliwo, choć przecież zatankowała konkretnie. Nie ma kasy, nie wie, czy dojedzie.

Pierwszy, bo poważniejszy jest taki, że ktoś za nią jedzie. Upewniła się, przyśpieszała, zwalniała, zjechała na stację benzynową. Pojechał dalej, ale czekał w zatoczce przystanku autobusowego i znów wsiadł jej na ogon. Na następnej stacji znów zjechał za nią, więc to raczej nie paranoje. Wystraszyła się, nie wie, co robić. Mówię żeby zrobiła mu zdjęcie. Zdjęcie rejestracji, tak, żeby widział. Normalnie chamsko bez żadnej dyskrecji stań mu przed maską i zrób zdjęcie. Wyślij do mnie. Wejdz na stację i dzwoń na policję. Powinien się wystraszyć. I przede wszystkim powiedz mi, gdzie jesteś. Pod Płockiem. Ok, blisko mieszka Elka, zadzwonię do niej, obudzę ją, trudno, może po ciebie wyjedzie. Zresztą najlepiej śpij u niej.

* Wszystkie opisane tu wydarzenia rzeczywiście miały miejsce i zostały spisane tak rzetelnie, jak tylko autor był w stanie.

Rozłączamy się. Dzwonię do siostry, mówię biednej zaspanej w czym rzecz. Jak już zaczniesz kontaktować, to łapie ją panika. Mówi, że będzie się bała jechać. Największa twardzielka, jaką znam, mówi, że nie pamięta, kiedy tak się bała. Jakaś jej kumpela jest na mesendźerze, nie śpi. Zadzwoń, podjadą we dwie.

Dzwonie do O. raz, drugi, piąty. Telefon poza zasięgiem. Staram się odganiać czarne myśli, choć już wiem, że koleś na litewskich blachach, osobówka z przyczepą do przewożenia innych samochodów. Oglądało się trochę amerykańskich seriali kryminalnych o psychopatach: noc, puste drogi, upatrzona wcześniej samotna kobieta za kółkiem, odpowiedni moment, spycha z drogi, później, jakby ktoś nawet przejeżdżał, powie, że udziela pomocy, jakby nikt nie przejeżdżał, to najpierw O. do bagażnika, potem Twingo na przyczepkę i znika bez śladu. Staram się odganiać czarne myśli, ale jeśli telefon jej padł, a nie wzięła ładowarki, to czarna dupa. Nawet jeśli koleś to nie psychol, to skończy jej się paliwo, nie wiadomo gdzie, z Elką jej nie skontaktuję, bo wiem tylko tyle, że jakaś stacja, gdzieś pod Płockiem. Odbierz! Odbiera. Policja przyjedzie. Koleś zamówił hot-doga. Nie śpieszy mu się. Już tak pół godziny stoją.

W końcu odjechał. Policja przyjeżdża, nie są zainteresowani blachami młodego Litwina w drucianych oprawkach, skarpetach i japonkach, z koszulką wpuszczoną w dresy podciągnięte nad pępek. Mówią, że mogą wyprowadzić ją na Kutno. O. chce jechać do domu, odsiecz dziewczuch odwołujemy.

Zostaje problem paliwa. Można przecież płacić telefonem. Podaję O. dane z jej karty. Niestety blokuje sobie aplikację.

Sprawdzam pociągi. 3.53 z Żabińca do Kutna. Jak będzie trzeba, przesiadka do Gostynina. Przywiozę pieniądze. Podjedź gdzieś, gdzie są ludzie, na jakąś benzynówkę, zdrzemnij się w aucie. Ja też się na chwilę położę. Napisz mi, gdzie dojechałaś.

Przed trzecią telefon. Znalazłam, za 6.80, zatankowałam kapkę, na trasie przestała mi się świecić rezerwa, myślałam, że dojadę... Stoję na poboczu, gdzieś pod Strykowem, weź taksówkę, przyjedź z benzyną. Dobra, jadę. Wysła mi pinezkę z Google Maps. Skrzyżowanie autostrad, Wolności i Bursztynowej. Kurs będzie trochę niecodzienny, mówię do taksówkarza, pokazuję mu ekran smartfona, tłumaczę, w czym rzecz. Ok, jedźmy. Tylko benzynę to kupmy w mieście, na trasie może nic nie być. Spoko. Kupuję mały kanisterek.

Przed dystrybutorami drobny dylemat. Dzwonię z zapytaniem do O., śpi. Bezołowiowa czy zwykła? – Tłucze mi się w zaspanej głowie. Nie mam prawa jazdy, o tankowaniu wiem tyle co o szyciu na maszynie i o grze na perkusji, czyli, że to chyba nic trudnego. Biorę „zwykłą”, za co spotyka mnie zasłużona kara.

Zagubione pobocze z seledynowym blaszanym maleństwem ze zgaszonymi światłami znajdujemy bez trudu, stoi zaraz za wjazdem na autostradę. Żegnam się z sympatycznym taksówkarzem i ze stową z hakiem.

Stukam w szybkę, budzi się, dezorientację szybko zastępuje uśmiech na widok wybawiciela. Wyskakuje energicznie. Buziaki, uściski. W podniesionej z dumą ręce bohatera – kanister. Wlewajmy i jedźmy! Kupiłeś bezołowiową? Nie, jakąś zwykłą. Nie wiedziałem, jaką, dzwoniłem. Było napisane Pb? Nie, ON. ON? Kupiłeś diesla. Na dieslu nie pojedziemy... O N, O... N... olej napędowy... Kurwa, jaki jestem durny... Google. Nie odpali, a jak odpali, to może zniszczyć katalizator, zapchać filtr. Niby lepiej niż wlać benzynę do diesla, ale nadal. Mapy. Jest stacja benzynowa w Strykowie. Trzy i pół kilometra. Dobra, nie ma co, idę. O. zostaje w aucie, bo jeszcze je ktoś odholuje.

Trzy i pół kilometra. Skrzyżowanie autostrad. Czwarta rano. Smętne ostatki tchnień orkanu. Drzew nie wywraca, ale pizga. Skrzyżowanie autostrad. Wjazdy, zjazdy, ślimaki, wiadukty, barierki, mikro-miejscami-pobocza. Co jakiś czas sięgam zgrabiałą dłonią po telefon, upewniam się, że dobrze idę. Muszę się przedostać na drugą stronę, potem do Brzezińskiej, do centrum, na Orlen. Przeskakuję przez ulice, barierki, wspinam się nasypami, Brzezińska przelatuje wiaduktem nad trasą, muszę się na niego wspiąć, ale najpierw przeleźć przez siatkę. Za wiaduktem rondo, od ronda przez prawie kilometr zero latarni, ciemno jak w tanich dreszczowcach. Mijają mnie ze trzy samochody. Już wolalbym, żeby nie mijaly. Stacja na szczęście otwarta. Powrót. Jest rażniej, znam już trasę, niosę (tym razem już na pewno) benzynę, jest mi cieplej, rozgrzałem się w marszu. Jeszcze tylko się odlać ale nie tu, nie w tych egipskich ciemnościach, gdzieś dalej, bliżej ronda. Dobra, tu już coś widać, jest drzewo, leje. Oglądam się przez ramię, jakieś dwieście metrów ode mnie, od strony miasta idzie ktoś z latarką. Kurwa, dziękuję za towarzystwo, już wolę ulice duchów niż żywego człowieka. Szybko rozporek i w drogę. Na wiadukt, z wiaduktu, przez siatkę, pobocze, barierki, nasypy, wjazdy, zjazdy, pobocze.

Po szóstej byliśmy w domu.

– Blikiem, mogła zapłacić blikiem. Z twojego konta. Podałbyś jej kod i tyle – skwitował mój serdeczny kolega.

I byłaby to naprawdę zajebiście dobra pointa, krótka, mocna, nic dodać... Byłaby, gdyby nie to, że O. najpierw powiedziała, wiesz ta noc nas scementowała, pokazała, że mogę na ciebie liczyć, a kilkanaście miesięcy później pointę kolegi przebiła słowami JESTEŚMY W CIAŻY.

Nasza córka niedługo skończy rok.

Kurtyna.



Lost Highway, rež. David Lynch, zdj. Peter Deming (1997)



Wild at Heart, rež. David Lynch, zdj. Frederick Elmes (1990)



SNY, ŻWIDZENIA, PREKOGNICJE

Julia Kobro

„Z sensacji ci wyślę mój dzisiejszy sen.

Dziś byłam w bardzo wysokim pomieszczeniu i z jakiegoś stoliczka wskoczyłam do kieszeni szlafroka. Takiego w czarno-czerwone kwadraty. Grunge lat 90. W kieszeni były dziurki, bo był przetarty.

Przyszedł właściciel, który wyglądał jak Ernest Hemingway, założył szlafrok i wyszliśmy na dwór. Zobaczyłam podwórko, płot z prętów i sunący z olbrzymią prędkością strumyk ludzi. Górnicy z flagami, potem jakaś grupka malutkich dzieci na hulajnogach – wszystko równej wielkości – i opiekunowie z białą czerwonymi chorągwiami. Potem kolejne grupy. Wracamy z właścicielem szlafroka do budynku, a na nim tabliczka: **KPRM**.

Czy ja nawet we śnie nie mogę przestać mieszać porządków??????”



Frida Kahlo, *La venadita* (1946)



DRAMAT



NN, Вацлав Фомич Нижинский в роли Петрушки (1911)

PRZEMYSŁAW REDESIUK

DROGA DO NIEBA

OSOBY DRAMATU

STARUSZKA

RENATA jej córka

SPRZĄTACZKA z mopem i wiadrem

ZAKONNICA JUDYTA upadła

PIOTR radca prawny z wielopokoleniowej rodziny prawniczej

JANINA instruktorka jogi

URZĘDNIK przeprowadzający spis

SCENA I

Pomieszczenie, kanapa, na której siedzi Staruszcza. Staruszcza odmawia pacierz. Wchodzi Renata.

RENATA

Grzejniki trzeba odkręcić, zimno tu jak w psiarni.

STARUSZKA

Przyzwyczajam się.

RENATA

siada obok Staruszczi

Co?

STARUSZKA

Tak, tak, ja umrę niedługo.

RENATA

Niby dlaczego?

STARUSZKA

Nic tu po mnie, stara jestem i brzydka, z domu nie wychodzę, czasy takie niespokojne.

RENATA

odpala papierosa, bierze w rękę gazetę

Niech mama nie przeżywa. O, ludzie mają większe tragedie. Zobacz, chłopak nie żyje, dwadzieścia lat.

STARUSZKA

zabiera papierosa Renacie, zaciaga się

Ja na pewno umrę, czasy takie niespokojne, a jak nie umrę, to mnie zabiją!

RENATA

Nie tam, sam się zabił...

zaciaga się, wypuszcza dym

...przez dziewczynę.

STARUSZKA

Dziewczynę? Jakby sobie drugiej nie mógł znaleźć, albo chłopaka, jak to tam teraz robią. Chłopy jak nie piją, to durnoty im w głowie.

RENATA

kpiąco.

Daj spokój, babo.

RENATA (c.d.)

szpera w gazecie

O, krzyżówki porozwiązuj, a nie – bredzisz. Byś się zajęła czymś pożytecznym.

STARUSZKA

wyrywa Renacie gazetę

Miejsce cierpienia dusz za grzechy, na sześć liter, pierwsza litera to „p”.

zastanawia się

RENATA

Polska!

STARUSZKA

rozmarzona

Nie lżyj! Przed wojną to była Polska, piękna, z tradycjami, z ludźmi dobrymi...
A jaka duża!

RENATA

kpiąco

Była.

STARUSZKA

po chwili zamyślenia

Renatka! Bo ja nie chcę z granitu. Nie będę w takim grobie nie żyć, na pewno nie!

RENATA

A w jakim?

STARUSZKA

Postaw mi pomnik z marmuru!

RENATA

z wielkim oburzeniem, pretensją

Z marmuru?! O nie, nie po to ciągle pracuję, żeby wydawać pieniądze, których i tak nie mam, a które muszę zarabiać, żeby inni mieli mniej niż ja! Po pracy przyjeżdżam do ciebie – sklerotycznej, zamkniętej w tej lepiance od wojny, prawie nieżyjącej baby – a mogłabym w tym czasie zarabiać pieniądze, które zresztą tracę na dojazdy moim supernowoczesnym samochodem o napędzie nuklearno-hybrydowym, a ty żądasz ode mnie marmuru?!

Wokół sam gnój, świnie i pordzewiałe ciągniki, zapomnij o tym!

STARUSZKA

I taka to wdzięczność wasza! Nic wam nie dam po śmierci, tylko się śmiać będę z nieba, że nic nie macie.

Słysząc hałas ścinania drzewa.

STARUSZKA

Co to?

RENATA

wygląda przez okno

Stryjek przyszedł, brzozę wycina.

STARUSZKA

Nie, nie, nie, nie, nie!

RENATA

Co znów?

STARUSZKA

To ty nie wiesz?! Ty nie wiesz?! Jak się wycina brzozę z podwórka, to ktoś się połamie z domowników.

zaczyna szlochać

RENATA

zażenowana

Ty to spać idź już najlepiej, a nie – zmyślasz.

zakłada torebkę na ramię, poprawia włosy i wychodzi

Staruszka kładzie się na kanapie, zaczyna ponowne zmagania z krzyżówką, podnosi wzrok z nad gazety.

STARUSZKA

O matko, paproć mi uschła!

Podnosi się, bierze konewkę i staje na stolku, sięga ręką, traci równowagę i spada. Słychać głośny trzask. Po chwili Staruszka wstaje.

STARUSZKA

z obłędem w oczach, przerażonym tonem

Wojna?! Ja pamiętam, ja taka mała, przez las biegłam, buciki gubiłam, a wtedy Niemcy...

układa dłonie niczym pistolet

Trutututututututu!

rozcłada się badawczo, powoli opuszczając „pistolet”

SCENA II

Sprzątaczką wchodzi z wózkiem na mopy. Znużona, wzrok oddaje jej obojętność wobec Wszystkiego. Zaczyna zmywać podłogę.

STARUSZKA

Co pani robi?

SPRZĄTACZKA

A co się głupio pyta? Ślepa?

STARUSZKA

podchodzi, przygląda się badawczo

Gdzie my jesteśmy?

SPRZĄTACZKA

Posłuchaj, zlotko, zasuвам z tym mopem przez całą wieczność i dzień w dzień dostaję te same pytania. To może człowieka drażnić. Widać, co robię i gdzie jesteśmy.

ze złością wsadza mopa do wiaderka i zaczyna wychodzić

SPRZĄTACZKA

Żeby to umieranie jakieś trudne było... Co ja? Przewodnik jestem?

STARUSZKA

rozgląda się, mówi sama do siebie

No, holender, mówiłam, że umrę, ale oczywiście mi nie wierzyli, nie, nie. No tak, bo jak jestem brzydka i stara, to umrzeć nie mogę? Bo za brzydka i za stara? Jeszcze czego.

Mija chwila. Niepewnym krokiem wchodzi Zakonnica Judyta, kobieta z rozmażanym makijażem, potarganymi włosami, w czepcu zakonnicy, podartym habicie i w szpilkach. Każde wypowiedziane przez Judytę słowo jest przesadnie wypukłone i ekspresyjne.

STARUSZKA

mierząc przybyłą wzrokiem

A kim pani jest?

ZAKONNICA JUDYTA

Nazywam się Judyta i jestem siostrą zakonną.

STARUSZKA

A to dziwne, nie wygląda pani na zakonnicę.

ZAKONNICA JUDYTA

Jakiś czas temu straciłam więź z Bogiem. Włożyłam go do torebki i z tego wszystkiego zupełnie nie mogę go znaleźć, więc zaczęłam szukać najpierw w monopolowym, potem spotkałam jakiegoś pana, który też zgubił Boga, i szukaliśmy go razem w klubach i barach.

STARUSZKA

Ale jak się tu pani znalazła?

ZAKONNICA JUDYTA

Zupełnie przypadkowym trafem moje ciało znalazło się w przydrożnym rowie po tym, jak wypilam całe wino mszalne i wiele innych radioaktywnych substancji, i próbowałam znaleźć Boga.

po chwili zastanowienia

I nadal nie wiem, gdzie on jest.

Judyta wyjmuje z torebki butelkę wina, zaczyna pić.

JUDYTA

Och, właśnie sobie przypomniałam, że zgubiłam klucze do klasztoru, o którym zapomniałam, że jeszcze na tamtym świecie go sprzedałam.

patrzy na staruszkę błagalnym spojrzeniem

Może On naprawdę jest w torebce, może zapadł w sen zimowy?

STARUSZKA

W sen zimowy? Czy pani jest poważna?!

ZAKONNICA JUDYTA

No nie wiem, jak niedźwiedzie albo susły... Na Jego podobieństwo jesteśmy stworzeni!

STARUSZKA

Ale...

ZAKONNICA JUDYTA

przerywając, strasznie pijana

Niech mi pani pomoże szukać Boga w torebce. Jest przeogromna – cztery przegrody, kosmetyczka mieszcząca całe cierpienie świata i dwie kieszonki...

niemalże z płaczem

...po bokach.

Obie zaczynają grzebać w torebce, następnie się przepychają, aż w końcu zawartość torebki wypada na podłogę. Zaczynają sortować zawartość torebki.

ZAKONNICA JUDYTA, STARUSZKA

Szkło do szkła, papier do papieru, kosmetyki do kosmetyczki...

STARUSZKA

Nie ma.

ZAKONNICA JUDYTA

prawie mdlejąc

Jak to?

STARUSZKA

No nie ma.

Judyta wpada w furie. Zaczyna krzyczeć, rzucać się po podłogę, Staruszka zniesmaczona odsuwa się. Wchodzi sprzątaczką.

SPRZĄTACZKA

O! Kolejna furiatka, co się zgubiła.

podchodzi do Staruszki

SPRZĄTACZKA

A co ona?

Staruszka wzrusza ramionami

SPRZĄTACZKA

E, ty! Czarna ciziu, idziemy!

ZAKONNICA JUDYTA

Do Boga?

SPRZĄTACZKA

kpiąco

Tak, do Boga. Bierz ten mop i idziemy do Boga.

Wychodzą. Pewnym krokiem wchodzi Piotr.

PIOTR

Witam, klaniem się. Piotr, radca prawny.

Staruszcza próbuje się przedstawić, ale Piotr przerywa.

PIOTR

Jestem szanowanym radcą prawnym i w dodatku powszechnie znanym.

STARUSZKA

niepewnym głosem

Ale ja pana nie znam.

Piotr szyderczo spogląda na Staruszkę.

PIOTR

Pani żyje w chorobie, to jest jakaś abstrakcja! Co pani sobie myśli? Jestem z porządnej, wielopokoleniowej rodziny prawniczej! Co za brak taktu!

podnosząc głos

Dla kogo Pani pracuje?

STARUSZKA

zdziwiona

Ja już nie...

PIOTR

przerywając

Nie, tak nie będzie! Jak spotkam pani pracodawcę, to powiem, żeby się zastanowił, z kim pracuje. Nie zdaje sobie pani sprawy z mojej globalności! Pierwszy raz coś takiego widzę...

STARUSZKA

Halo, grzeczniej!

Staruszcza uderza Piotra torebką.

PIOTR

Hola, hola, stara babo! Mam kolegę ze świata przestępczego, który w każdej chwili może zrobić z tobą porządek!

STARUSZKA

Nie żyjesz! Ja też nie. Nic nie możesz zrobić. Nic. Rozumiesz?

PIOTR

grożąc

Śmiesz mi coś insynuować ?

Piotr wyjmuje z aktówki segregator.

PIOTR

Zaraz znajdę na to odpowiedni paragraf. Na dożywocie cię zamkną, stara prukwo! A ta gmina – ta, co w niej mieszkasz – wójt tej gminy to mój prywatny kolega, on robi z tobą porządek! O tak! On na pewno. Już po niego dzwonię!

Piotr wyciąga komórkę. Za plecami Piotra pojawia się sprzątaczką. Wyrzywa mu telefon z ręki, wrzuca do wiaderka z wodą i mopem.

SPRZĄTACZKA

z szyderczym uśmiechem

Nigdzie nie dzwonisz.

PIOTR

oburzony

A ty to kto?!

SPRZĄTACZKA

Książkę pisze? Bierz mopa i idziemy.

PIOTR

Jestem z wielopokoleniowej rodziny prawni...

SPRZĄTACZKA

przerywa, mocno zirytowana

A ja jestem kleopatą!

bierze zamach mopem w stronę Piotra

SPRZĄTACZKA

Idziemy!

Piotr wystraszony zaczyna prowadzić wózek z mopami, wychodzi razem ze sprzątaczką. Wchodzi Janina, instruktorka jogi; w turbanie, idzie bardzo „skupionym” krokiem. Wskazuje na Staruszkę.

JANINA

Reumatyzm, miażdżyca, złe tai chi, za mało medytacji, za dużo skwarek na smalcu o czwartej nad ranem.

Staruszkę zawstydzona poprawia torebkę. Janina podchodzi, wacha ją.

JANINA

Ruskie. Za dużo ruskich papierosów. Robią je z radioaktywnych śmieci z Czarnobyla, które są eksportowane do Rosji. Podlewają metanolem, aż wszystko nabierze konsystencji tygodniowego żurku, a potem dodają rozpuszczalniki do felg, rdzę dla koloru, kwaśne deszcze dla smaku, głód, choroby weneryczne, zamieszki, globalne ocieplenie i trzęsienia ziemi. A później tylko wysuszyć, pokroić, do paczek i fru! To poważny stan, zalecam półtoragodzinną sesję medytacji.

STARUSZKA

Ja wiedziałam, że za wszystkim stoi ten Putin! Pieprzone bolszewiki, już przed wojną mówili, że ten Stalin to menda straszna!

Janina chodzi wokół Staruszeki nieustannie kontrolując oddech.

JANINA

Już wiem! Musisz znaleźć wewnętrzne światło. Wiesz, co to yerba mate?

STARUSZKA

Co mi tu pani...

JANINA

przyjmuje pozycję „drzewa”

Nigdy nie łącz kurczaka z ziemniakami. Ja raz złączyłam i nie żyłam.

STARUSZKA

O czym pani do mnie mówi?

JANINA

A rano omlet, szynka, majonez, węglowodany.

STARUSZKA

Słucham?

JANINA

Pani nie rozumie, ja żyję w zgodzie ze sobą i innymi. Zdrowo się odżywiam, nie jem niczego, co żyło.

Staruszeką notuje.

JANINA

Nasącz glinę wodą i ulep z niej kurczaka. Zamiast ziemniaków ugotuj kamienie – bardzo zbliżony smak. Omlet zrób z dwustu mililitrów globalnego ocieplenia, dodaj sto gram spalin, no i przyprawy, które możesz zastąpić każdym rodzajem piachu

i żwiru. Szybkę pokrój z mydła, majonez zrób z cementu i białej farby do ścian o wysokiej odporności na wilgoć. Oczywiście nie jest to dieta prosta do przeżycia, ale jeśli medytujesz i widzisz wewnętrzne światło, to zupełnie nie musisz się martwić trawieniem!

STARUSZKA

A spaliny to z benzyny, gazu czy diesla?

JANINA

Najlepiej z benzyny + LPG, w Polsce zupełnie nietrudno o takie.

Wchodzi Sprzątaczką.

SPRZĄTACZKA

Chodź, idziemy. Pozbierasz po drodze trochę spalin i piachu.

Janina ucieszona idzie za sprzątaczką, Staruszka też.

SPRZĄTACZKA

A ciebie wołałam?

STARUSZKA

Ale ja...

SPRZĄTACZKA

Czekasz na spis, nic mnie to nie interesuje.

Sprzątaczką i Janina wychodzą.

SCENA III

Staruszcza obraca się, podchodzi niepewnie. Przed nią, za biurkiem pełnym segregatorów, torebek po herbacie na talerzyku i z resztką herbaty w szklance, siedzi Urzędnik.

URZĘDNIK

Co pani ma?

STARUSZKA

poddenerwowanym głosem

Dom, podwórko, zestaw naczyń ze stali nierdzewnej, piekarnik z termoobiegiem, telewizor z kablówką, drzwi antywłamaniowe, lodówko-zamrażarkę...

URZĘDNIK

przerzywa jej

Nie, nie. Pani ma udar, następnie upadek ze stolka, uraz czaszki, utrata przytomności i już pani nie żyje. Czy zdaje sobie pani sprawę z następstw?

STARUSZKA

głosem pełnym nadziei

Pan przyjmuje do Nieba?

URZĘDNIK

wskazuje na kartkę

Proszę złożyć podpis.

Staruszcza podpisuje się. Przychodzi Sprzątaczcza.

STARUSZKA

Po tylu latach w końcu święty spokój w Niebie!

URZĘDNIK

Niewątpliwie.

Sprzątaczką daje mop Staruszcze. Staruszcza jest zdziwiona.

SPRZĄTACZKA

A ty co myślała? Na cmentarz, ale już! Ja twojego grobu sprzątać nie będę.

Staruszcza wychodzi z mopem. Sprzątaczką wychodzi również, mamrocząc pod nosem.

SPRZĄTACZKA

Się znalazła, panienska z okienka zasrana.

Urzędnik, notuje coś w swoich papierach.

Od Autora:

Droga do Nieba jest dość mocno doświadczona przez los. Po wystawieniu jej w ramach jednego z festiwali teatralnych zrodziła się idea przerobienia jej na film. Dobre chęci i zaangażowanie niestety nie wystarczyły, bo warunki techniczne, którymi dysponowałem, i wianuszek małych nieszczęść sprawiły, że nic z tego nie wyszło.

Dorastała w szufladzie, modyfikowałem ją w chwilach, gdy zauważałem zmiany w sobie i otoczeniu. W którymś momencie po prostu została ostateczną drogą, bardziej donikąd, niż do nieba, bo pojawiły się nowe rzeczy.

Tym bardziej jest mi miło, że została odkopana i przywrócona w jakimś sensie do życia – w przeciwieństwie do głównej bohaterki, która przez moje zwątpienie wciąż jest pomiędzy życiem a śmiercią.



Andrzej Wróblewski, *Tron* (niedatowany, przed 1957)



SCENARIUSZ



Shadows and Fog, reż. Woody Allen, zdj. Carlo di Palma (1991)

BEZDOMNY

MARCIN MAKARA

SCENA 1

PLENER. ULICA. DZIEŃ

Z przedszkola wychodzi Magda (32) z córką Anną(3). Magda trzyma Annę za rękę.

CIECIE DO:

SCENA 2

PLENER. ULICA. DZIEŃ

Magda z Anną idą po chodniku. Przy chodniku stoja pawilony handlowe.

MAGDA

No, opowiadaj, co robiłaś dzisiaj w przedszkolu?

ANNA

Bawiłam się lalkami z Zuzią, potem było leżakowanie.

MAGDA

A co było na obiadek?

ANNA

Zupka i kotlecik.

MAGDA

I wszystko zjadłaś?

ANNA

Wszystko zjadłam, bo pani mnie namawiała.

ANNA

Mamo, a Zuzia mówiła, że tata
chodzi z nią na spacer i kupuje
jej pyszne lody.

Magda z Anną przechodzą obok sklepu z zabawkami.

ANNA

A dlaczego, mnie tatuś nie zabiera
na spacer? Gdzie jest mój tatuś?
Ja nie mam tatusia?

MAGDA

Aniu spójrz, jaki ładny misio,
chciałabyś go mieć?

Magda pokazuje Annie misia na wystawie sklepowej.

ANNA

Jaki ładny! Chcę, chcę!

Magda z Anną wchodzi do sklepu.

CIECIE DO:

SCENA 3

PLENER. ULICA. DZIEŃ

Ulica przylegająca do węzła komunikacyjnego, częściowo
położona pod wiaduktem, dzięki któremu jest osłonięta od
opadów śniegu i deszczu. W pobliżu, znajduje się mały sklep
spożywczo-monopolowy, kiosk i przystanek autobusowy. Duże
natężenie ruchu, początek dnia. Jeżdżą autobusy i samochody,
zdarza się usłyszeć klakson. Widać ludzi idących przejściem
dla pieszych i czekających na przystanku. Ludzie śpieszą się
do szkoły lub pracy. Starsze osoby, mniej ruchliwe, powoli
posuwają się ze swoimi wózkami i torbami. Każdy szybciej
lub wolniej zmierza w jakimś kierunku. Przy chodniku,
na drewnianej skrzynce od warzyw, siedzi mężczyzna, Roman(60).
Jego długa broda i równie długie, potargane włosy
w połączeniu z poszarpanym ubraniem, świadczą o wieloletnim
stażu bezdomnego. Roman ma pomarszczoną i zarośniętą siwą
brodą twarz. Przed Romanem, na chodniku, stoi plastikowy
kubek. Do kubka, pomimo dość dużej liczby przechodniów, bardzo
rzadko ktoś wrzuca jakąś monetę. Roman obserwuje przechodniów,
czasami tęsknym wzrokiem spogląda ponad tym, co go otacza.

SCENA 4

WNĘTRZE. DOM. DZIEŃ

Kuchnia. Magda razem z Anną je śniadanie.

MAGDA

Aniu, postaraj się szybciej przeżuwać, bo inaczej spóźnisz się do przedszkola, a ja do pracy. No, bardzo dobrze, popij herbatką, jeszcze tylko dwie kanapeczki.

ANNA

Mamo, nie mogę już, w przedszkolu też jest śniadanie.

MAGDA

Może i jest, ale niepilnowana, pomachasz trzy razy łyżką w zupie mlecznej, znajdziesz kożuch i więcej nie zjesz.

ANNA

Nie lubię zupy mlecznej, bo w niej pływają kożuchy.

MAGDA

No widzisz, dlatego łykaj, łykaj Kanapeczki. Jak młody pelikan.

ANNA

A jak łyka kanapeczki młody pelikan?

MAGDA

W całości i w dodatku, nie musi popijać herbatką. Zostały dwie ostatnie kanapeczki. No dobrze, to ty zjadasz jedną i mama jedną. A teraz ubieramy buciki i wychodzimy, bo ucieknie nam autobus.

ANNA

Mamo, czy mogę wziąć misia?

MAGDA

Możesz, ale szybko, bo naprawdę się spóźnimy.

CIECIE DO:

SCENA 5

PLENER. ULICA. DZIEŃ

Magda z Anną przechodzą koło Romana. Roman siedzi na skrzynce od warzyw i wygrzewa się w promieniach słońca. Anna w ręce trzyma misia.

ANNA

Mamo, co to za straszny pan? Jak idziemy do przedszkola, to on tu siedzi. I jak wracamy, to dalej tu jest.

MAGDA

Pewnie nie ma domu, ani pracy, może nawet rodziny, która chciałaby go znaleźć. Zgubił się w życiu.

ANNA

A jak ja się zgubię, to będziesz mnie szukać?

Magda przytula na chwilę Annę.

MAGDA

Bardzo cię kocham i nie pozwolę ci się zgubić, ale nawet gdyby tak się stało, to szukałabym do końca życia, na końcu świata, aż bym znalazła.

ANNA

Ja te ciebie mamom bym szukała,
bo bardzo cię kocham.

Magda z Anną przechodzą przez przejście dla pieszych. Idą na przystanek autobusowy, który znajduje się za przejściem. Podjeżdża autobus. Magda z Anną wsiadają do autobusu.

CIECIE DO:

SCENA 6

PLENER. ULICA. WIECZÓR

Magda wraca z Anną do domu. W lewej ręce trzyma siatkę z zakupami, prawą ręką trzyma lewą dłoń Anny. Anna w prawej ręce trzyma loda, a pod pachą lewej ręki trzyma misia.

Mijają Romana.

Magda z Anną odeszły już na dużą odległość od Romana.

Roman patrzy na ulicę, gdzie przed chwilą szły Magda z Anną i widzi leżącego misia Anny.

Roman wstaje z drewnianej skrzynki na warzywa i podchodzi do misia. Podnosi misia i patrzy w miejsce, gdzie przed chwilą jeszcze szły Magda z Anną, ale ich już nie ma.

CIECIE DO:

SCENA 7

WNĘTRZE. DOM. NOC

Anna leży w łóżku i płacze. Magda przytula Annę.

ANNA

Mój biedny misiu, leży gdzieś sam
na śmietniku i płacze.

MAGDA

Przypomnij sobie, może zostawiłaś
w przedszkolu?

ANNA

Jak wychodziliśmy z przedszkola,
to pokazywałam go Zuzi.

MAGDA

To może Zuzia go przez pomyłkę
wzięła?

ANNA

Nie, bo jak jechałyśmy autobusem,
to ta pani mówiła, że misie lubią
miód. Biedny misiu sam leży
na ulicy i mu smutno.

MAGDA

Jutro go poszukamy. A teraz śpij.
Bo rano spóźnimy się
do przedszkola, a ja potem
do pracy.

Anna płacze.

ANNA

Mały biedny miś, sam gdzieś w nocy
leży, może go zjadł zły wilk.

MAGDA

Kupimy drugiego misia.

ANNA

Ja nie chcę drugiego, ja chcę
tego, mojego misia, który sam
na śmietniku płacze.

CIECIE DO:

SCENA 8

PLENER. ULICA. NOC

Roman leży w swoim kartonowym schronieniu.
W słabym blasku dochodzącym z odległej ulicznej latarni widać,
jak Roman wacha misia.
Zasypia przytulony do misia Anny.

SCENA 9

PLENER. ULICA. WIECZÓR

Pada deszcz. Magda idzie szybkim krokiem, w jednej ręce trzyma małą siatkę z zakupami, a w drugiej parasol. Dochodzi do miejsca pod wiaduktem, w którym siedzi Roman. Roman widzi Magdę. Pochyla się nad dużym czarnym workiem i wyciąga z niego misia Anny. Roman idzie w kierunku Magdy. Magda ma słuchawki na uszach. Roman podąża za Magdą, ale nie może jej dogonić. Roman dogania Magdę. Staje naprzeciw niej. Wyciąga w kierunku Anny rękę, w której trzyma misia.

ROMAN

To pani córki?

MAGDA

O, Boże, spadł mi pan z nieba.
Mała płakała całą noc za tym
misiem.

Roman stoi ociekając wodą.

ROMAN

To chyba raczej niebo spadło
na mnie.

Magda wyjmuje portfel, z którego wyciąga banknot. Wręcza banknot Romanowi.
Roman, cofa się, nie przyjmuje banknotu.
Magda podchodzi do Romana i chwyta go za przedramię. Wkłada banknot w dłoń Romana.

ROMAN

Dziękuję.

MAGDA

Uratował mnie pan. Musiałabym
jechać po drugiego, na koniec
miasta, albo przeżyć następną
nieprzespaną noc.

Roman się odwraca i odchodzi w stronę wiaduktu.

MAGDA

Odprowadzę pana.

ROMAN

Nie trzeba, poradzę sobie.

MAGDA

Jest pan wystarczająco
przemoczony, jeszcze się pan
rozchoruje.

ROMAN

Nic mi nie będzie.

Magda odprowadza Romana do wiaduktu.

Magda z Romanem podchodzą do miejsca, gdzie Roman sypia
na kartonowym posłaniu.

MAGDA

Do widzenia i jeszcze raz panu
dziękuję.

ROMAN

To ja jestem pani wdzięczny.
Trudno jest zasnąć z pustym
żołądkiem.

MAGDA

Patrząc na to miejsce... to w ogóle
chyba ciężko tu spać. Nie myślał
pan o jakimś innym schronieniu?
Przecież są chyba jakieś
noclegownie albo domy opieki?

ROMAN

Tak, ale potem jest trudno
pozbyć się pasażerów na gapę.

MAGDA

Kogo ma pan na myśli?

ROMAN

Nie kogo, ale co. Wszy, pchły,
pluskwy. Wie pani, później ciężko
się pozbyć tego w tych warunkach.

MAGDA

Nie chciałabym się wtrącać, ale
nie ma pan żadnych znajomych,
rodziny, no nie wiem, kogoś, kto
mógłby panu pomóc?

Roman milczy.

MAGDA

Przepraszam, nie chciałam pana
urazić... Dobranoc.

Magda odchodzi.

CIEŃCIE DO:

SCENA 10

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

Magda wraca z zakupami do domu. Wchodzi do mieszkania.
Zdejmuje buty w przedpokoju.

MAGDA

Aniu, Aniu, chodź szybko! Zobacz,
co mam.

Anna wybiega z pokoju do przedpokoju, chwyta misia i rzuca się
Magdzie na szyję.

ANNA

Gdzie go znalazłaś? Mój mały,
biedny misiaczek! Tak bardzo
za nim tęskniłam!

SCENA 11

PLENER. ULICA. DZIEŃ

Magda z Anną podchodzą do Romana.

MAGDA

Dzień dobry. Ania chciała panu podziękować, za odnalezienie jej małego przyjaciela.

ANNA

Dziękuję panu bardzo.

ANNA

(do mamy)

To jak misiu się zgubił, to był z tym panem?

MAGDA

Tak, to właśnie ten pan go znalazł.

Anna chowa się za mamę.

ANNA

To misiu musiał się bardzo bać.

MAGDA

Aniu, tak nie wolno!

ROMAN

Nie szkodzi, drogie dziecko. Mała ma rację. Może nie mam lustra, ale wystarczają mi witryny sklepowe. Lepiej w nie nie patrzeć...

MAGDA

Przepraszam jeszcze raz za Anię.
Musimy już iść, żeby nie spóźnić
się do przedszkola. Do zobaczenia!

ROMAN

Życzę paniom miłego dnia.

Magda z Anną odchodzą.

CIECIE DO:

SCENA 12

PLENER. ULICA. DZIEŃ

Magda podchodzi do Romana, do miejsca, gdzie sypia.

MAGDA

Witam, nie przeszkadzam?

ROMAN

Ależ nie. Właśnie jestem już
po pracy.

MAGDA

Rozumiem, że ma pan jakieś
obowiązki.

ROMAN

I to bardzo poważne. Prowadzę
własną działalność.

MAGDA

A co to za działalność? Jeśli
można wiedzieć?

ROMAN

Charytatywna. Przez cały dzień
zbieram datki, aby wieczorem
wspomóc samego siebie.

MAGDA

I jakie efekty dzisiaj?

ROMAN

Mizerne.

MAGDA

To nawet dobrze się składa, bo w takim razie, mam dla pana dzisiejszą dniówkę.

Magda z plecaka wyjmuje słoik z zupą i podaje Romanowi. Roman je zupę.

ROMAN

Dawno nie miałem domowego jedzenia w ustach. Przepyszna.

MAGDA

Tutaj raczej ciężko coś ugotować.

ROMAN

To są właśnie uroki mojego życia.

MAGDA

Chyba raczej mroki.

ROMAN

Człowiek do wszystkiego się przyzwyczai.

MAGDA

Chce pan może śpiwór? Jakiś czas temu robiłam porządek w piwnicy i go znalazłam. Nie zanosi się na to, żebym wybierała się na jakiś biwak. Na pewno będzie lepszy od tych kartonów.

ROMAN

Może odrzucimy zbędne konwenanse
i mówmy sobie po imieniu.

MAGDA

Magda.

ROMAN

Roman.

ROMAN

Śpiwór, brzmi interesująco, ale
przepraszam, co na to twój
chłopak, czy mąż, jeśli takiego
posiadasz?

MAGDA

Na co?

ROMAN

No, że pomagasz obcemu facetowi.

MAGDA

Nie ma kto pytać.

ROMAN

A ojciec Ani?

MAGDA

To był chwilowy epizod w moim
życiu, pożegnaliśmy się, zanim
dowiedziałam się, że jestem z nim
w ciąży. Właściwie to ja go
pożegnałam.

ROMAN

Narozrabiał?

MAGDA

Nie. Ale były momenty, że żarliśmy się jak wściekli. Aż pewnego razu za dużo powiedziałam, on też i tak jakoś wyszło.

ROMAN

To on nie wie, że ma córkę?

MAGDA

Chciałam mu to powiedzieć, ale okazało się, że był już z inną kobietą.

ROMAN

Czasami warto się złamać, dla siebie, dla innych, może jeszcze jest czas, żeby wszystko zmienić.

MAGDA

Teraz to już nie ma znaczenia. Muszę już iść. Jutro rano, jak będę jechała z Anią, to dam ci śpiwór. Do widzenia.

ROMAN

Do jutra.

SCENA 13

PLENER. ULICA. DZIEŃ

CIECIE DO:

Z daleka widać, jak Magda i Anna idą w stronę Romana. Roman odwraca głowę i je zauważa, uśmiecha się, macha ręką w kierunku Magdy. Ona również macha mu ręką i się uśmiecha. Magda z Anną podchodzą do Romana.

MAGDA

Dzień dobry.

ANNA

Dzień dobry.

ROMAN

Witam moje piękne damy!

Magda wręcza Romanowi siatkę.

MAGDA

Znalazłam jeszcze parę rzeczy.
Przejrzyj, jeśli się nie
przydadzą, to wyrzuć. Aniu, daj
śpiwór.

Anna daje Romanowi śpiwór. Roman uśmiecha się, otwiera śpiwór i go „przymierza”.

ANNA

Mamo, ten pan pachnie jak
śmietnik.

MAGDA

Przepraszam! Aniu, już ci mówiłam,
żebyś trochę uważała na to,
co mówisz.

ROMAN

Trochę za duży, ale to nawet
lepiej od przybytku głowa nie
boli. Gorzej, jak by był za
krótki. Ania ma rację. Człowiek
z czasem się przyzwyczaja i nie
czuje własnego smrodu.

Roman wychodzi ze śpiwora, podchodzi do skrzynki od warzyw i wyciąga spod niej dwa pęczki polnych kwiatów. Kłania się w pas, daje jeden bukiet Annie i całuje ją w rękę. Drugi daje Magdzie i ją również całuje rękę.

ANNA

Jakie ładne. Dziękuję!

MAGDA

Ja również! Cóż za ciekawa kompozycja, nie podejrzewałam cię o talent florystyczny.

ROMAN

Żaden tam talent, za blokami jest piękna kwiecista łąka, czasami zbieram tam zdziczałe śliwki i jabłka. Może byście poszły ze mną na spacer w sobotę? Umiecie robić wianki?

ANNA

A co to „wianki”?

ROMAN

To taka korona z kwiatów na głowę.

ANNA

Ja chcę koronę z kwiatów. Mamo pójdziemy, pójdziemy?

Magda uśmiecha się.

MAGDA

No, nie wiem.

ANNA

Mamo, zgódź się.

MAGDA

No dobrze. O której?

ROMAN

Nie liczę godzin i lat, nie mam nawet na czym. Tutaj będę czekał, o każdej porze.

MAGDA

W sobotę w południe.

ROMAN

Jak w westernie.

MAGDA

No, to do soboty.

ANNA

Do widzenia panu!

ROMAN

Do widzenia.

Magda z Anną odchodzą. Roman patrzy, jak odchodzą.

CIECIE DO:

SCENA 14

PLENER. ŁĄKA. DZIEŃ

Roman idzie po łące, w ręce trzyma plastikową siatkę reklamówkę. Podchodzi do strumienia, rozbiera się i myje. Roman ubiera czyste rzeczy z reklamówki. Rozpala ognisko i pali stare ubrania. Obok, przy strumieniu, stoi drzewo, na którym siedzi kruk i kracze.

CIECIE DO:

SCENA 15

PLENER. ŁĄKA. DZIEŃ

Magda z Anną i Romanem idą po łące. W oddali widać miasto. Roman z Magdą plotą wianek, który po założeniu Annie na głowę rozpada się. Magda sama plecie wianek i zakłada go Annie. Anna goni motyla, nie może go złapać, ponieważ wianek z kwiatów jest za duży i spada jej na oczy. Roman macha rękoma jak motyl, biegnie przed Anną. Anna goni Romana. Magda, Anna i Roman zrywają i jedzą maliny. Anna znajduje nieżywą jaskółkę. Roman patykiem kopie w ziemi dołek, wkładają tam ptaka. Roman przysypuje jaskółkę ziemią. Anna zrywa kwiatki i kładzie na grobie jaskółki. Przez łąkę płynie mały strumień. Anna, Magda i Roman wrzucają do rzeczki patyki, idą z nurtem i patrzą, który patyk szybciej płynie.

Patyk Romana utknął na mieliźnie. Anna się śmieje i klaszcze w dłonie, ponieważ patyki jej i Magdy popłynęły dalej. Anna, Magda i Roman idą wzdłuż strumienia, żeby zobaczyć, który patyk będzie pierwszy. Niestety, dalej grunt jest zbyt bagnisty, Roman grzęźnie jedną nogą w błocie; Magda z Anną się śmieją. Nie mogą iść dalej po zbyt podmokłym gruncie. Patyki Magdy i Anny znikają za zakrętem strumienia. Konkurencja pozostaje nierozstrzygnięta. Widać zachodzące słońce. Magda, Anna i Roman idą po łące w kierunku miasta widocznego w oddali.

CIECIE DO:

SCENA 16

PLENER. ULICA. NOC

Roman wraca do swojego kartonowego schronienia. W rękę trzyma przezroczystą torbę (reklamówkę), w której jest bochenek chleba i kiełbasa, wystająca z siatki. Za nim w oddali, powoli podąża duży pies.

Roman odkłada torbę na drewnianą skrzynkę od warzyw i pochyla się nad swoim legowiskiem. Odwraca się i widzi psa, który próbuje chwycić kiełbasę.

ROMAN

Zostaw! Poszedł ty!

Pies rzuca się na Romana.

CIECIE DO:

SCENA 17

WNĘTRZE. DOM. NOC

Magda siedzi na łóżku i patrzy na zdjęcie, które trzyma w ręce. Na zdjęciu widać Krzysztofa (33) obejmującego Magdę.

CIECIE DO:

SCENA 18

PLENER. ULICA. DZIEŃ

Magda stoi i patrzy na biurowiec, po drugiej stronie ulicy. Widzi, jak z budynku wychodzi Krzysztof. Krzysztof wita się z kobietą, która stoi pod budynkiem. Oboje wsiadają do samochodu. Magda odwraca się i odchodzi.

CIECIE DO:

SCENA 19

WNĘTRZE. SALA W SZPITALU. DZIEŃ

Roman leży w łóżku w szpitalnej sali.
Do sali wchodzi Magda.

MAGDA

O Boże, jak ty wyglądasz!

Magda siada na krzesło obok łóżka, na którym leży Roman.

MAGDA

Przyszłam wczoraj i jak zobaczyłam
plamy krwi na twoich rzeczach, to
od razu domyśliłam się, że stało
się coś złego. Dzwoniłam po
wszystkich szpitalach i dopiero tu
powiedzieli mi, że jesteś. Lekarz
powiedział, że mało brakowało...

Magda płacze.

ROMAN

Od razu mi lepiej, jak cię
zobaczyłem. Nie martw się mną,
jeszcze chwilę się tutaj pomęcę.
Niedługo mają mnie wypisać.

MAGDA

Na jakiś czas musisz się zatrzymać
u mnie. Nie możesz w tym stanie,
dalej siedzieć na ulicy.

CIECIE DO:

SCENA 20

WNĘTRZE. DOM. NOC

Mieszkanie Magdy. Roman (ostrzyżony i ogolony) leży na łóżku.
Magda siedzi na fotelu przy łóżku, na którym leży Roman.

ROMAN

Kiedyś pytałaś, czy mam jakąś rodzinę. Miałem kiedyś żonę, ale wdałem się w romans. Odszedłem do kochanki, a ona zostawiła mnie po jakimś czasie. Niezręcznie mi było wrócić do żony, zacząłem pić, straciłem pracę i tak wylądowałem na ulicy. Jak się otrząsnąłem z nałogu, to minęło już tyle czasu, że potem nie miałem odwagi.

MAGDA

Może właśnie teraz powinieneś spróbować?

ROMAN

Po tylu latach? Po tym, jak splunęło się komuś w twarz? Raczej nie mam czego tam szukać. To byłoby niepoważne.

MAGDA

Może powinieneś spróbować? Już raz popełniłeś błąd, największy błąd w swoim życiu. Przykro byłoby, chociaż nie spróbować tego naprawić.

Chwilę siedzą w milczeniu.

ROMAN

Wiesz, po jakimś czasie, jak się siedzi na ulicy, to zwykłe rzeczy stają się zupełnie niezwykłymi. Normalny człowiek, chyba nie zdaje sobie sprawy, jak wspaniale jest leżeć w czystym, pachnącym łóżku.

MAGDA

Za dużo wrażeń na dzisiaj. Musisz odpoczywać. Chodźmy spać.

CIECIE DO:

SCENA 21

WNĘTRZE. KLATKA SCHODOWA. DZIEŃ

Roman stoi na klatce schodowej z pękiem kwiatów w dłoni, puka do drzwi, nikt nie otwiera. Roman ponownie puka do drzwi. Drzwi otwiera MŁODA KOBIETA.

MŁODA KOBIETA

Tak słucham?

ROMAN

Przepraszam, czy zastałem panią Górską?

MŁODA KOBIETA

Niestety, pani Górską już tutaj nie mieszka.

ROMAN

Czy pani może wie, gdzie się przeprowadziła?

MŁODA KOBIETA

Sąsiadka mówiła, że ta pani załamała się po stracie męża i zmarła jakiś czas temu. Ale dokładnie nie wiem, kiedy. Ja mieszkam tu od niedawna.

Kwiaty wypadają Romanowi z ręki. Odwraca się i odchodzi.

CIECIE DO:

SCENA 22

PLENER. ULICA. DZIEŃ

Magda jest w miejscu przy wiadukcie, w którym przesiadywał Roman. Chwilę stoi, rozgląda się. Idzie do pobliskiego sklepu.

CIECIE DO:

SCENA 23

WNĘTRZE. SKLEP. DZIEŃ

Magda wchodzi do sklepu.

MAGDA

Przepraszam, czy nie widziała pani ostatnio tego bezdomnego pana, który siedział w tym miejscu, tam pod wiaduktem?

EKSPEDIENTKA

Pamiętam, pamiętam. Czasami robił u mnie drobne zakupy. A czy to przypadkiem, nie on się tam powiesił na tych drzewach za ulicą? Podobno policja odcinała tam wczoraj jakiegoś wisielca.

Magda wybiega ze sklepu.

CIECIE DO:

SCENA 24

WNĘTRZE. DOM. NOC

Magda otwiera drzwi od pokoju, przygląda się śpiącej Annie.

CIECIE DO:

SCENA 25

WNĘTRZE. DOM. NOC

Magda wybiera numer telefonu i przykłada telefon do ucha.

MAGDA

Krzysztof? Tak, to ja Magda.

SCENA 26

WNĘTRZE. KLATKA SCHODOWA. WIECZÓR

Krzysztof puka do drzwi.
Otwiera Magda. Patrzy na mężczyznę i płacząc rzuca mu się
w ramiona. Mężczyzna i Magda obejmują się.
Z przedpokoju na klatkę schodową wychodzi Anna.

ANNA

Mamo co to za pan? Kto to jest?

MAGDA

Aniu, to jest twój tatuś.

KONIEC



Albrecht Dürer,
Bildnis eines 93-jährigen Mannes (1521)

NIEPAMIĘĆ

MARTYNA SZULCZYK, PATRYK KOPROWSKI

ZIMA

1. PLENER. WIEJSKA DROGA. WIECZÓR

JAN (starszy mężczyzna) jest mocno zaniepokojony, w rękę trzyma latarkę. Nerwowo rozgląda się po okolicy, jakby kogoś szukał (fragment sceny 10.). Biegnie w stronę skrzyżowania i kapliczki. Rozgląda się. Światło latarki kieruje na przydrożne rowy.

ZANIKANIE

Napisy początkowe - tytuł, reżyser.

LATO

2. PLENER. PODWÓRKO. DZIEŃ

KATARZYNA (młoda kobieta) wraz z kilkuletnią córką zbierają czereśnie w sadzie. Spokojnym krokiem z rękoma założonymi do tyłu podchodzi do nich HELENA (starsza kobieta). Stoi chwilę bez słowa, wpatruje się w biegającą dziewczynkę. Helena zerka w stronę furtki.

HELENA

Pani się nie boi tak z dzieckiem
tu przychodzić?

KATARZYNA

(odpowiada z uśmiechem)

A czego mam się bać?

Helena wskazuje na Jana wchodzącego przez furtkę na podwórko, Jan prowadzi rower.

HELENA

Ten gruby już pięcioro dzieci
w studni utopił.

Katarzyna nie przejmuje się słowami Heleny.
Helena spokojnym krokiem odchodzi.
Katarzyna podąża za nią wzrokiem.

KATARZYNA

(do córki)

Chodź kochanie, zbieramy się
powoli do domu.

3. PLENER. PODWÓRKO. DZIEŃ

Jan odprowadza rower pod dom. Podchodzi do niego Katarzyna.

KATARZYNA

Tato, my już będziemy jechać.

JAN

Co tak wcześnie? Nie zostaniecie
na obiad?

KATARZYNA

Mam jeszcze kilka spraw
do załatwienia na mieście.

Katarzyna całuje Jana w policzek. Odjeżdża samochodem
zaparkowanym na podwórku.
Jan z uśmiechem macha w stronę odjeżdżającego auta.

JAN

(woła w stronę Heleny)

Hela, nie chodź po tej wysokiej
trawie, bo cię jaka pszczoła
użądli.

Helena z grymasem na ustach wzrusza ramionami i wymownie macha
ręką.

4. WNETRZE. POKÓJ DZIENNY. PORANEK

Jan leży na kanapie. W tle słychać szuranie.
Helena stoi przy drzwiach wyjściowych i próbuje je otworzyć
(drzwi zamykane na zasuwkę).

JAN

Hela, jeszcze za wcześnie. Jeszcze
rosa na trawie.

HELENA

Pomóż mi z tym zamkiem.

Jan wstaje z kanapy i wyjmuje z komody długą spódnicę, damską koszulę i rajstopy. Helena siada na łóżku. Jan pomaga jej się ubrać. Spódnica jest lekko za duża, opiera się na chudych biodrach Heleny.

5. PLENER. PODWÓRKO. PORANEK

Helena bierze spod domu duże czerwone wiaderko. Idzie z nim w stronę furtki i próbuje ją otworzyć (furtka zamknięta jest na łańcuch i kłódkę). Po nieudanej próbie wraca w stronę domu.

6. PLENER. PODWÓRKO SĄSIADA. DZIEŃ

Dwójka młodych CHŁOPCÓW układa puste, drewniane skrzynki jedna na drugiej pod ogrodzeniem dzielącym ich podwórkę z podwórkiem Jana i Heleny. Wchodzą na skrzynki i stawiają na nich wiaderko z orzechami włoskimi.

CHŁOPIEC 1

Ty pierwszy!

CHŁOPIEC 2

Nie, ty pierwszy! To był twój
pomysł!

CHŁOPIEC 1

Jak trafisz do wiaderka, to masz
dziesięć punktów, a jak trafisz
w staruchę, to masz pięć punktów.

CHŁOPIEC 2

Do ilu gramy?

CHŁOPIEC 1

Aż nam się orzechy skończą.

Chłopcy na zmianę rzucają orzechami w kierunku Heleny. Po kilku nieudanych próbach jeden z chłopców trafia do wiaderka. Kobieta zatrzymuje się i wysypuje orzech z wiaderka. Kontynuuje spacer w stronę furtki. Chłopcy śmieją się i ukrywają za płotem.

7. PLENER/WNĘTRZE. PODWÓRKO/WARSZTAT. DZIEŃ

Jan pracuje w warsztacie. Helena chodzi po podwórku tam i z powrotem, od domu do furtki i od furtki do domu, z czerwonym wiaderkiem w ręku.

Jan wychodzi z warsztatu.

Przy płocie zatrzymuje się starsza sąsiadka.

SĄSIADKA

Panie Janku...

JAN

Słucham?

SĄSIADKA

A co ta pana głupia żona tak chodzi?

Jan wraca do warsztatu.

SĄSIADKA

Co się pan obraził?

ZIMA

8. WNĘTRZE. POKÓJ DZIENNY. WIECZÓR

Helena nieudolnie próbuje otworzyć drzwi wejściowe.

JAN

Hela, nie wyjdiesz z domu, bo jest za zimno. Chodź, usiądź tu koło mnie.

Helena nadal próbuje otworzyć drzwi.

Jan podchodzi do niej i spokojnie prowadzi ją w stronę kanapy. Wspólnie siadają.

JAN

(spokojnym głosem)

Powiedz mi, proszę, czy źle ci tu
ze mną? Źle o ciebie dbam?

Helena nie odpowiada, pusto patrzy w przestrzeń.

JAN

No odpowiedz. Czemu tak bardzo
chcesz wyjść, gdzie chcesz pójść?

Jan wstaje z kanapy, ubiera koszulę i czapkę.

JAN

Idę do kotłowni podrzucić
do pieca.

Jan wychodzi z domu.

9. WNETRZE. KOTŁOWNIA. WIECZÓR

Jan podrzuca do pieca trochę węgla. Zaczyna rąbać drewno.
Na dworze się ściemnia.

10. PLENER. PODWÓRKO. WIECZÓR

Jan wraca z kotłowni w kierunku domu. Drzwi do domu są
otwarte. Jan wbiega do domu. Heli nie ma. Jan wyciąga
z szuflady latarkę. Wybiega na podwórkę, nerwowo się rozgląda.
Wychodzi przez furtkę na wiejską drogę.

Szuka Heli po całej okolicy.

Zdenerwowany biegnie do domu, by zadzwonić po pomoc. Podczas
wykonywania telefonu światło reflektorów przebija się przez
okno. Jan wpatruje się w okno. Pod bramę podjeżdża samochód.
Jan wybiega z domu.

11. PLENER. PODWÓRKO. WIECZÓR

MŁODY MEŹCZYŻNA wychodzi z auta. Otwiera drzwi od strony
pasażera i pomaga wysiąść Helenie (Helena ubrana jest
w koszulę nocną i rajstopy).

MŁODY MĘŻCZYZNA

Panie Janku, żona się panu zgubiła.

Jan podbiega do Heleny. Zdejmuje swoją koszulę i okrywa Helenę.

MŁODY MĘŻCZYZNA

(w tle)

Właśnie wracałem z pracy. Żona szła w stronę Piekoszowa... Panie Janku, może podwieźć was do szpitala?

JAN

Bardzo panu dziękuję.

Jan odprowadza Helę do domu.

12. WNETRZE. SZPITAL. DZIEŃ

Jan siedzi przy łóżku Heleny. Kobieta ma zamknięte oczy, jest blada na twarzy.

13. WNETRZE. POKÓJ DZIENNY. WIECZÓR

Jan siedzi na kanapie. Łokcie opiera na kolanach, dłońmi przykrywa twarz. Po dłuższej chwili wstaje i wychodzi z domu. (Kamera zmierza w stronę okna ze sceny 10., przez okno widzimy Jana, który odchodzi.)



Leonardo da Vinci,
Testa di donna inclinata (1490)

DANTE ODNALEZIONY

MACIEJ FRANCISZCZAK

NA PODSTAWIE „BOSKIEJ KOMEDII” DANTEGO ALIGHIERI

PROLOG. CZĘŚĆ 1

(Pierwsza sekwencja scen
- brutalny montaż skojarzeniowy)

W tle głośna i rytmiczna muzyka heavy metalowa, np. Rammstein
- Stripped itp.

PLENER. GĘSTY I BARDZO ZACIENIONY LAS NAD JEZIOREM. PÓŻNY
WIECZÓR

PROTAGONISTA (35) - figura Dantejska - ubrany w czerwoną bluzę
z zarzuconym kapturem stoi na dryfującym po wodzie pniu.
Rozgląda się wkoło siebie. W jego oczach widać lęk przed
otaczającą go przestrzenią. Jest zagubiony.

Odwraca się i zaczyna iść w kierunku ostatnich promieni słońca
przebijających się przez mroczną gęstwinę.

PLENER. BARDZO RUCHLIWE ULICE W DUŻYM MIEŚCIE. ŚRODEK NOCY

Pesymistyczny obraz nocnego życia. Pędzące donikąd samochody.
Obrazy „złych” dzielnic. Półświatek. Błąkające się wśród
śmieci zdziczałe psy. Śpiący na kartonach bezdomni. Hulaszcze
zabawy młodych ludzi. Hektolitry alkoholu, tony potłuczonych
butelek, kolejne dawki narkotyków. Wszystko tonące w dymie
papierosów i zaduchu parnej nocy.

PLENER. CZARNE NIEBO BEZ JEDNEJ GWIAZDY, KSIEŻYC W PEŁNI

PRZEJŚCIE do sceny przecinania oka
z „Psa andaluzyjskiego” Luisa Buñuela.

PLENER. BALKON. NOC

Mężczyzna pali papierosa wpatrzony w księżyc.

DETAL: oko Protagonisty oślepięte gwałtowną strugą światła,
porusza się bezwolnie.

Mężczyzna podnosi brzytwę do oka siedzącej kobiety.

DETAL: J.W.

Mężczyzna przecina oko brzytwą.

Księżyc - przecięty na pół - cały we krwi.

Twarz Protagonisty zalewa się krwią. Broczy na jego bluzę, ale nie widać na niej śladów: to ten sam odcień czerwieni.

PLENER. PRZED WEJŚCIEM DO OBSKURNEGO KLUBU MUZYCZNEGO. PÓŹNY WIECZÓR. WSZYSTKO ZALANE POSOKĄ Z KRWAWEGO KSIĘŻYCA

Duża grupa ludzi gromadzi się przed koncertem. Wszyscy ubrani w skórzane kurtki i dżinsowe jackety z wieloma naszywkami zespołów. Ktoś pije piwo. Ktoś wciąga kreskę. Ktoś dostaje w mordę. Ochrona wyrzuca pijanego „klienta”. Rozpoczynają się przepychanki z ochroniarzami.

płynne PRZENIKANIE

WNĘTRZE. ŚRODEK KLUBU. CZERWONE, LASEROWE ŚWIATŁO SKIEROWANE NA SCENĘ

Na scenie głośno gra heavy metalowa kapela. Pod nią bardzo ostre pogo. Widownia tłoczy się w wielkim ścisku.

DETAL: piwo rozlewa się na wszystkie strony.

DETAL: twarze i nagie torsy zlane potem.

DETAL: rozkwaszony nos zbryzgany krwią.

Krew ponownie zgrywa się z czerwienią lasera.

PLENER. LASY, SAWANNY, JEZIORA, RZEKI

Pantera przyczajona na drzewie rzuca się na swoją ofiarę.

DETAL: kły pantery wbijają się w gardziel zwierzęcia.

Stado lwów dopada uciekającą antylopę.

DETAL: lwy rozszarpują podbrzusze antylopy.

Wilczyca goni zającą.

DETAL: resztki ścięgien i ogryzione kości.

(etc.)

PLENER. ŚRODEK LASU. CIEMNA NOC

Protagonista dyszy ciężko. Biegnie. Potyka się o gnijące zwłoki sarny i przewraca. Wycieńczony i zagubiony mdleje na truchle.

PROLOG. CZĘŚĆ 2

(Druga sekwencja scen
- oniryczny montaż symboliczny)

W tle nadal metalowy podkład. Przycicha jedynie na czas komentarza z off-u.

PLENER. ŚRODEK LASU. CIEMNA NOC

Profil Protagonisty pokrywają wypełzające ze zwłok zwierzęcia larwy i robactwo.

PROTAGONISTA

(z OFF-u)

Podstawowym celem artysty, nawet tego, który ucieka ciemną nocą, jest zaatakować widza turpizmem. Zgwałcić go brzydota, to najlepsze, co można zrobić. Szok i ohyda, oto moja strategia.

WNETRZE. PRZESTRONNY POKÓJ PEŁEN KSIAŻEK. DZIEŃ

Pokój zastawiony regałami, na których stoją setki książek. W samym środku obrotowy fotel. Obok niego bogato zastawiony barek.

Protagonista, ubrany w tę samą, czerwoną bluzę, ale już ze spuszczoneym kapturem, obraca się znużony w fotelu. Każdy obrót jest coraz szybszy.

PROTAGONISTA

(z OFF-u)

Postawa akinetyczna, wiraż wszechbytu, wszechistnienia, wszechtrwania. Niesłyszany apel niemego, głośny aplauz idioty. Poszanowanie wartości i wynaturzenia epoki. Niełaska wypaczeń. Pryzmat porażki.

PROTAGONISTA (KONTYNUACJA)

Perspektywa zapomnienia.
Nieistnienia...
Jednostka. Budulec. Podwalina
i kamień węgielny. Bezwładna
i szamotana idea wielkości.
Tyś Beatrycze - moje marzenie.
Moje zbawienie. Dziś tylko
we wspomnieniach. Samych
wspomnieniach, bo brak mi miejsca
w przyszłości. Samotność. Asceza.

PLENER. PLAC PRZED GOTYCKĄ KATEDRĄ. POŁUDNIE

W tle biją dzwony na Anioł Pański.
Z fasady katedry zlatują gargulce, z kolumn wysuwają się
maszkarony. Wszystkie pełzną w kierunku zamarłego w bezruchu
Protagonisty. Senne fantasmagorie.

Protagonista ucieka w kierunku pięknego portalu prowadzącego
do wnętrza świątyni.

WNĘTRZE. NAWA GŁÓWNA W KATEDRZE. POŁUDNIE

Świątynia skąpana jest w kojącym blasku. Cisza i wytchnienie.

PROTAGONISTA

(z OFF-u)

Przejście przez drzwi percepcji
prowadzi do oświecenia.
Do transgresji. Do odkupienia.

Uspokojony powraca na plac katedralny.

PLENER. PLAC PRZED GOTYCKĄ KATEDRĄ. KRWISTOCZERWONY ZMIERZCH

Przed katedrą trwa pogrom. Wszystkie okoliczne budynki stoja
w płomieniach. Gargulce i maszkarony mordują uciekających
w popłochu ludzi.

Oddział żandarmów, ubranych w czarne XVIII-wieczne mundury,
uformował się w pluton egzekucyjny, przed którym stoja setki
ludzi. Matki z dziećmi. Starcy. Inni żołnierze. Ludzie
wszystkich ras i w każdym wieku. Wszyscy opierają się o fasadę
katedry.

PIERWSZY ŻANDARM

(głośno wydaje komendy)

Load!!!

(reszta nabija muszkiety)

Aim!!!

(podnoszą szczerbinki do oczu
i celują w tłum)

PROTAGONISTA

(krzyczy na całe gardło, ale
coś nie pozwala mu wykrztusić
ani słowa)

Powstrzymajcie to szaleństwo!

PIERWSZY ŻANDARM

Fire!!!

Huk salwy przypomina huk najgroźniejszej burzy. Protagoniście pękają bębenki i zaczynają krwawić uszy. Tłum pod katedrą osuwa się na ziemię. Po placu płynie rzeka krwi.

Protagonista łapie się za serce. Pękło. Ale czy od kuli? Upada na stertę trupów. Z jego piersi wyrasta ogromna biała lilia, która poczyną poić się czerwoną posoką.

Koniec metalowego podkładu. Szum, nakładający się na siebie nieznośny i niezidentyfikowany szmer.

ZANIKANIE - koniec Prologu

AKT I

MOTTO na czarnym tle:

„Cóż będę czynił w tak straszliwym boju,
Wątły, niebacznym, rozdwojony w sobie”

(Mikołaj Sęp-Szarzyński, Sonet IV)

Zaczynają się wjeżdżające od dołu
napisy początkowe; w tle:

PLENER. TROPIKALNA DŻUNGLA I PANORAMY AZJATYCKICH MIAST. OBA
MIEJSCA W ŚWIETLE DNIA

UJĘCIA Z LOTU PTAKA: krajobrazy przeplatają się ze sobą.

Jako podkład energiczna, ale bardzo pogodna azjatycka muzyka
na instrumentach strunowych.

Spokojna i idylliczna aura tych miejsc zostaje przełamana.
Dżungla okazuje się być miejscem zrzutu napalmu i białego
fosforu w trakcie wojny w Wietnamie, a miasta to Hiroszima
i Nagasaki, na które po chwili spadają bomby atomowe.

TYTUŁ filmu wyświetla się
w kulminacyjnym momencie
nałożonych na siebie eksplozji.

Koniec napisów początkowych.

WNĘTRZE. PRZESTRONNY POKÓJ PEŁEN KSIAŻEK. ŚWIT

Łóżko oddzielone moskitierą od reszty pokoju-biblioteki.

Wyśniony wybuch wybrzmiewa jeszcze w pokoju Protagonisty.
Spod purpurowej atłasowej pościeli wychodzi naga
PROSTYTUTKA (28), zeskakuje z łóżka i potyka się lekko
o leżące na parkiecie kieliszki i butelki po winie. Podchodzi
do szklanego barku i wciąga z lustra ułożoną wcześniej kreskę.
Od razu nabiera sił i zaczyna rozglądać się po pokoju
w poszukiwaniu rozrzuconych wszędzie ubrań.

PROTAGONISTA

(zaspany i cały
przykryty kołdrą)

Już wychodzisz? Zostań
jeszcze chwilę.

PROSTYTUTKA

(z udawaną serdecznością)

Nie mogę, mój Książę. Ale nie
spozrzedźmy się, nim minie
nam ten tydzień.

Zapina czarny stanik i raz jeszcze podchodzi do lustra
z kokainą, tym razem by pomalować usta. Zakłada czarną
sukienkę wieczorową.

PROSTYTUTKA

(podchodzi do łóżka
i siada na jego krawędzi)

Mógłbyś?

(wskazuje suwak
na plecach)

PROTAGONISTA

(ziewając)

Eeeech...

(zapinając sukienkę całuje
lewą łopatkę kobiety)

PROSTYTUTKA

(odwraca się w kierunku
mężczyzny i całuje go w czoło)

Śpij dobrze, Słońce i Gwiazdy.

Na czole Protagonisty pozostaje ślad, krwawoczerwonej szminki.
Naznaczenie.

PROTAGONISTA

(odwracając się do kobiety
tyłem i ponownie przykrywając
się pościelą)

Nie zapomnij wziąć koperty.

Prostytutka biorąc szklane pantofle do ręki podchodzi do jednego z regałów. Z portretów zawieszonych na ścianie patrzą na nią: Marcel Proust, Rainer Maria Rilke, Pedro Calderon de la Barca, Wiliam Shakespeare i Stefan Zweig. Na jednej z półek stoi jeszcze jeden, dostojniejszy i majestatyczny niczym najświętsza ikona - Dante. Sięga za niego ręką i wyjmuje czerwoną kopertę.

PROSTYTUTKA

(zaglądając do środka koperty
- cicho pod nosem)

Znowu poskapiłeś, co?

PROSTYTUTKA

(odwracając wzrok w kierunku niewidzianej przez kamerę ściany)

Czego, kurwa, chcesz?
Jakoś żyć trzeba.

Wkłada kopertę do torebki i trzymając szpilki wychodzi z pokoju.

Po jej wyjściu kamera wykonuje powolny obrót o 180° i zatrzymuje się na ścianie, do której przed chwilą mówiła prostytutka - nad łóżkiem wisi olbrzymi i piękny obraz Chrystusa modlącego się w Ogrójcu.

CIECIE.

Dźwięk zamykanych drzwi.

WNĘTRZE. PRZESTRONNY POKÓJ PEŁEN KSIAŻEK. POŁUDNIE

Kamera obraca się kawałek dalej i zatrzymuje się na oknie skierowanym na wschód.

Do pokoju wlatuje wielka mewa i siada na wewnętrznym parapecie. Głośno skrzeczy i uderza dziobem o szybę. Budzi się Protagonista.

PROTAGONISTA

(wzdychając)

Ach...

Leżąc jeszcze w pościeli, robi mechanicznie znak Krzyża. Odkrywa się i zakłada skołtunioną czerwoną bluzę. Wstając potyka się o te same butelki i kieliszki, na które nastąpiła wcześniej kobieta. On jednak nie utrzymuje równowagi i przewraca się. Brzdęk upadających butelek płoszy wielkiego ptaka.

Mężczyzna wstaje, otrzepuje się i na gołe ciało zakłada czerwone spodnie dresowe. Z jednej z przewróconych butelek pociąga duży łyk.

Podchodzi do barku. Podobnie jak kobieta przegląda się w kokainie - wygląda fatalnie - po czym zażywa małą dawkę. Podchodząc do portretu Dantego sięga ręką po leżące przed nim różne tabletki. Łyka ich garść i zapija winem.

Wychodzi z pokoju.

WNĘTRZE. OSZKŁONE MODERNISTYCZNE ATRIUM. POŁUDNIE

Po wyjściu z pokoju Protagonista odkłada pustą butelką na jeden ze szklanych stolików kawowych.

Przechodzi do nowoczesnego aneksu kuchennego. Uruchamia ekspres ciśnieniowy. Na patelni zaczyna smażyć jajecznicę. W trakcie przygotowań włącza telewizor.

Z kawą i przygotowanym śniadaniem podchodzi bliżej ekranu. Siada na białej, skórzanej sofie i bezmyślnie przeskakuje z kanału na kanał. Przestrzeń mieszkania wypełniają ciągłe polityczne kłótnie, niekończące się sensacje programów informacyjnych i próżne opowiadki celebrytów.

Protagonista, mówiąc sam do siebie, komentuje każdą z prezentowanych wiadomości. Gdy dojada jajecznicę i gdy kończy już mu się kawa, podnosi się z kanapy, by zanieść naczynia z powrotem do kuchni.

Nagle, mewa, która obudziła go chwilę temu, rozbija się w locie o szklany, półokrągły, strop atrium i spada wzdłuż szyby. Protagonistę wypadają z ręki naczynia i tłuką się na marmurowej posadzce.

Oniemiały z powodu tej sceny, która uzmysłowiła mu kruchość życia, raz jeszcze opada na sofę. Program w telewizji zmienia się bez jego woli.

NA EKRANIE WIDAĆ ROZWINIĘCIE SCENY Z PROLOGU CZĘŚCI 2.

PLENER. PLAC PRZED GOTYCKĄ KATEDRĄ. KRWISTOCZERWONY ZMIERZCH

Lilia rozrasta się do niewyobrażalnych rozmiarów. Jej ogrom dystansuje od siebie wszystkie tragedie i rzezie dziejące się u jej podnóża. Biały kwiatostan przybiera niepodziewanie postać najpiękniejszej kobiety.

LILIA

(pięknym, majestatycznym
głosem kobiecym, który chwyta
za serce, kruszy skały i rusza
świat u podstaw, ale czuć
w jej tonie wielki żal
z powodu postępowania
Protagonisty)

O Ty zmarniały, zatracony, cieniu,
Którego imię trwa i pełne zguby
Trwać będzie, póki żywota stworzeniu,

LILIA (KONTYNUACJA)

Miły mi byłeś, a teraz nieluby.
Takieś przekory napotkał w swej drodze,
Na pustych progach, żeś nie wytrwał próby.

Wracasz i bładzisz; a lękam się srodze,
Słyszac, co Tobie zasądza się w Górze,
Czy Ci nie późno z pomocą przychodzę.

Więc z tymi słowy śpieszę do Cię, nuże!
Niechaj Cię zbawi ma pomoc i rada
Niech więcej już źle o Tobie nie wróżę.

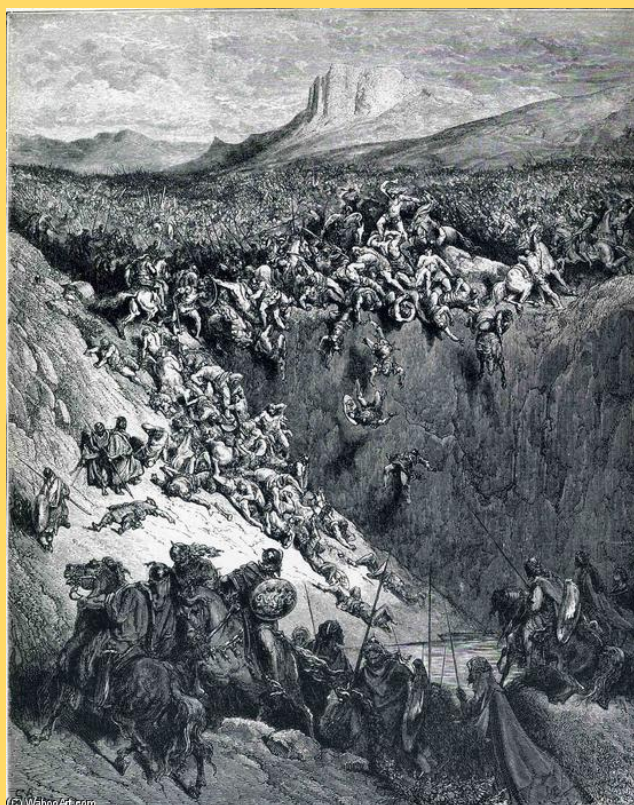
Jam Beatrycze - w Niebie ma osada.

NIE-MIEJSCE W OŚLEPIAJĄCYM ŚWIETLE

Profil Protagonisty skąpany jest teraz w falującym blasku.
Nie widać nic poza jego piękną twarzą. Zamiast nowoczesnego
czerwonego kaptura ma teraz na głowie Dantejski chaperon
ukoronowany wieńcem laurowym.

Wszelkie dźwięki pochłania przenikająca wszystko cisza.
Szum morza i krzyk mew w oddali.

KONIEC AKTU I



Gustave Doré, *Samson tue les Philistins avec une mâchoire d'âne* (1866)

JANEK, NIE OTWIERAJ TERAZ DRZWI

JAKUB WEDEŁ

WNĘTRZE. MAŁY DOMEK NA WSI. POKÓJ DZIECKA. POPOŁUDNIE

CAŁOŚĆ, DETALE

Leżące na podłodze gumowe/plastikowe zabawki zwierząt. Psa i wilka.

Po chwili za psa chwyta ręka dziecka i przenosi go bliżej wilka. Dziecko chwyta obie zabawki w dłonie i bawi się, machając nimi w powietrzu.

DALSZY KADR ZZA PLECÓW DZIECKA

JANEK (6) siedzi sam w pokoju na dywanie. Wokół niego rozrzucone są zabawki.

Po jego prawej, w kącie pokoju, stoi łóżko, a po lewej - meblościanka.

Przed nim jest wielkie okno, przez które wpadają promyki zachodzącego słońca.

Janek jest skupiony na zabawie psem i wilkiem.

Po chwili obraca się z zabawkami delikatnie w lewo, w stronę meblościanki, przy której znajdują się stojąca figurka gęsi i leżąca obok figurka sowy.

Janek bierze gęś do ręki i delikatnie wsuwa jej długą szyję do paszczy figurki wilka. Jest bardzo skupiony, aby nie dotknąć gęsią wnętrza wilka. Gdy szyja gęsi jest już cała w wilku, Janek potrząsa nim i udaje, że zabawki walczą. Robiąc to odpycha ręką figurkę psa.

Po chwili Janek szuka jedną ręką psa, ale nie może go znaleźć. Podnosi wzrok z podłogi i widzi, że pies leży pod małą kwadratową szafką w meblościance. Ta konkretna szafka jako jedyna w całej meblościance ma zasuwkę.

Janek wygląda na przestraszonego. Bierze figurkę wilka w dłoń i przesuwa się delikatnie po figurkę psa.

Gdy podchodzi bliżej, zauważa, że zasuwka nie jest zasunięta, a szafka skrzypiąc delikatnie uchyla się, jak gdyby z wnętrza otworzył ją podmuch wiatru.

Janek mimo zaniepokojenia z ciekawości otwiera szafkę i zagląda do środka.

Widzi całkowitą ciemność, jak gdyby szuflada nie miała końca. Nagle zauważa, że w mroku porusza się jakiś niewyraźny czarny kształt, przypominający grzbiet żuka.

Janek odskakuje od meblościanki, wypuszczając figurkę wilka z ręki

Za nim w drzwiach stoi TOMASZ (45), ojciec Janka. Jest ubrany w czarny wełniany golf i ciemnozielone ogrodniczki, z których wystają narzędzia. Ma czarne krótkie kręcone włosy oraz bujny niezadbany zarost. Wygląda na zmęczonego.

TOMASZ

Kolacja jest.

Janek patrzy na tatę zaniepokojony. Wymieniają się spojrzeniami. Tomasz zauważa otwartą szafkę.

TOMASZ

Mówiłem, żebyś tego nie otwierał.

(zamykając szufladę na zasuwkę, spokojnym głosem)

Chodź.

Tomasz bierze Janka pod ramię, razem wychodzą na korytarz. Będąc na korytarzu, Janek odwraca się i patrzy na niedomknięte drzwi do swojego pokoju, z którego pada światło zachodzącego słońca.

WNĘTRZE. MAŁY DOMEK NA WSI. POKÓJ GŁÓWNY. WIECZÓR

Cała rodzina siedzi przy okrągłym stole w centrum głównego pokoju. Po wyglądzie wnętrza można stwierdzić, że rodzina Janka jest dość uboga. W pokoju panuje półmrok, zapalone są tylko małe lampki w rogach.

Po stronie Janka siedzi DZIADEK (89), ubrany w szary golf, ma krótkie siwe włosy, z przyczyny wieku wydaje się zupełnie nieobecny.

Obok dziadka siedzi MARTA (45), matka Janka. Ma białą bluzkę.

Naprzeciwko całej trójki siedzi Tomasz.

Wszyscy wydają się dość markotni oprócz Tomasza, który łąpczywie je kolację.

TOMASZ

(do Janka)

Wyspałeś się dziś?

Zanim Janek zbierze się w sobie, żeby odpowiedzieć,
wtrąca się Marta.

MARTA

Jest dwudziesta pierwsza.
A ty pytasz, czy się wyspał.

TOMASZ

Nie było mnie w domu od rana.

MARTA

I pytasz się, czy się wyspał.

Tomasz patrzy z irytacją na Martę, po czym odwraca głowę do
Janka.

TOMASZ

Hmm?

JANEK

Bałem się znowu.

Tomasz i Marta wymieniają się spojrzeniami.

TOMASZ

Janek, ile razy mam ci powtarzać,
że nie masz otwierać drzwi w nocy.

JANEK

Zamknąłem.

TOMASZ

I nadal to słyszałeś?

MARTA

Jak mógł nie słyszeć?

TOMASZ

Marta!

MARTA

Co? Dziwisz mu się?

JANEK

O co chodzi mamie?

TOMASZ

Janek, niemożliwe,
że miałeś zamknięte drzwi.

JANEK

Miałem, tato, miałem.

MARTA

Miał. Widziałam.

TOMASZ

Musiało ci się przyśnić. Jedz.

Marta odkłada widelec, zakrywa oczy rękoma

TOMASZ

A tobie co?

MARTA

Też chciałabym, żeby mi się to
przyśniło.

TOMASZ

Ach. No tak! Znowu wszystko
o tobie! Człowiek haruje cały
dzień jak wół przy tej pierdolonej
wycinie, a nawet w domu nie ma
spokoju!

Janek kuli głowę, prawie nie reaguje (to nie pierwszy raz, gdy
tata krzyczy na mamę).

MARTA

Ty siebie słyszysz?
Nie może tak być.

TOMASZ

Gdybyś przepracowała chociaż
jeden dzień, to byś rozumiała.

MARTA

Tomek, kiedyś tak nie było.
Ja rozumiem, że praca, ale ja
potrzebuję ciebie w domu.
Janek, pamiętasz, jak tata...

TOMASZ

Teraz jest lepiej.

Marta zaczyna płakać, jej głos staje się bardziej agresywny.
Janek przygląda się wszystkiemu; zaczyna wydawać
się zagubiony.

MARTA

Skoro jest lepiej, to czemu
Janek słyszy te dźwięki?!

Zapada dłuższa cisza. Nikt nic nie je.

TOMASZ

Może masz rację.
Nie będzie tych dźwięków.

Marta wydaje zamieszana. Wyciąga papierosa, zapala go
zapałkami leżącymi na stole.

JANEK

To wy wie... wiecie,
co to w końcu jest?

Marta patrzy na Tomasza, podnosi brwi, jakby chciała rzec:
„No powiedz mu”.

TOMASZ

My wiemy, ale ty raczej
nie chcesz.

Ojciec patrzy na Janka w bardzo ponury sposób. Janek czuje się
niespokojny.

JANEK

Ale mówiłeś, że już ich w końcu
nie będzie. Co to było wtedy?
Dlaczego ich już nie będzie?

MARTA

Janek, to nieważne.
Już nie denerwujmy taty.

JANEK

Ale ja, ja chcę...

TOMASZ

No dobra. To ci powiem. Ale musisz
mi obiecać, że nikomu,
ani w szkole, ani na polu nie
powiesz. Dobrze, Janek?

JANEK

Dlaczego?

TOMASZ

Mamie będzie wtedy przykro.
To trochę jej wina wszystko
i woli żeby, tego nie rozpowiadać.

MARTA

Tomasz!

TOMASZ

Cicho! Janek, pamiętasz,
jak kazaliśmy ci nie wchodzić
do spiżarni?

JANEK

Tak?

TOMASZ

Chodź, pokażę ci, co tam jest.
To stamtąd pochodzą dźwięki.

Obaj wstają od stołu.

MARTA

Janek, choć tu jeszcze na chwilę.

Janek podbiega do mamy, ojciec stoi oddalony.

MARTA

(szeptem)

Janek, nie otwieraj w nocy drzwi.

JANEK

Ale tata mówił...

MARTA

(szeptem)

Nie otwieraj w nocy drzwi,
wcześnie rano wyjeżdżamy.

TOMASZ

Janek?!

Janek podbiega do ojca, odwracając głowę co chwilę do matki.
Ta zbiera szybko naczynia i mówi coś na ucho dziadkowi, który
przez całą rozmowę nie reagował i powoli jadł kolację.

WNĘTRZE. DOM NA WSI. SPIŻARNIA. NOC

Tomasz i Janek stoją przed wielkimi drewnianymi drzwiami do
spiżarni.

Janek trzyma ojca za nogawkę.

Tomasz otwiera drzwi do spiżarni. Zapala światło, środek
rozświetla pojedyncza wisząca żarówka.

W spiżarni stoi mnóstwo butelek po alkoholu oraz bimbrownica.

Tomasz wskazuje na małą dziurę w niewielkiej drewnianej dobudówce w spiżarni.

TOMASZ

Widzisz to?

JANEK

Tak.

TOMASZ

Czasami w nocy, jak tata tu przychodzi, to przez tę dziurę przychodzi z lasu diabeł.

JANEK

(jąkając się)

Diabeł? Prawdziwy?

TOMASZ

Diabły w lasach mieszkają, więc po wycince szukają nowego domu. Czasem tu przychodzi.

JANEK

To on wydaje te dźwięki?

TOMASZ

Tylko kiedy pozwolę mu wejść.

JANEK

Ale już nie przyjdzie?

TOMASZ

Nie będzie już dźwięków.

WNĘTRZE. MAŁY DOMEK NA WSI. POKÓJ DZIECKA. NOC

Janek próbuje spać, patrzy co chwilę na drzwi, czy na pewno są zamknięte, i na okno, z którego widać kąć dobudówki spiżarni.

Koło jego łóżka stoją dwie spakowane walizki podpisane „Janek” i „Marta”.

Nagle Janek zwraca też uwagę na szafkę z zasuwką. Zauważa, że figurka pieska nadal leży koło niej.

Janek podbiega szybko, żeby zabrać figurkę, która okazuje się być mokra. Gdy próbuje ją podnieść, słyszy podejrzaną dźwięk dochodzący z szuflady. Dźwięk brzmi jak kopanie.

Janek wstaje gwałtownie. Kątem oka zauważa przez okno czarny, wielki, owalny kształt z robaczymi odnóżami. Całość wygląda jak fragment kleszcza wielkości dużego psa. Kleszcz momentalnie znika z za dobudówką spiżarni.

Janek jest w panice, ale zachowuje się cicho.

Nagle rozlega się jęczący męski głos oraz odgłosy rozbijania szkła i przewracających się mebli. Dobiegają z korytarza.

Janek podbiega do drzwi i nadstawia ucho. Po chwili słyszy, jak ktoś przewraca się pod jego drzwiami. Próbuje wyjrzeć przez dziurkę od klucza.

Widzi Tomasza stojącego w korytarzu, trzymającego w jednej ręce butelkę, a w drugiej tłuczek. Za nim pali się światło, przez co cień padający na sufit przypomina kleszcza.

Janek szybko kuli się pod drzwiami. Słyszy cichy szept.

MARTA

Janek, nie otwieraj teraz drzwi.

Janek, słysząc głos mamy, biegnie po walizkę. Otwiera okno i wyskakuje. Biegnie przed siebie w stronę pola. Ogląda się za siebie, i widzi przez okno, że drzwi do jego pokoju są otwarte.

Koniec



Odilon Redon, *L'araignée souriante* (1881)

LATO

RÓŻA PIOTROWSKA

PLENER. NIEWIELKA DZIAŁKA NA TERENIE OGRÓDKÓW DZIAŁKOWYCH.
BIAŁY DOMEK Z GANKIEM. LATO. POPOŁUDNIE / 2003 R.

Klasyczny ogródek działkowy, środek lata. Na działce kwitnie mnóstwo kwiatów, niektóre krzaki już owocują, na środku trawnika stoi uruchomiony zraszacz. Na ganku domku stoi stół, na nim znajdują się talerze z resztkami po obiedzie, kilka kubków i durszlak do połowy wypełniony truskawkami. Przy stole siedzi rodzina: MAMA (35), TATA (37) oraz dwójka rodzeństwa, ZUZIA (6) i ANTOŚ (4). Mama dopija herbatę, Zuzia i Antoś siedzą niespokojnie na swoich miejscach i podjadają truskawki. Tata wstaje i zaczyna zbierać naczynia.

MAMA

(przełykając herbatę)

Mhm, daj, ja to zrobię.

TATA

Nie, nie, siedź. Spokojnie.

Mama uśmiecha się. Pije dalej herbatę. Tata chowa się w domku. Dzieci zaczynają się wygłupiać i chichotać, po czym wstają i zaczynają ganiać się wokół stołu.

MAMA

Dzieciaki, uspokójcie się!

Zuzia i Antoś nie zwracają na to uwagi, biegają dalej i głośno się śmieją.

MAMA

Dzieci, proszę was! Zuzia!

Zuzia zatrzymuje się przy Mamie, Antoś zaraz za nią.

ZUZIA

Mamuś, mamuś, pójdźmy
na plac zabaw!

ANTOŚ

(podskakując z radości)

Taaaaaak!

Mama kręci głową i dalej popija herbatę.

ZUZIA

No proszę, proooooszę!

MAMA

Zuziu, nie. Już raz dziś
byliście, wystarczy.

Zuzia z Antosiem robią smutne miny.

ZUZIA

Proooooszę, tylko na chwilkę.

(zwracając się do Antosia)

Prawda?

ANTOŚ

(znów podskakując)

Tak! Tak!

Mama chwilę milczy.

MAMA

(uśmiechając się)

No dobrze.

Zuzia i Antoś momentalnie zaczynają krzyczeć
i podskakiwać z radości.

MAMA

Ale tylko na chwilkę!

Odpowiedź mamy jest zagłuszona przez radosne krzyki dzieci,
które znów zaczynają ganiać się po ganku.

PRZEJŚCIE DO:

PLENER. BITA DROGA POMIĘDZY OGRÓDKAMI DZIAŁKOWYMI

Mama z Zuzią i Antkiem maszerują po piaszczystej ścieżce, mijają kolejne działki. Na większości z nich znajdują się właściciele, niektórzy odpoczywają na leżakach, inni siedzą wspólnie przy stole czy przy grillu. Idą dalej. Na następnej działce, tuż przy płocie, stoi KAZIK (83), starszy pan, ubrany w lniane spodenki i przepoconą koszulę oraz słomiany kapelusik. Podlewa przywiedle od słońca kwiaty. Podchodzą do niego.

MAMA

Dzień dobry, panie Kaziku!

KAZIK

(ściągając kapelusik z głowy)

Dzień dobry, dzień dobry!

MAMA

(do dzieci, półszepcem)

No, dzieci, przywitajcie się.

Dzieci odpowiadają jednocześnie.

ZUZIA

(zawstydzona)

Dzień dobry.

ANTOŚ

(wesoło)

Dzień dobry!

Kazik uśmiecha się do nich, zakłada z powrotem kapelusik na głowę i wraca do podlewania. Mama z dziećmi mijają Kazika i idą dalej. Po chwili dochodzą już do głównej bramy, która wychodzi na jezdnię. Mama wyjmuje klucz z kieszeni spodenek, otwiera furtkę, przepuszcza Zuzię i Antosia i sama wychodzi. Zamyka furtkę. Idą kawałek wzdłuż drogi, po czym docierają do kolejnej furtki, prowadzącej na plac zabaw. Dzieci przebiegają przez nią i biegną w kierunku zjeżdżalni.

PLENER. PLAC ZABAW NA TERENIE OGRÓDKÓW DZIAŁKOWYCH.
PÓŹNE POPOŁUDNIE

Na placu zabaw znajduje się niewiele osób. Jest dość późna pora, a na niebie zaczynają zbierać się chmury. Plac zabaw jest kolorowy i prosty, a lata świetności ma już zdecydowanie za sobą. Jest kilka huśtawek, drabinki, piaskownica pełna porozrzucanych zabawek, zjeżdżalnia i karuzela. Wokół znajduje się kilka drewnianych ławek pomalowanych zieloną farbą, która od słońca i upływu czasu zaczęła się kruszyć i ukazywać poprzednie kolory. Na jednej z nich siedzi KOBIEŃ (40) z książką. Co jakiś czas zerka na swojego SYNA (11), który bawi się nieopodal w piaskownicy. Zuzia i Antoś bawią się na zjeżdżalni, po czym biegną na huśtawki. Bawią się tam chwilę, następnie biegną dalej i wsiadają na karuzelę. Mama pomaga wsiąść Antosiowi na krzeselko, stoi tuż obok i co chwila popycha karuzelę, żeby nabrała prędkości. Zabawa trwa jeszcze chwilę, słychać jedynie chichot dzieci i przejeżdżające co jakiś czas samochody. Jaskółki zaczynają przelatywać nad trawnikiem, wydając charakterystyczne, piskliwe dźwięki. Po chwili zrywa się mocniejszy wiatr, chmury szybko przykrywają całe niebo, zaczyna kropić. Kobieta ze swoim Synem prędko opuszczają plac zabaw. Mama zatrzymuje karuzelę i pomaga Antosiowi wygramolić się z siedzonka. Zuzia nadal pozostaje na swoim miejscu.

MAMA

Zuziu, złaż prędko z karuzeli.

Zuzia milczy i tylko kręci głową.

MAMA

Zuziu, no szybko,
bo zmokniemy! Chodź!

Mama bierze Antosia za rękę i zaczyna iść w kierunku drugiego wyjścia z placu. Odwraca głowę i krzyczy.

MAMA

Zuzia!

ZUZIA

Nie chcę! Chcę jeszcze zostać!

Zuzia uparcie pozostaje na miejscu, krzyżuje ręce w geście buntu i wierzga nogami. Mama zatrzymuje się. Odwraca się w stronę Zuzi.

MAMA

Córciu, no co ty?! Zaraz zaczniesz padać! Nie wygłupiaj się, chodź!

ZUZIA

Nie!

MAMA

Chodź tu natychmiast!

Zuzia ani drgnie.

MAMA

Nie będę się powtarzać!
Jak zaraz do nas nie przyjdiesz,
to idziemy. Chcesz tu zostać sama?

Zuzia milczy.

MAMA

Dobrze! To my idziemy.
A ty tu sobie moknij!

Mama z Antosiem idą już żwawym krokiem w kierunku drugiego wyjścia. Zuzia, z założonymi rękami, nadal siedzi na karuzeli. Antoś co jakiś czas odwraca się w stronę Zuzi. Zaczyna coraz mocniej padać. Mama z Antosiem przechodzą przez furtkę i wychodzą na ścieżkę prowadzącą na sąsiednie działki. Za chwilę ich już nie widać. Zuzia siedzi jeszcze chwilę na karuzeli. Zaczyna już bardzo mocno padać, w końcu schodzi z karuzeli i biegnie w kierunku, gdzie wcześniej była Mama z Antosiem. Przechodzi przez furtkę i wbiega na ścieżkę, która kilka metrów dalej się rozwidla.

PLENER. BITA DROGA POMIĘDZY OGRÓDKAMI DZIAŁKOWYMI 2

Na ścieżce nikogo nie ma. Zuzia staje, nerwowo się rozgląda, na jej twarzy widoczny jest niepokój, ma lekko zmarszczone brwi, oczy zaczynają się jej szklić. Pada już tak mocno, że Zuzia jest po chwili cała mokra, włosy przylepiają się do jej twarzy, mokre ubrania przylegają do ciała. Zuzia zaczyna szybciej oddychać, po czym gwałtownie się odwraca i zaczyna biec z powrotem przez plac zabaw, w kierunku pierwszej furtki, którą weszli z Mamą na plac. Zuzia wybiega na drogę i dobiega do bramy.

PLENER. BRAMA WJAZDOWA DO OGRÓDKÓW DZIAŁKOWYCH

Brama jest zamknięta. Zuzia kurczowo chwyta za metalowe pręty bramy i trochę nią szarpie, jakby liczyła, że może się otworzy. Zaczyna szlochać i z trudem łapie oddech. Nagle zauważa światła na ścieżce, widzi zbliżający się samochód, stare czerwone Cinquecento, którego wycieraczki działają bardzo szybko. Auto podjeżdża do bramy, staje. Zuzia cofa się lekko.

CIECIE DO:

PLENER. PLAC ZABAW NA TERENIE OGRÓDKÓW DZIAŁKOWYCH.
PÓŹNE POPOŁUDNIE

MAMA

...nie będę się powtarzać!
Jak zaraz do nas nie przyjdiesz,
to idziemy. Chcesz tu zostać sama?

Zuzia milczy.

MAMA

Dobrze! To my idziemy.
A ty tu sobie moknij!

Mama łapie Antosia za rękę i kieruje się żwawym krokiem do wyjścia. Nie spogląda już na Zuzię. Przechodzą przez furtkę i wychodzą na piaszczystą ścieżkę.

PLENER. BITA DROGA POMIĘDZY OGRÓDKAMI DZIAŁKOWYMI 2

Idą żwawym krokiem i za chwilę skręcają na rozwidleniu w prawo.

MAMA

(do siebie)

No co za uparciuch, no...

(do Antosia)

Nie zimno ci, Anteczku?

ANTOŚ

Nie-e.

MAMA

Na pewno?

ANTOŚ

Mhm.

Antoś kiwa głową. Zaczyna już mocno padać. Mama patrzy na niebo, potem na Antosia, i delikatnie odwraca głowę, patrząc na rozwidlenie dróg i wyczekując pojawienia się Zuzi. Ścieżka jest pusta. Mama ponownie spogląda na niebo, zatrzymuje się i lekko wzdycha. Zwraca się do Antosia.

MAMA

No dobrze, chodź.
Wracamy po Zuzię, co?

ANTOŚ

Aha!

Zawracają i idą w stronę rozwidlenia. Na skrzyżowaniu skręcają w lewo, w kierunku placu zabaw. Zaczyna lać, robi się coraz ciemniej. Mama przyspiesza kroku, przechodzi z Antosiem przez furtkę.

PLENER. PLAC ZABAW NA TERENIE OGRÓDKÓW DZIAŁKOWYCH

Przez deszcz i porę dnia widoczność jest słaba. Mama rozgląda się po placu, Antoś stoi blisko niej, spoglądają na karuzelę. Nikogo nie ma.

ANTOŚ

Gdzie jest Zuzia?

MAMA

Pewnie bawi się z nami
w chowanego, wiesz?
Zawołaj ją, to na pewno
do nas wyjdzie.

ANTOŚ

Zuuuziaaaa!

Cisza.

MAMA

Zuzia!

Nikt nie odpowiada. Słysząc tylko deszcz.

MAMA

Zuzia!!!

Mama łapie mocniej za rękę Antosia. Zaczyna energicznie chodzić po placu, rozglądać się na wszystkie strony i nawoływać razem z Antosiem.

MAMA

Zuzia! Zuuuuziaaaa!!!

ANTOŚ

Zuuziaa! Zuuuuziaaa!!

Nagle na asfaltowej drodze obok przejeżdża czerwone auto, Mama zerka gwałtownie w jego stronę, na twarzy widać niepokój, jej oddech przyspiesza. Śledzi wzrokiem wóz, póki ten nie zniknie im z pola widzenia.

MAMA

(energicznie)

Chodź!

Zwraca się do Antosia i bierze go na ręce. Zaczyna iść szybkim krokiem w kierunku pierwszego wyjścia z placu.

CIECIE DO:

PLENER. BRAMA WJAZDOWA DO OGRÓDKÓW DZIAŁKOWYCH

Z samochodu wysiada Kazik. Podchodzi szybko do bramy, otwiera ją i wita się, trochę ze zdziwieniem, z Zuzią.

KAZIK

Dzień dobry, Zu...

Zuzia wykorzystuje okazję, przeciska się szybko przez bramę i zaczyna dalej biec, nie odpowiadając na powitanie. Kazik chwilę patrzy za Zuzią, po czym wsiada do samochodu, żeby wyjechać przez bramę.

PLENER. BITA DROGA POMIĘDZY OGRÓDKAMI DZIAŁKOWYMI

Zuzia dalej biegnie, mija kolejne działki, cała jest przemoczona i biegnąc opryskuje się błotem, które zdążyło powstać na bitej drodze. Jej płacz jest już histeryczny, ledwie łapie oddech. Biegnie bardzo szybko, patrzy tylko przed siebie, co jakiś czas przecierając sobie twarz z deszczu. Nagle potyka się o leżący kamień, upada na ziemię, chroniąc się dłońmi. Podnosi się jednak żwawo, patrzy szybko na swoje otarte dłonie i zaczyna biec dalej. Widać też, że ma otarte kolana, ale nie zwraca na nie uwagi. W końcu zwalnia, dobiega do działki z białym domkiem. Wchodzi na działkę.

PLENER. NIEWIELKA DZIAŁKA. BIAŁY DOMEK Z GANKIEM. WIECZÓR

Na ganku stoi Tata. Jedną ręką nerwowo skubie sobie ucho, widać po jego wyrazie twarzy, że jest trochę zniecierpliwiony. Zuzia momentalnie wbiega na ganek i wtula się z płaczem w Tatę.

TATA

Heeeej, co się stało Zuzanko?
No już, już...

Tata gładzi Zuzię po mokrych włosach. Zuzia jeszcze chwilę płacze, ale jej oddech powoli się uspokaja, cały czas jest wtulona w Tatę.

TATA

Co się stało? Gdzie jest
mama z Antosiem?

Zuzia na te słowa znów zaczyna mocniej szlochać. Tata „odkleja” od siebie zmoknięte ciało Zuzi i, trzymając ją za nadgarstki, kuca przed nią i łapie za dłonie. Zauważa zdartą skórę, po czym spogląda na Zuzię.

TATA

Zuzanko, popatrz na mnie.

Zuzia wciąż płacze.

TATA

Hej, no już, już...

Tata puszcza jedną dłoń, ręką podnosi brodę Zuzi i unosi jej twarz, wyciera delikatnie łzy spod oczu. Dziewczynka spogląda na Tatę swoimi wielkimi, zaczerwienionymi od płaczu oczami, powoli uspokaja się, raz co raz pociąga tylko nosem.

TATA

Chodź, przemyjemy ci
ręce i kolana, co?

Zuzia kiwa głową. Tata wstaje, trzymając wciąż Zuzię za rękę i wchodzi razem do domku.

CIECIE DO:

PLENER. PLAC ZABAW NA TERENIE OGRÓDKÓW DZIAŁKOWYCH

Mama, z Antosiem na rękach, idzie w kierunku wyjścia z placu.

ANTOŚ

(zatroskanym głosem)

Mamuuuuuś, a czemu Zuzia
się przed nami chowa?

Mama chwilę milczy, po czym odpowiada pewnym, spokojnym głosem.

MAMA

Nie chowa się przed nami, tylko
przed deszczem, wiesz? Pewnie
wróciła na działkę do taty
i teraz na nas czekają,
dlatego musimy wracać.

Mama mówi to ze spokojem, chociaż na jej twarzy wciąż widać niepokój, czy nawet strach. Idąc ciągle rozgląda się na wszystkie strony. Dociera z Antosiem do wyjścia, wychodzi na drogę i dochodzi do bramy. Mama odstawia Antosia na ziemię i wyciąga z kieszeni spodni klucze. Otwiera bramę, przechodzi z Antosiem i zamyka ją w pośpiechu.

MAMA

Chodź, pobiegniemy!

Mama łapie Antosia za rękę i zaczynają biec, mijają kolejne, opustoszałe już działki, są już całkiem przemoknięci, brudzą się błotem, które powstało na ścieżce. Mama biegnąc rozgląda się wciąż na boki, od biegu ledwo łapie oddech. Antoś dzielnie biegnie razem z Mamą, widać, że jest zziębnięty, ma dosyć bladą twarz, całą mokrą od deszczu, od zimna zgrzytają mu zęby. Oboje milczą. W końcu dobiegają do działki z białym domkiem, zatrzymują się przy furtce. Mama łapie za klamkę, w tym samym momencie z domku wybiega Tata.

PLENER. NIEWIELKA DZIAŁKA NA TERENIE OGRÓDKÓW DZIAŁKOWYCH.
BIAŁY DOMEK Z GANKIEM. WIECZÓR

ANTOŚ

Tataaaaa!

Antoś puszcza rękę Mamy i biegnie w stronę Taty. Ten łapie go w ramiona i mocno przytula. Mama podchodzi i zerka z nadzieją na Tatę, próbuje złapać oddech.

TATA

Jest w domu, spokojnie.
Nic się nie stało.

Mama oddycha z ulgą, uspokaja się, ale widać, że po jej policzkach zaczynają płynąć pojedyncze łzy. Tata obejmuje ją jednym ramieniem, drugim wciąż trzymając Antosia. Deszcz powoli zaczyna ustawać.

TATA

Chodźmy do środka,

(czochojąc Antosia
po włosach)

trzeba was porządnie wysuszyć!

Antoś chichocze, Mama uśmiecha się pod nosem i ociera twarz z łez. Tata gładzi ją po plecach i wszyscy chowają się w domku.

PRZEJŚCIE DO:

WNĘTRZE. DOMEK DZIAŁKOWY. NIEWIELKI SALON. PÓŹNY WIECZÓR

W salonie jest dosyć ciemno, ale wewnątrz ociepla światło lampy sufitowej i migający telewizor, w którym leci wieczorynka. Ściany są pokryte boazerią, które zdobią miejscami kolorowe, kwieciste talerze z fajansu. W rogu stoi spora, drewniana szafa, obok wersalka przykryta kocem. Po drugiej stronie stoi kanapa, na której siedzi cała rodzina. Wszyscy, przytuleni do siebie, wpatrują się w telewizor i co jakiś czas wybuchają śmiechem.

KONIEC



Auguste Renoir, *Près du lac*, (ca. 1880)

LUCKY

BEATA BUDZKOWSKA

SCENA 1

ROK 2020. BEDFORD HILLS CEMETERY. POPOŁUDNIE

Szeroka alejka cmentarna, z boku - kran z dostępem do wody. JOHN (70) ubrany niechlujnie, w stary płaszcz i buty, nieogolony, nalewa wody do konewki. Woda leci bardzo powoli. Do kranu podchodzi HENRY (60), elegancko ubrany, w długim wełnianym płaszczu. W rękę trzyma pojemnik na wodę. Chwilę czeka cierpliwie, po czym zaczyna się denerwować. Rozgląda się, patrzy na Johna, wzdycha niecierpliwie. Po dłuższej chwili John odstawia na ziemię konewkę, powoli zakręca kurek i podnosi konewkę. Henry energicznie podchodzi do kranu, podstawił pojemnik i maksymalnie odkręca kurek z wodą. Woda silnym strumieniem uderza z kranu ochlapując dość mocno Henry'ego.

HENRY

(poirytowany)

Cholera jasna!

Henry przykręca kurek i otrzepuje z wody mokry płaszcz. Spogląda na mijającego go powoli Johna, który bardzo wyraźnie utyka, ich spojrzenia spotykają się przez chwilę. Henry nalewa wodę do pojemnika, po czym szybko odchodzi, mijając utykającego Johna. Henry odchodząc nadal otrzepuje mokry płaszcz, nie zauważa, że z kieszeni wypada mu portfel.

SCENA 2

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ. JEDNA Z BOCZNYCH ULICZEK BEDFORD

Silna ulewa. Poboczem drogi jedzie rowerzysta na starym zielonym rowerze, ma słabo widoczne światła. Za nim środkiem drogi nadjeżdża sportowy samochód.

Wnętrze samochodu. Henry prowadzi rozmowę telefoniczną.

HENRY

(dość głośno)

Mówiłem pani, że nie słychać zbyt dobrze, mam tu słaby zasięg!

Z głośnika dochodzi niewyraźny, przerywany głos kobiety.

HENRY

(bardzo głośno)

Tak, nazwisko było Lucky!
Nie, nie wiem, czy je zmienił.
Chcę tylko wiedzieć,
czy został do końca, czy nie.

Henry w ostatniej chwili zauważa rowerzystę, szybko przekręca kierownicę, aby go wyminąć. Z dużą prędkością wjeżdża w wielką kałużę silnie ochlapując rowerzystę i sprawiając, że ten spada z roweru, po czym jego auto wpada w poślizg i z głośnym piskiem hamulców łąduje w przydrożnym rowie razem z rowerzystą.

SCENA 3

ROK 1983. PRZEDMIEŚCIA BEDFORD. PROMIENNY LETNI PORANEK

Elegancki salon samochodowy na przedmieściach. John (33) ubrany w firmowy strój myje stojący na zewnątrz nowy samochód. Pod salon podjeżdża elegancka limuzyna, z której wysiada zamożne małżeństwo w wieku około 50 lat. Razem z nimi z samochodu wysiada Henry (23). Z salonu wychodzi PRACOWNIK SALONU, który wita klientów.

PRACOWNIK SALONU

(radosnym, trochę sztucznym tonem)

Dzień dobry, witamy bardzo serdecznie! Auto już prawie gotowe.

Pokazuje na myjącego samochód Johna. Podaje rękę na przywitanie przybyłym gościom.

PRACOWNIK SALONU

Zapraszam do środka, John wypucuje samochód, a my załatwimy formalności. Samochód będzie czyściutki jak nigdy! Prawda, Johnny?

John na potwierdzenie tych słów kiwa głową obficie polewając samochód wodą. Pracownik Salonu zwraca się do Henry'ego i puszcza do niego oko.

PRACOWNIK SALONU

Wszystkie dokumenty są już przygotowane, brakuje tylko kilku podpisów. Zwłaszcza twojego, młody człowieku! W takim wieku, takie auto... No, no, no, musiałeś sobie nieźle zasłużyć.

OJCIEC

Powiem panu, dostać się na taką prestiżową uczelnię... No naprawdę, nie ma co tu dużo mówić, nie mieliśmy z żoną żadnych wątpliwości. Tym bardziej, że syn będzie teraz mieszkał daleko, musi mieć dobry samochód, żeby starych rodziców często odwiedzać.

Wszyscy wchodzi do salonu.

PRZEJŚCIE

TO SAMO MIEJSCE. GODZINA POPOŁUDNIOWA

John i Pracownik Salonu stoją przed salonem samochodowym. John czyści nowy zielony rower.

JOHN

To ja zmykam. Zrobiłem już wszystko. Czy coś jeszcze trzeba?

PRACOWNIK SALONU

Na dziś wystarczy, możesz jechać.
Tylko bądź jutro piętnaście minut
wcześniej, tak jak się
umawialiśmy, bo trzeba posprzątać
konferencyjną.

JOHN

(wsiadając na rower)

Jasne, będę szybciej.

PRACOWNIK SALONU

A ty, kiedy pomyślisz
o samochodzie? Co chłopie?
Nigdy dziewczyny nie znajdziesz
jeżdżąc rowerem.

JOHN

Przecież dopiero co go kupiłem!

(delikatnie gładzi
kierownicę roweru)

Na samochód może kiedyś przyjdzie
czas. Nie wszyscy mają tyle
szczęścia w życiu co ten młody,
który był tu rano.

PRACOWNIK SALONU

Co racja, to racja... Moi rodzice
to mi drzwi pokazali, jak dowód
do domu przyniosłem.

JOHN

(pod nosem)

Moi nie.

PRACOWNIK SALONU

(do odjeżdżającego Johna)

Na studia idź! Bo do końca życia
będziesz rowerem jeździł.

JOHN

(opryskliwie)

Jak mi będziesz czesne płacił,
to pójdę!

Odjeżdża na rowerze.

SCENA 4

ROK 1964. PRZEDMIEŚCIA BEDFORD. PROMIENNY LETNI PORANEK

Duży zaniedbany budynek, otoczony drzewami. Do budynku prowadzi szeroki trakt. Traktem, w stronę bramy wjazdowej zmierza elegancka limuzyna. Samochód przejeżdża przez szeroką bramę, na której widnieje duża tablica z napisem „CHILD CARE HOME”.

Podjeżdżając w kierunku wejścia do budynku, za bramą, auto mija grupkę dzieci bawiących się na trawniku w pobliżu pompy wodnej. Dzieciaki na widok samochodu zatrzymują się i patrzą na podjeżdżający pod wejście do budynku pojazd. Widzą, jak z budynku wychodzi SIOSTRA PRZEŁOŻONA i wita się z nowo przybyłymi ludźmi, pokazując po chwili palcem w kierunku dzieci stojących na dworze. Przybyli goście wraz z Siostrą Przełożoną patrzą chwilę w kierunku dzieci, po czym wchodzi do budynku.

W tym momencie John (14) z krzykiem pompuje wodę z pompy stojącej na trawniku, ochlapując stojącego blisko Henry'ego (4). Henry zupełnie zaskoczony i przemoczony, ucieka i zaczyna gonić Johna, a pozostałe dzieci ponownie zaczynają biegać po trawniku. Po chwili kilkoro z nich wraz z Johnem i przemoczonym Henrym zbliża się do zaparkowanej niedaleko wejścia limuzyny. Wszyscy oglądają samochód, otaczając go i zaglądając do środka przez szyby. Słychać głosy podziwu i komentarze zachwyconych dzieci.

Henry staje przy drzwiach kierowcy i opiera się nonszalancko o drzwi.

HENRY

(dziecinnym, ale poważnym
głosikiem)

Mówię wam, też kiedyś
taki będę miał!

Rozlega się głośny śmiech i drwiny dzieciaków. Nagle z budynku wychodzi Siostra Przełożona.

SIOSTRA PRZEŁOŻONA

(głośno krzyczy)

Co tu się dzieje? Spokój!
Nieznośne bachory!

Dzieci w popłochu rozbiegają się po podwórku.

SIOSTRA PRZEŁOŻONA

Wszyscy do stołówki! Natychmiast
do stołówki! Ja wam pokażę!
Ile razy mówiłam, że nie wolno się
bawić przy pompie? Kto jest mokry,
dostanie karę... Wszyscy zbiórka!

Dzieci powoli idą w stronę wejścia do budynku popychając się
nawzajem. Henry, cały mokry, idzie obok starszego Johna.

HENRY

(przestraszonym głosem)

Co teraz będzie? Ja jestem cały
mokry. To przez ciebie,
bo ty mnie ochlapałeś!

Szarpie Johna za rękę.
John bierze jego dłoń i cicho mówi.

JOHN

Henry, nie martw się, nic nie
będzie. Chodź, polecimy na górę,
tam od drugiej strony. Nikt nas
nie zauważy! Schowamy się! Chodź!

Chłopcy kryjąc się za krzakami przebiegają do bocznego wejścia
budynku, wbiegają po schodach na górę i wpadają do dużej sali
pełnej metalowych łóżek. Na końcu sali znajduje się wielka
szafa, w której się chowają.

Chłopcy siedzą w szafie, przez chwilę są cicho. Przez dziurkę
od klucza widzą pustą salę. Na podłodze widać mokre plamy.

HENRY

(szepciem)

Zimno mi.

JOHN

(szeptem)

Siedź cicho! Przez ciebie
nas znajdą. Nic nie mów.

HENRY

(cichym, smutnym głosem)

Johnny, a kiedy wyjdziemy?
Jak ja wyschnę?

JOHN

(cichym, złowrogim szeptem)

Tak, jak wyschniesz... Wtedy
wyjdziemy i będzie wszystko OK.

Dłuższa chwila ciszy. Nagle słyhać, jak otwierają się drzwi
do pokoju. Do chłopców w szafie dobiega stukot butów
na drewnianej posadzce.

JOHN

(zasłania Henry'emu usta)

Cicho. Ktoś tu idzie.
Kurde, znaleźli nas...?

Henry patrzy przez dziurkę od klucza, przez którą widać
jedynie sylwetkę Siostry Przełożonej, za nią sylwetkę kobiety
i obok niej kroczonego mężczyzny.

HENRY

Johnny... Kto to? Boję się.

Henry przytula się bliżej Johnny'ego.

JOHN

(szeptem)

No widzę... Siedź cicho!

HENRY

(szeptem)

Johnny, ale to może nasza mama
i tata, i nas szukają?

Ściska mocniej brata i patrzy na niego z nadzieją.

JOHN

(poirytowany)

Nie bądź głupi! Henry, mówiłem ci,
że oni nie... wyjechali! Cicho!
Idą tu.

John przytrzymuje Henry'ego przyciskając go mocno do siebie.
Kroki są coraz bliżej i nagle szafa otwiera się, a przed nią
stoi Siostra Przełożona z elegancko ubranymi
kobietą i mężczyzną.

SIOSTRA PRZEŁOŻONA

(groźnym tonem)

No wyłączyć! Ale już!

Chłopcy powoli wychodzą z szafy. Henry trzyma za rękę brata.
Z ubrania kapie woda, na podłodze jest dość mokro.

SIOSTRA PRZEŁOŻONA

(zwraca się do stojącego
obok małżeństwa)

Bardzo państwa przepraszam. Ten
mały jest naprawdę grzeczny,
to brat ma na niego zły wpływ.
Myślę, że państwa decyzja jest
słuszna. Proszę mu dziś wybaczyć,
to naprawdę dobre dziecko i jest
jeszcze w takim wieku, że będą
mogli go sobie państwo
po swojemu ułożyć.

Silnym pociągnięciem odrywa Henry'ego od brata i stawia
przed dwojgiem gości.

SIOSTRA PRZEŁOŻONA

(złowrogim, nieznoszącym
sprzeciwu tonem)

Przywitaj się ze swoimi
nowymi rodzicami!

Kobieta wyciąga rękę, aby pogłaskać Henry'ego po mokrych włosach, jednak Henry wyrывa się i chowa za bratem.

HENRY

(cichutko, ale rozpaczliwie)

My już nie będziemy się chlapać.
Obiecuję! Prawda John? Nie
będziemy się już chlapać...

Siostra Przełożona wyciąga siłą Henry'ego z za Johna.

SIOSTRA PRZEŁOŻONA

(głośno i złowieszczo)

Oczywiście, że nie będziecie.
Dziś jedziesz do nowego domu.
Masz wielkie szczęście, chłopcze!
Będziesz mieć wspaniały dom.

Ciągnie Henry'ego za rękę.

SIOSTRA PRZEŁOŻONA

Ale najpierw musisz się przebrać
w nowe ubrania, które państwo ci
przywieźli. Jesteś cały mokry!
No chodźże!

Ciągnie Henry'ego za rękę odpychając go od Johna.
John cały czas stoi nieruchomo. Nagle podbiega do łóżka stojącego niedaleko szafy, wyciąga coś spod materaca i wpycha Henry'emu do ręki fotografię. Ma twarz nieruchomą. Nic nie mówi.

HENRY

(ciągnięty za rękę przez
Siostrę Przełożoną,
krzyczy z całych sił)

Ja nie chcę, nie pozwól im, ja nie
chcę! Nie będziemy już chlapać,
obiecuję! Nie będziemy już
chlapać! Johnny! Nie będziemy
już chlapać! Powiedz im! Johnny!

Jego głos cichnie za drzwiami.

SCENA 5

ROK 2020. (KONTYNUACJA SCENY 1)

John (70) powoli podchodzi do miejsca, w którym upadł portfel. Kładzie na ziemi konewkę i podnosi go z ziemi. Nie zaglądając do środka, chowa do kieszeni swojego płaszcza. Bierze konewkę i idzie w kierunku bocznej alejki.

Idąc alejką mijają eleganckie tablice z marmuru. Na samym końcu, przy ostatnim marmurowym grobie, widzi stojącego Henry'ego. Zaraz za nim znajdują się mniej wystawne tablice z drewna i zwykłego kamienia.

Obok Henry'ego stoi KOBIETA (56) oraz MEŹCZYŻNA (30). Henry stoi z boku i przysłuchuje się ich rozmowie.

MEŹCZYŻNA

(delikatnie wzburzony)

Ale ja nie rozumiem, dlaczego akurat w takim miejscu... Nie było nic lepszego? Tu już jest prawie koniec cmentarza. Zresztą to dziura, dlaczego nie możemy go przenieść do Londynu?

KOBIETA

Nie mogłam nic zrobić...

MEŹCZYŻNA

(przerywa)

Tata byłby wkurzony. Naprawdę.
Zobacz, co tu jest obok, jakieś
zrujnowane groby, chyba
okolicznej biedoty.

KOBIETA

Proszę, cię nie utrudniaj.
Tacie i tak już wszystko jedno.

MEŹCZYŻNA

Tacie może i tak, ale nie mi.
Po co on w ogóle przyjechał,
do tej dziury?

John przechodzi obok grobowca, niezauważony przez Kobieta i Mężczyznę. Jego wzrok ponownie spotyka wzrok Henry'ego. John siada na ławeczce przy drewnianym grobie zaraz za marmurowym grobowcem. W rękach trzyma znaleziony portfel. Otwiera go. Z portfela wysuwa się bardzo stara rodzinna fotografia. Patrzy na fotografię. Nagle czuje, jak ktoś dotyka jego ramienia. Odwraca się. Za nim stoi Henry.

HENRY

(bardzo cicho)

Mogę się przysiąc?

John nie odpowiadając, przesuwa się i robi miejsce na wąskiej ławeczce.

HENRY

Mówiłem im, że nie chcę, żeby mnie
przenosili. Ale mnie nie słyszą.

JOHN

(cichym przerywanym głosem)

Już cię nie usłyszą.

Podaje Henry'emu portfel.

JOHN

To chyba twoje.

HENRY

(spokojnie)

Tak. Dziękuję. Ochlapałem się...
i musiałem zgubić.

Siedzą w ciszy na ławce, z boku dobiega rozmowa Kobiety
i młodszego Mężczyzny.

MEŹCZYŻNA

Po co on tu w ogóle przyjechał?
Mamo, mówił ci?

KOBIETA

Tak, szukał kogoś.
Podobno brata miał.

MEŹCZYŻNA

(zdziwiony)

Jak to brata? Skąd miał brata?
Przecież babcia z dziadkiem
nie mieli więcej dzieci...

KOBIETA

Nie wiem więcej niż ty, synu.
Nigdy mi nie mówił, że ma brata.
Jego prawnik zadzwonił do mnie
niedawno i powiedział, że ojciec
zmienił testament. W testamencie
przekazał spory datek na sieroty
z tego miasta, a dodatkowo zapisał
w nim klauzulę, że chce być
pochowany na tym cmentarzu.

MEŹCZYŻNA

Nic z tego nie rozumiem, mamo.
I co my będziemy teraz tu
przyjeżdżać? Kto będzie się tym
grobem zajmować? Przecież tutaj
nikogo nie mamy, żadnej rodziny...

Kobieta i Mężczyzna przechodzą obok drewnianych grobów,
nie zauważając siedzących Henry'ego i Johna.

MEŹCZYŻNA

Dziwne to wszystko. Co to za
historia z tym bratem?

KOBIETA

Nie mam pojęcia, ale masz rację...
Bardzo dziwne...

Kobieta i Mężczyzna odchodzą. Henry i John siedzą wspólnie
na ławeczce przed drewnianym grobem.

Po chwili Henry wstaje bierze konewkę i zaczyna podlewać
kwiaty rosnące na grobie. Wyciąga chusteczkę z kieszeni
i delikatnie przeciera napis na nagrobku:

„JOHN LUCKY. ŻYŁ LAT 70. SPOKÓJ JEGO DUSZY”.

KONIEC



Caspar David Friedrich, *Hünengrab im Schnee* (1809)

GENERATOR FANTAZMATÓW

Scenariusz na podstawie opowiadania „Kochaj swoją Celię” Jacka Inglota i fragmentów powieści „Limes inferior” Janusza Zajdla

PRZEMYSŁAW MAZURKIEWICZ

WNĘTRZE. MIESZKANIE MAKSA. PORANEK

Elegancka, schludnie urządzona sypialnia. Różne przedmioty codziennego użytku (lampka nocna, telefon, itp.) ułożone są na dębowych meblach w pedantycznym porządku. Zza okiennej rolety wycierają promienie słońca.

Na dwuosobowym łóżku z jedwabną pościelą leży na wznak naga AMELIA (20) - ładna, szczupła dziewczyna o blond włosach sięgających ramion. Jej klatka piersiowa pozostaje nieruchoma, w szeroko otwartych oczach nie widać życia.

Nad Amelią pochyla się również nagi MAX (28) - schludnie ostrzyżony mężczyzna, raczej wątłej postury. Wyraźnie roztrzęsiony, na przemian klepie dziewczynę w policzek i przyciska kciukiem dół jej żuchwy, co nie daje żadnego efektu, poza cichym kliknięciem.

MAX

Pierdolę... Kurwa, błagam...
Obudź się... Kurwa...

CIECIE DO:

WNĘTRZE. EKRAŃ KOMPUTERA

Cały kadr zajmuje komputerowy ekran wyświetlający stronę pornograficzną. Obok miniatur filmów porno widnieją banery reklamowe z różnymi akcesoriami erotycznymi.

Kursor myszy klika w link zatytułowany "CYBERDELICS AMELIA 2.0 - Sexomat nowej generacji". Wyświetla się film przedstawiający oświetloną scenę, na której na baczność stoi młoda blondynka ubrana w seksowną bieliznę. Dziewczyna przypomina Amelię, jednak nieco różni się od niej fizjonomią i anatomią. Obok stoi przystojny MĘŻCZYŻNA (28) ubrany w garnitur.

MEŻCZYŻNA

Szanowni państwo! Firma Cyberdelics prezentuje sexomat najnowszej generacji. Model Amelia, wersja druga, zaprojektowany został z myślą o zaspokajaniu najbardziej wyrafinowanych gustów naszych klientów. W stosunku do modeli poprzednich wprowadzono szereg zmian ułatwiających obsługę i zarazem zwiększających czerpaną z eksploatacji przyjemność. Nowego typu zasilanie nuquarkowe sprawia, że jeden wkład wystarcza na przewidziany gwarancją okres użytkowania. Maszyna dysponuje niewyczerpaną ilością pomysłów, co gwarantuje rozszerzona biblioteka programów, dołączona bezpłatnie do każdego egzemplarza. Zewnętrzna powłoka może być spersonalizowana na indywidualne zamówienie...

CIECIE DO:

WNĘTRZE. MIESZKANIE MAKSA. DZIEŃ

Przestronny, bogato umeblowany salon. Panuje nienaganny porządek. Szeroki regał ścienny wypełniony jest różnymi pozycjami z literatury klasycznej (Proust, Mann, Joyce, itp.), ustawionymi jak od linijki. Na środku pokoju stoi solidny drewniany stół i tapicerowane krzesła. Na skórzanym fotelu w kącie siedzi nieruchomo Amelia, która teraz ma na sobie długą białą suknię z głębokim dekoltem. Max, ubrany w elegancką koszulę i dżinsy, nerwowo kręci się po pokoju obgryzając paznokcie.

Dźwięk dzwonka. Max rzuca się do drzwi.

W progu staje STEFAN (48) - wysoki, otyły mężczyzna z kilkudniowym zarostem. Ubrany jest w niebieski kombinezon ze stylizowanym godłem na piersi: białym wibratorem na czerwonym tle. Na głowie ma wytartą czapkę z daszkiem, w ręku trzyma walizkę z narzędziami.

STEFAN

Dobry! Firma Cyberdelics,
serwis naprawczy. Pan wzywał?

MAX

Tak, proszę.

Max wykonuje zapraszający gest ręką, po czym nieufnie spogląda na gościa, który wchodzi do mieszkania nie wytarłszy butów, stawia walizkę na podłodze i pochyla się nad Amelią.

STEFAN

O kurde! To Amelia drugiej
generacji? Też ją miałem.

MAX

Słucham?

STEFAN

Też takiej używałem kilka lat
temu. Nie ma co, solidny model.
I super uroczy, chociaż ta jest,
zdaje się, spersonalizowana.
Jakaś dawna sympatia?

MAX

Jeszcze wczoraj w nocy działała
jak trzeba, ale rano zupełnie
przestała reagować.

Stefan chwyta Amelię za podbródek i kilkakrotnie wciska jej
kciuk pod żuchwę.

STEFAN

No nie działa, nie da się ukryć.
Cóż, zobaczmy, co tej ślicznotce
dolega.

Stefan podnosi Amelię z fotela i rzuca ją na stół.

MAX

Ostrożnie!

STEFAN

Się nie bój! Bebechy im czasem szwankują, ale z wierzchu to jest wytrzymała maszyna.

Stefan pewnym ruchem podwija sukienkę Amelii, odsłaniając wszystko poniżej ramion. Następnie ze skrzynki z narzędziami wyciąga przenośny ultrasonograf. Przykłada sondę do brzucha dziewczyny i jakiś czas jeździ nią w górę, w dół i na boki, patrząc przy tym w ekran tabletu.

STEFAN

Fiu! Zwarcie w module sterującym serwomechaniką. To takie małe dziadostwo wsadzone pod kość łonową, parę milimetrów od błony pochwy. Musiało się przegrzać od nadmiernego tarcia. Coś takiego wymaga trochę zacięcia. Oj, masz z nią używanie, co chłopie?

MAX

Naprawi ją pan?

STEFAN

Ma się rozumieć! To w gruncie rzeczy jest prosta usterka.

Stefan przez chwilę rozkłada na stole rozmaite narzędzia. Nagle bierze w dłoń skalpel i płynnym ruchem rozcina brzuch Amelii od mostka po krocze, odsłaniając płataninę metalicznych wnętrzności.

MAX

Kurwa mać!

STEFAN

Się nie bój, jestem ekspertem. Skończę, to nie zostanie nawet ślad.

Stefan zakłada lateksowe rękawiczki i zaczyna grzebać we wnętrznościach Amelii.

CIECIE DO:

WNĘTRZE. EKTRAN KOMPUTERA (KONTYNUACJA)

Mężczyzna na scenie ściąga marynarkę i luzuje krawat. Następnie wciska kciuk pod żuchwę stojącej obok dziewczyny. Ta nagle ożywa i ponętym ruchem zarzuca mężczyźnie ręce na szyję.

MEŻCZYŻNA

Obsługa nowej Amelii jest prosta, przyjazna dla użytkownika i ogranicza się do kilku nieskomplikowanych czynności. Z chwilą uruchomienia programu korpus główny przystępuje do wykonania określonej wcześniej sekwencji. Uprzednie rozebranie się nie jest obowiązkowe, choć pozostanie w ubraniu wiąże się z pewnym ryzykiem i nie zaleca się tego początkującym użytkownikom. Następnie przybieramy dogodną pozycję i nawiązujemy kontakt fizyczny z urządzeniem.

Po chwili obściskiwania się dziewczyna klęka przed mężczyzną i zaczyna rozpinać mu klamrę paska.

CIECIE DO:

WNĘTRZE. MIESZKANIE MAKSA (KONTYNUACJA)

Stefan grzebie we wnętrznościach Amelii, co jakiś czas zmieniając narzędzie. Siedzący na krześle obok Max przygląda się temu w skupieniu, obgryzając paznokcie.

STEFAN

Powiedź, nie myślałeś, żeby ją po prostu wymienić?

MAX

Słucham?

STEFAN

To mimo wszystko jest dość archaiczny model. Trzecia generacja jest teraz w dobrej cenie, wymiana nie kosztowałaby cię więcej niż naprawa. Ja na przykład rok temu kupiłem nowiutką Kiarę. A za części z recyklingu mojej starej Amelii dostałem jeszcze Calli za pół ceny. Więc teraz mam dwie! Do tego to kompatybilne modele. Wiesz ty, jaka to frajda? Jak już mnie wymęcza, potrafią się zabawić ze sobą nawzajem. Słowo daję, niedługo człowiek nie będzie im do niczego potrzebny.

MAX

Chryste! Nie chcę niczego wymieniać! Chcę, żeby ta działała jak wcześniej.

STEFAN

Jasne, jasne. Klient nasz pan. Otóż i proszę bardzo, problem zażegnany.

Stefan ściąga rękawiczki i składa narzędzia. Następnie wyciąga z walizki coś w rodzaju podręcznego odkurzacza o miękkiej, szerokiej ssawie - tę przykładą do brzucha Amelii i naciska włącznik. Ssawa przesuwana się wzdłuż nacięcia, po którym pozostaje gładka, pozbawiona skazy skóra.

Stefan podnosi Amelię ze stołu i sadza z powrotem na fotelu. Chwyta ją za podbródek i wciska jej kciuk pod żuchwę. Po krótkiej chwili matowe oczy dziewczyny zaczynają nabierać blasku. Amelia wraca do życia i natychmiast zarzuca Stefanowi ręce na szyję.

AMELIA

Cześć kochany. Na co masz ochotę?

Stefan ponownie wciska kciuk pod żuchwę Amelii. Dziewczyna wiotczeje i zamiera w bezruchu.

Max przygląda się całej scenie z wyraźnym niepokojem.

STEFAN

Proszę bardzo, nówka sztuka.
Coś jeszcze?

MAX

Bo widzi pan... Ona... Ten
egzemplarz był spersonalizowany
również osobowościowo.
Czy po tej awarii jej usposobienie
wróci do oryginalnie
zaprogramowanych parametrów?

STEFAN

Ach, o to się rozchodzi.
Romantyk z ciebie, co?
Się nie bój!
Po fizycznej usterce
oprogramowanie potrzebuje trochę
czasu na reset, więc działa
na fabrycznych ustawieniach.
Dzień czy dwa będzie się
zachowywać jak autystyczna dziwka,
ale potem wszystko wróci do normy.
Będziecie mogli sobie znowu
oglądać filmy, czy co tam lubisz
z nią robić.

MAX

W takim razie dziękuję,
to wszystko.

STEFAN

Cała po mojej!
Rachunek prześlemy mailem.

Stefan chwyta walizkę z narzędziami i wyciąga z kieszeni
kombinezonu niewielką wizytówkę, którą wręcza Maksowi.

STEFAN

Numer kontaktowy i kod promocyjny,
gdybyś się jednak zdecydował
na kupno nowego modelu.

Max zmieszany przyjmuje wizytówkę.

STEFAN

Dziękujemy za skorzystanie
z usług firmy Cyberdelics!

Stefan wychodzi z mieszkania, wkładając w usta papierosa.

CIECIE DO:

WNĘTRZE. EKTRAN KOMPUTERA (KONTYNUACJA)

Dziewczyna, już bez żadnej bielizny, leży nieruchomo na podłodze. Stojący nad nią mężczyzna zapina klamrę paska. Jest zziąjany, ale wyraźnie usatysfakcjonowany.

MEŹCZYZNA

Jak sami państwo widzą, najnowsza Amelia jest prosta, bezpieczna i niezwykle przyjemna w użytkowaniu. To jednak nie wszystko, najlepsze zostawiliśmy na koniec! Otóż największą zmianą względem poprzedniej generacji jest innowacyjny generator behawioralny, dający możliwość pełnej personalizacji osobowości, wykraczającej również poza samą aktywność seksualną. Rzuciła cię dziewczyna? Kręci cię żona twojego szefa? A może skrycie marzysz o tym, żeby przelecieć własną siostrę? Teraz twoje fantazje mogą stać się rzeczywistością! Podaj nam wzorce zachowań, a nasi specjaliści perfekcyjnie odwzorują je w osobowości twojego egzemplarza. Zamów nową Amelię już dziś i wnieś swoje doznania na zupełnie inny poziom!

CIECIE DO:

WNĘTRZE. MIESZKANIE MAKSA. POPOŁUDNIE

Max siedzi w salonie na krześle postawionym naprzeciwko Amelii i przygląda się jej nieruchomej twarzy w milczeniu. Po dłuższej chwili niepewnie chwyta ją za podbródek i wciska jej palec pod żuchwę. Dziewczyna ożywa i zarzuca mu ręce na szyję.

AMELIA

Cześć kochany.
Na co masz ochotę?

Trwają tak chwilę w milczeniu.

AMELIA

Coś się stało,
mój ty najdroższy?

Max ponownie przyciska dół żuchwy Amelii. Ciało dziewczyny bezwładnie zsuwa się z fotela i upada na podłogę.

Max wstaje z krzesła i zaczyna nerwowo krążyć po pokoju obgryzając paznokcie. Następnie siada przy stole i przez jakiś czas impulsywnie przeczesuje palcami włosy, szepcząc coś przy tym sam do siebie.

Nagle dostrzega leżącą na skraju blatu wizytówkę otrzymaną od mechanika. Sięga po nią i przez dłuższą chwilę obraca ją w dłoni. W końcu wyciąga z kieszeni telefon i niepewnie wybiera numer. Po kilku sekundach czekania na połączenie, z głośnika dobiega kobiecy głos.

GŁOS Z TELEFONU

(V.O.)

Firma Cyberdelics,
dział realizacji zamówień.
Czym mogę służyć?

KONIEC



Metropolis, rež. Fritz Lang, zdj. Karl Freund, Günther Rittau (1926)



GRAFIKA



Max Ernst, *Une semaine de bonté - La cour* (1934)



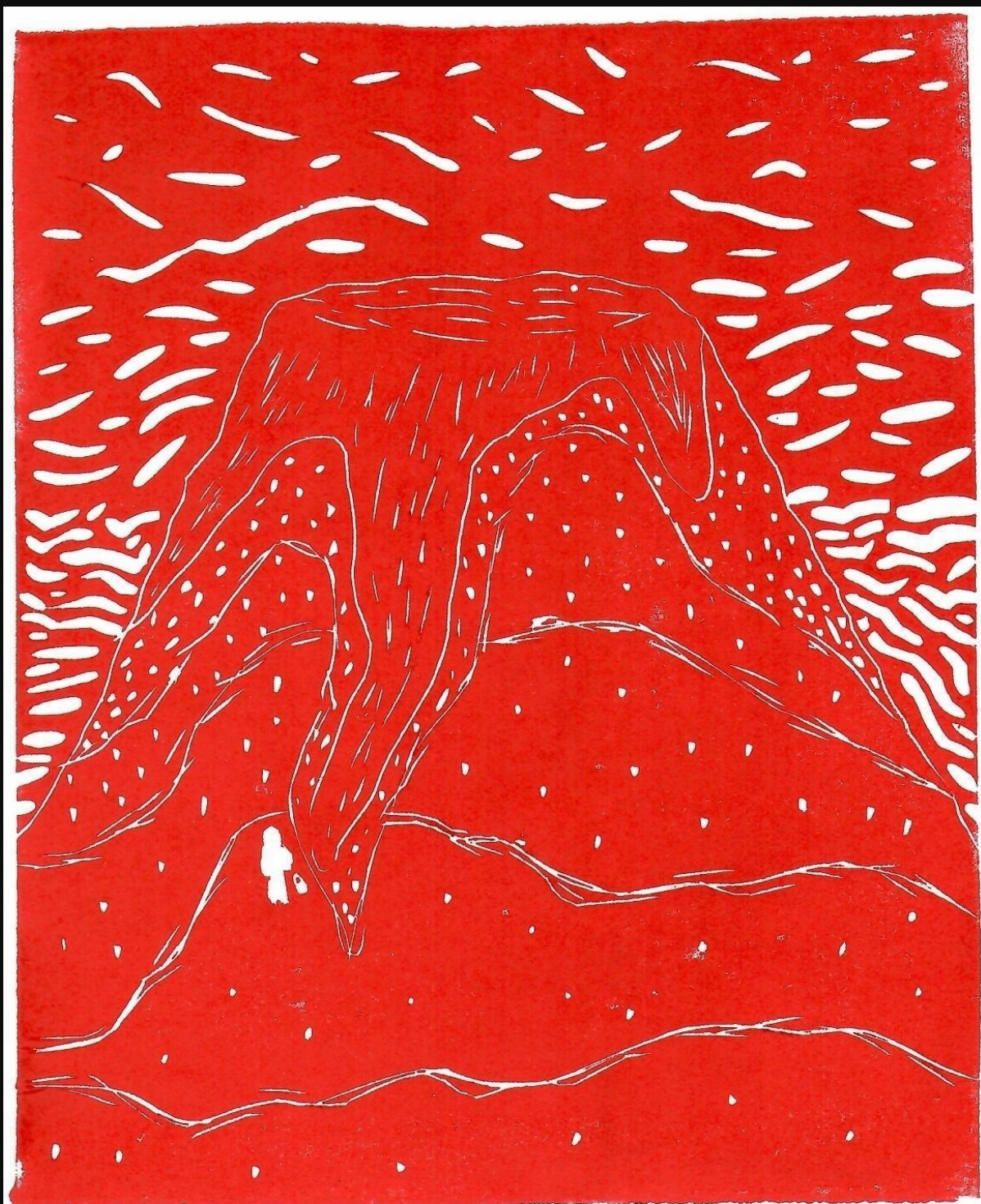


Wulkan

Linoryt 5/6

Franciszek Sobieszka

Wulkan (5/6)



Wulkan

Limnyst 2/6

Franciszek Sobiech

Wulkan (2/6)



Muchomor

Lincryt 2/3

Franciszek Sobiech

Muchomor (2/3)



Muchomor

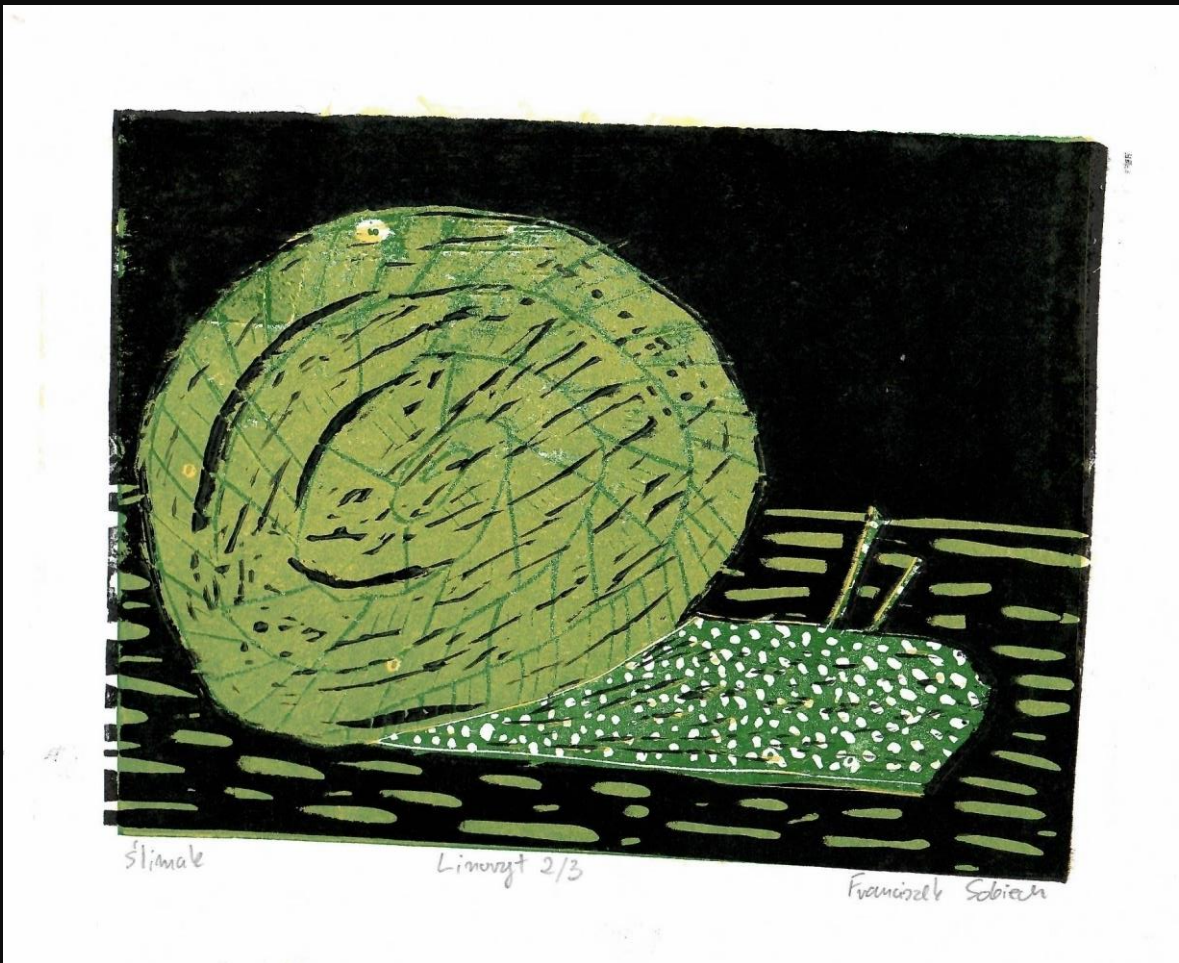
Linoryt 1/4

Franciszek Sbielch

Muchomor (1/4)

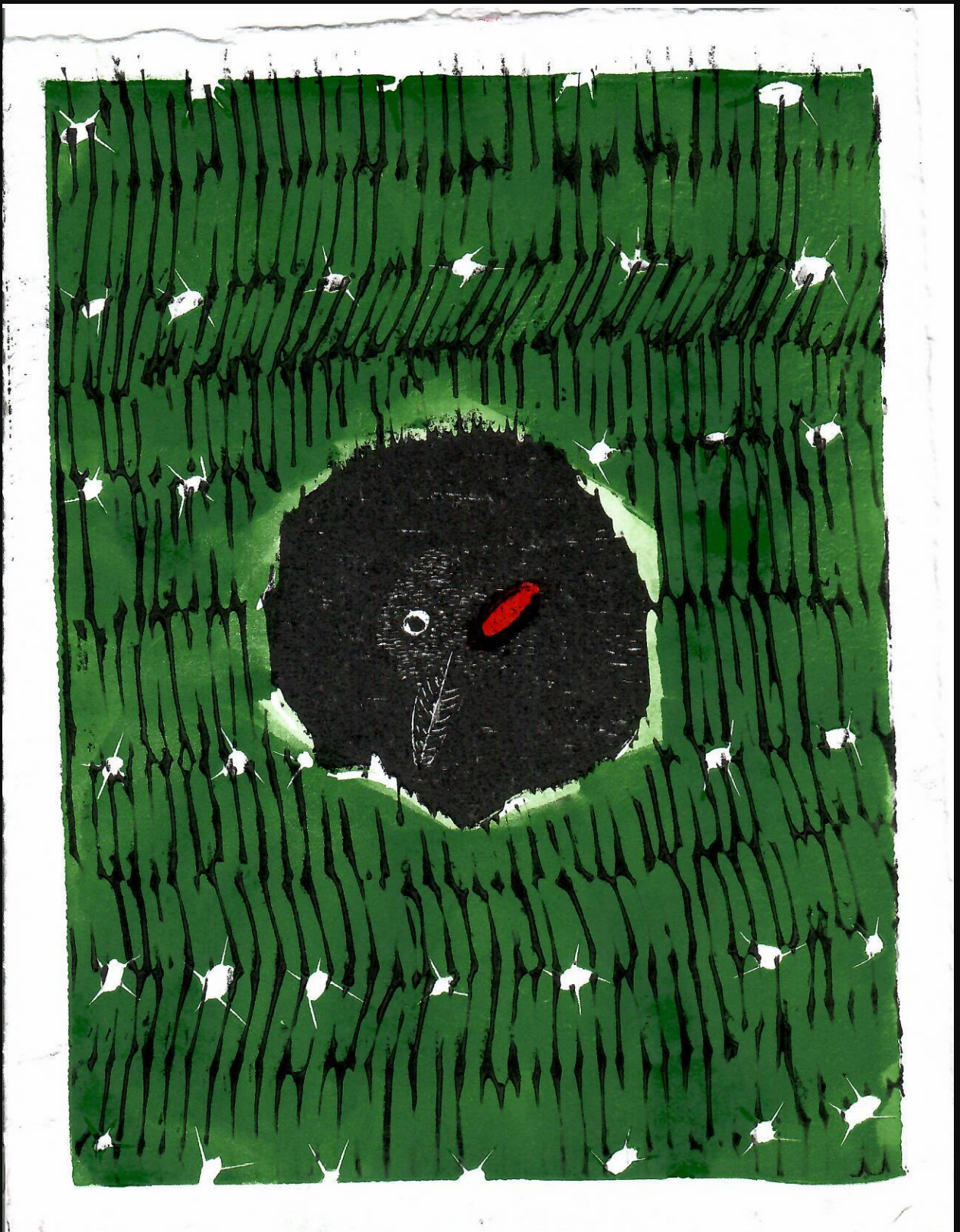






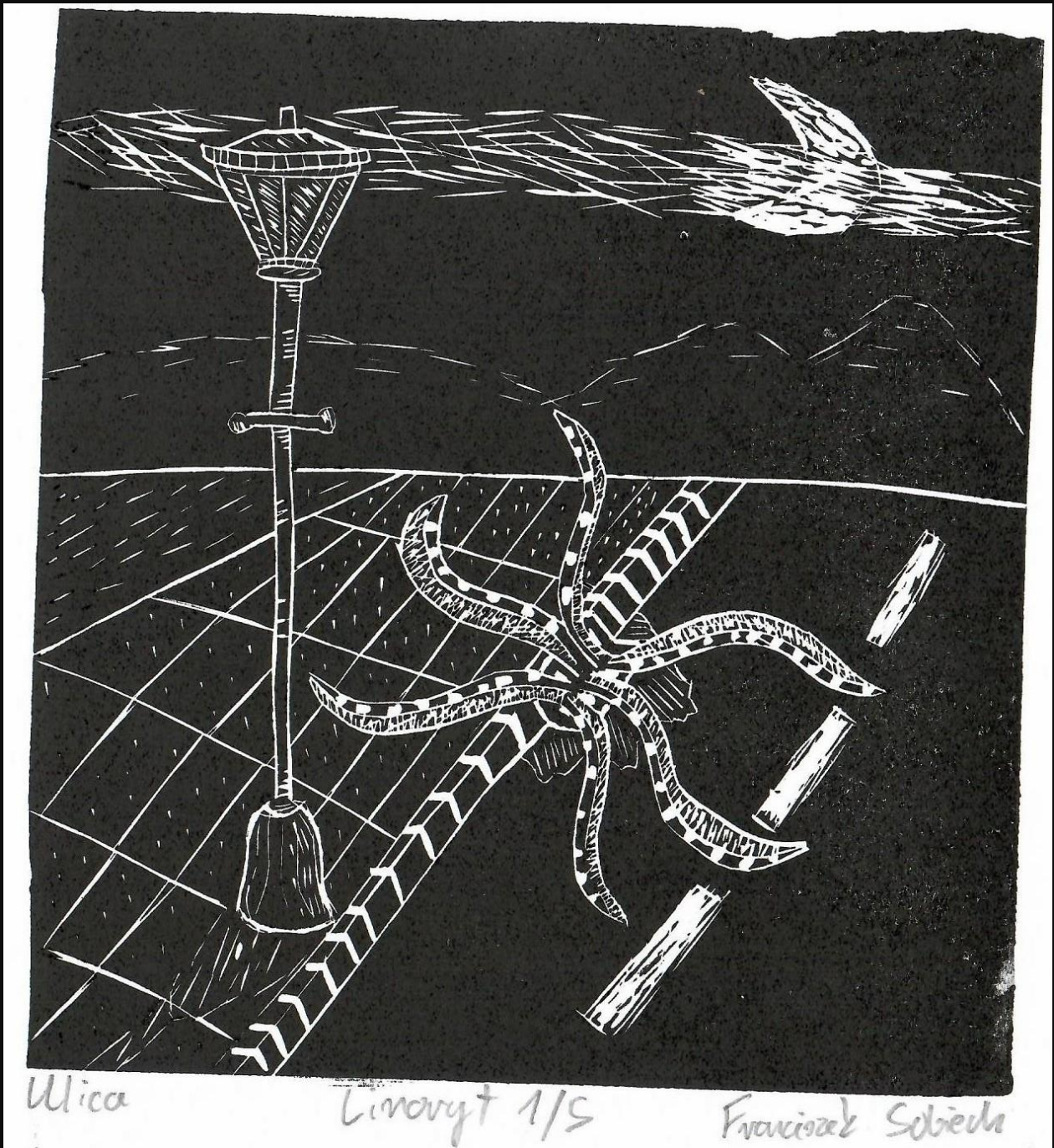
Ślimak (2/3)





Ptak w kaktusie





Ulica

Linoryt 1/5

Franciszek Sobiesz

Ulica (1/5)



MAQUILLAGE

Ida Cylwik



















Poszczególne projekty, adnotacje i należne © copyrighty :)

Tytuły w cudzysłowie pochodzą od Redakcji.

„Zebra”

“La Fenice”

„Picasso”

„Moth/Butterfly” (Inspo: @elepeints)

Black Swan

Cyberpunk 2077

„Pani Syrena”

Pan Syren:

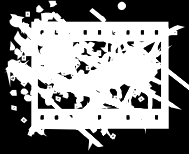
Model: Piotr Kłudka

Zdjęcia: Piotr Pędziszewski

Królowa Śniegu:

Modelka: Laura Baçal @laurabacal

Zdjęcia: Maciej Roszkowski

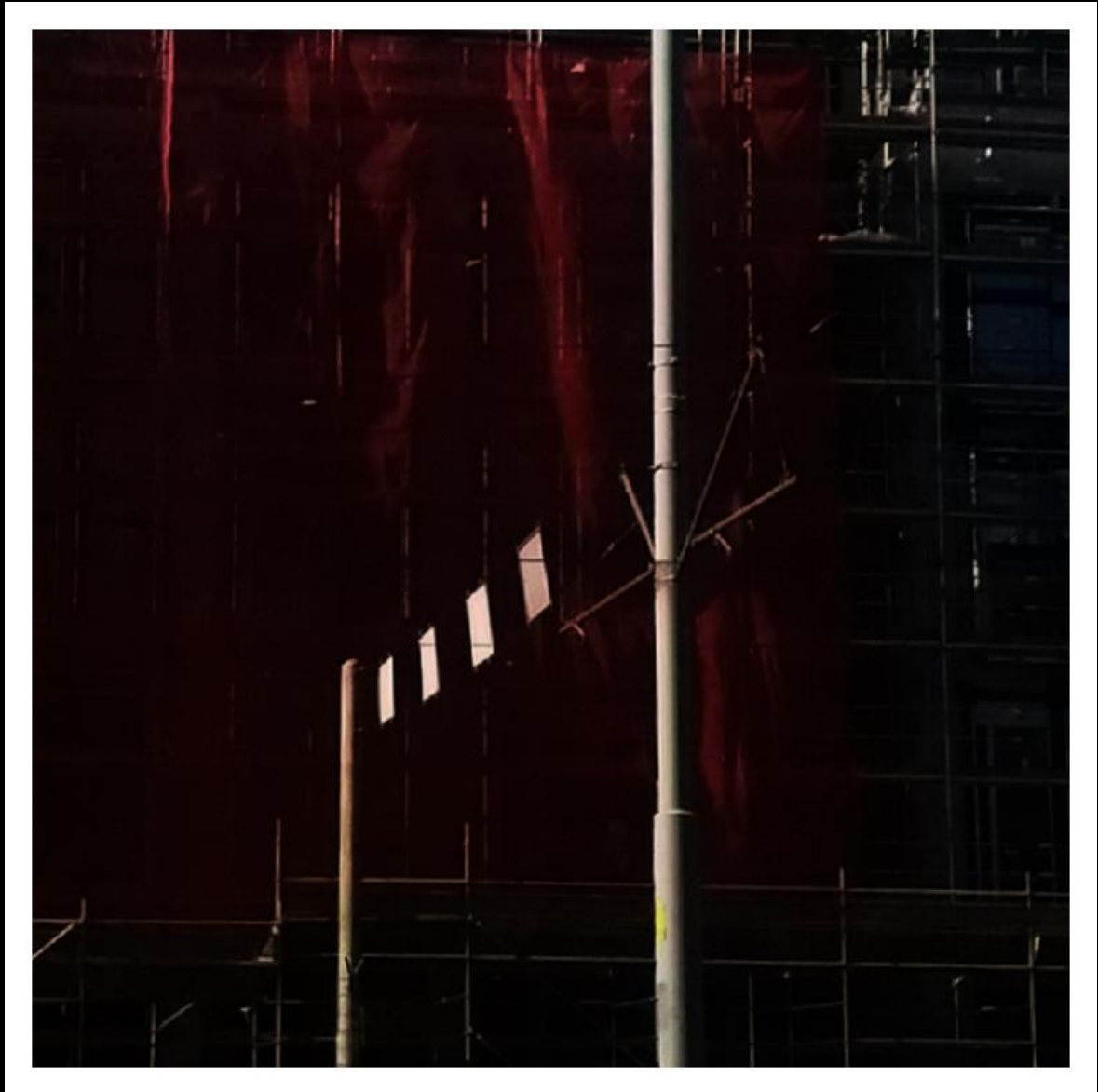


ΦΟΤΟΓΡΑΦΙΑ



Eugène Atget, *La Villette, rue Asselin, fille publique faisant le quart devant sa porte* (7 mars 1921)

Joanna Danowska

















Róża Piotrowska









Magda Anna Sajewicz







© amadea.studio

VACCINES



LOVE
TRAY
IS OUR RE-IDENTIFIED

© amadea.studio





ФОТОРЕПОРТАЖ



Елеазар Лангман, «Киноглаз». Портрет кинооператора Михаила Кауфмана (ро 1924)

Marysia Wrzeszcz













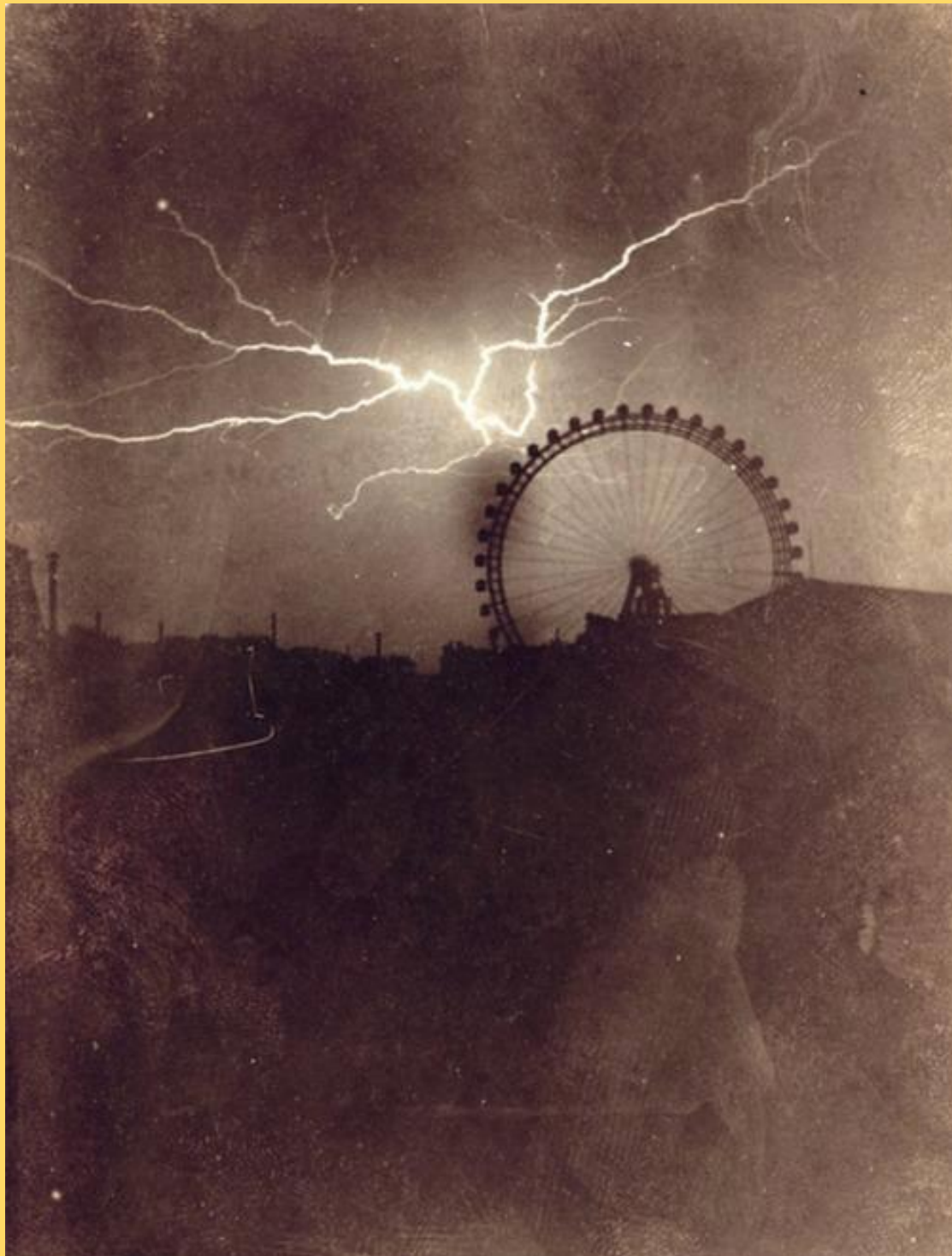








WYWIAD



NN, *Paysage Orageux* (ca. 1900)

Oruń

Powojenna Polska okiem repatrianta

Rozmawia Przemysław Mazurkiewicz

Część II/II

TADEUSZ WORONOWICZ – Urodzony 10 września 1940 roku na przedmieściach Wilna, krótko po przewrocie z dnia 25 sierpnia, kiedy to Litwa utraciła niepodległość i stała się jedną z republik radzieckich. Emerytowany inżynier ogrodnictwa i nauczyciel przedmiotów zawodowych. Zagorzały miłośnik historii i literatury. W wywiadzie opowiada o powojennej repatriacji ludności z Wilna na tereny Polski.

Pierwsza część wywiadu ukazała się w poprzednim numerze „AlmanaXu”.

PRZEMYSŁAW MAZURKIEWICZ: Gdzie trafiliście później?

TADEUSZ WORONOWICZ: Na szczęście okazało się, że zgodnie z naszymi przewidywaniami, w Gdańsku rzeczywiście osiedlonych było mnóstwo repatriantów z Litwy. Ludzi tych rozpoznawało się na ulicy po bardzo specyficznym akcencie. Po krótkim pytaniu: „A pan z Wilna?”, potrafiła wywiązać się rozmowa na kilka godzin. Praktycznie zawsze znajdowali się jacyś wspólni znajomi.

Od nowo poznanych znajomych mieszkających na Oruni, przy ulicy Żuławskiej 36, dowiedzieliśmy się, że jest do kupienia gospodarstwo położone dwa domy od nich. Okazało się, że bezpośrednio po wysiedleniu Niemców, mieszkający w okolicy autochton zajął pięć czy sześć budynków, osadzając w nich swoją żonę, dzieci i teściów. Nie był on jednak w stanie wydajnie ich zagospodarować, więc zaczął sprzedawać.

Oficjalnie rodzice kupili dom od jego teściowej. Po dość długich negocjacjach cenę ustalono na sto dwadzieścia tysięcy. Dziewięćdziesiąt sześć tysięcy wypłaciliśmy od ręki, jednak kiedy chcieliśmy się wprowadzić, przed samą bramą teściowa zatrzymała nas i z ostentacyjnym oburzeniem oświadczyła, że nie udostępni nam budynku, dopóki nie otrzyma brakującej sumy. Zatrzymaliśmy się więc u okolicznych sąsiadów i zaczęliśmy się zastanawiać, co robić dalej.

W końcu część należności udało się uregulować w zbożu. Resztę uzyskaliśmy ze sprzedaży ręcznie szytego garnituru ojca, przywiezionego jeszcze z Wilna. Taki garnitur to był wówczas wyrób najwyższej klasy, jednak z powodu przesylenia towarami pochodzącymi z szabru, nie dało się go

sprzedać w Gdańsku. Mama musiała zatem jechać aż na targ do Torunia. W końcu udało się zebrać całą kwotę i tak wprowadziliśmy się do gospodarstwa przy ulicy Żuławskiej 38.

Był to jednak dopiero początek naszych problemów. Okazało się bowiem, że zakupiony dom był niemalże całkowicie wyczyszczony z wszelkich mebli i urządzeń niezbędnych do uprawy roślin. Zastaliśmy tam jedynie rozpadające się graty ręcznej roboty. Na pretensje ojca sprzedający spokojnie odpowiedział, że to okoliczni sąsiedzi rozkradli cały dobytek i na tym dyskusja się skończyła. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że to sam właściciel wywiózł wozami całe wyposażenie domu, w czasie gdy my zbieraliśmy brakującą kwotę. Cała ta sytuacja boleśnie odbiła się na pierwszych latach naszego gospodarzenia.

A jak prezentował się sam budynek, poza tym, że był ogołocony z mebli?

Był on niestety bardzo wyniszczony, głównie przez wilgoć i korniki. Doprowadzenie go do stanu gospodarczej używalności kosztowało nas wiele czasu i wysiłku. Był on jednak na swój sposób bardzo interesujący. Jak wynikało z drewnianej tablicy przybitej do dachu, wybudowany został po wojnach napoleońskich, w roku 1839. Najbardziej niezwykle było to, że wzniesiono go bez żadnych fundamentów i przez te sto lat zapadł się w ziemi prawie na metr. Zabawa była przednia. Z podwórka przez okno wskakiwałem do środka bez najmniejszego problemu, ale na wyskoczenie w drugą stronę było już za wysoko. Taki to był dom.

Czy poza ograbionym domem mieliście jeszcze jakieś znaczące problemy przy osiedlaniu się na Oruni?

Oczywiście, całe mnóstwo. Przede wszystkim z urzędnikami miejskimi. Pierwszy z nich pojawił się już kilka dni po naszym wprowadzeniu się. Przyszedł on w towarzystwie młodego żołnierza z pepeszą na ramieniu i oświadczył, że Gdańsk to strefa nadgraniczna, że na jego terenie osiedlać się mogą jedynie zatwierdzeni wcześniej obywatele, i że nasza rodzina zostanie bezzwłocznie eksmitowana. Wówczas Ojciec zakomunikował, że jest zdemobilizowanym żołnierzem, że również posiada w domu broń, i że raz na jakiś czas zdarza jej się bez powodu wystrzelić. Urzędnik zrozumiał aluzję i wówczas negocjacje nabrały nieco łagodniejszego tonu. Stało na tym, że rodzice otrzymać mieli tymczasowe zameldowanie w Gdańsku i przydział na cztery hektary ziemi, w zamian za regularne płacenie haraczu w postaci określonych ilości warzyw i owoców. Początkowo nie mieli oni zamiaru przystawać na te poniżające warunki, jednak z czasem, kiedy z każdą najmniejszą sprawą kierowani byli do tego właśnie, oczekującego łapówki urzędnika, zmuszeni byli się zgodzić. Przez kilka kolejnych lat płaciliśmy więc, często wygórowany, trybut w postaci pomidorów, ogórków czy sałaty. Trwało to aż do roku 1952, kiedy to żądania o haracz

nagle ustały. Prawdopodobnie urzędnik albo awansował, albo przeniósł się do innego miasta. Tego, co dokładnie się stało, rodzice jednak nie dochodzili.

Innym razem urzędnik Zarządu Miejskiego pojawił się z zamiarem spisania wszystkich znajdujących się w domu mebli, również tych, które przywieźliśmy ze sobą ze Złocieńca. Formalnie miały one bowiem stanowić udostępnianą nam własność miasta i nie mieliśmy prawa samowolnie ich sprzedawać. Ten niezwykle skrupulatny spis powtarzany był co roku. Przy jego sporządzaniu zawsze najwięcej problemów sprawiała stara, stoczona przez korniki i zupełnie nieużywana magłownica, której nigdy nie można było znaleźć. Pewnego razu ojciec porąbał ją na kawałki i spalił w piecu. Na wieść o tym spisujący mienie urzędnik oburzył się oświadczając, że takie samowolne rozporządzanie mieniem miasta jest niedopuszczalne. Nie wyciągnął z tego jednak żadnych dalszych konsekwencji.

Największe cyrki zaczęły się jednak kilka lat później, kiedy to wprowadzono w życie przepis mówiący, że na jedną rodzinę przypadać może nie więcej niż sto metrów kwadratowych mieszkania. Wówczas urzędnicy miejscy zaczęli chodzić po domach i każdemu, kto przekraczał wyznaczony metraż, wciskali nieposiadającego miejsca zamieszkania lokatora. Osiedleni w ten sposób ludzie byli zbieraniną największych pijaków, złodziei i nierobów. Wówczas na całej wsi rozpętał się chaos. Kiedy z samego rana gospodarz wyjeżdżał na pole, niepożądany lokator zostawał w niepilnowanym gospodarstwie i, często bez żadnych konkretnych powodów, powodował znaczące straty. Kiedy gospodarz został przez takiego delikwenta pobity i złożył pozew sądowy, wówczas identyczny pozew oskarżający gospodarza natychmiast składany był przez sprawcę pobicia. Takie sprawy potrafiły ciągnąć się całymi miesiącami i niemal zawsze kończyły się nałożeniem grzywny na obydwie strony, przy czym faktyczny sprawca, jako mniej zamożny płacił 100 zł mniej. Gdy jednak takiego lokatora udało się czasem zamknąć w więzieniu, u gospodarza natychmiast pojawiała się żona „niesłusznie oskarżonego” z gromadką dzieci i prośbą o utrzymanie, bo przecież ona żadnych dochodów nie ma.

Czy wam też wpakowali do domu takiego lokatora?

Oczywiście chcieli, jednak ojcu udało się temu zapobiec. Okazało się bowiem, że jego siostra wraz z mężem wróciła wówczas do Polski z przymusowych robót w Niemczech. Przed wyjazdem obiecywano im, że po powrocie do ojczyzny otrzymają mieszkanie na własność, jednak urzędnicy miejscy słysząc to, oczywiście ich wyśmiali. Wówczas ojciec zaproponował siostrze, aby wraz z mężem wprowadziła się do nas, co też niezwłocznie uczyniła. Kiedy przydzielająca lokatorów komisja dowiedziała się, że przyjęliśmy mieszkańców bez zezwolenia, oskarżyła nas o sobiepaństwo i zagroziła ich natychmiastowym wysiedleniem. Jako że w tamtych czasach

każdemu wysiedlonemu bezwzględnie należało przydzielić lokum, to ani ojciec ani wujostwo nie wyrażali sprzeciwu. Po niedługim czasie od tego zajścia cała sprawa zupełnie ucichła.

Czy na Oruni udało wam się w końcu znaleźć środki na utrzymanie?

Owszem, ale jak już mówiłem, kosztowało nas to wiele czasu i wysiłku. Ogród znajdujący się na terenie naszego gospodarstwa był całkowicie zdewastowany. Brakowało w nim okien inspektowych, a cała gleba przepelniona była potłuczonym szkłem. Przez wiele dni trzeba ją było przesiewać metr po metrze i skrupulatnie wygrzebywać kaleczące ręce odłamki. Była to naprawdę krwawa robota i długo trwało, zanim ogród zaczął się nadawać do użytkowania. Na samym początku naszego pobytu na Oruni, ojciec zatrudnił się zatem przy odgruzowywaniu miasta. Było to jedno z dwóch odpłatnych zajęć, jakie można było wówczas wykonywać. Drugim był transport węgla.

Wspomniałeś, że poza samym ogrodem, otrzymaliście jeszcze od miasta przydział na cztery hektary ziemi.

Owszem, ale przy ich oporządzaniu również było mnóstwo roboty. Ogromne trudności sprawiało już samo dotarcie na pole, ponieważ niemalże ze wszystkich stron było ono otoczone głębokimi rowami wypełnionymi błotem. Aby dotrzeć tam bez ryzyka zostawienia butów w gęstym bagnie, trzeba było iść naokoło, znacząco nadkładając drogi. Po dotarciu na miejsce okazało się natomiast, że pole obrośnięte jest trzcina, której nie dało się wypalić, ponieważ była zbyt wilgotna. Cały teren trzeba było zatem dokładnie wypielić i zaorać. Cztery hektary, kawalek po kawalku.

Kiedy po wielu tygodniach mozolnej pracy nasza ziemia została przystosowana pod uprawę, wówczas pojawił się kolejny problem – co właściwie na niej zasadzić? W końcu rodzicom udało się pożyczyć od sąsiadów trzy worki ziemniaków. Każdą bulwę podzieliliśmy na kilka części w taki sposób, żeby zachował się sam kielek, po to aby uzyskać większą ilość sadzonek. Zakwitnięciu pierwszych ziemniaków towarzyszyła ogromna radość, jednak po skończonych zbiorach okazało się, że po odliczeniu odpowiednich ilości na konsumpcję, oddaniu długu i ponownym obsadzeniu pola, wyszliśmy na zero. Minęło zatem parę lat, zanim nasze uprawy zaczęły w końcu przynosić zyski.

Jak przebiegała twoja edukacja na Oruni?

Pod koniec sierpnia roku 1947 mama dokładnie mnie wyszorowała, ubrała w odświętny strój i ciężkie kamasze, które były wówczas jedynym dostępnym rodzajem obuwia, a następnie zaprowadziła do Szkoły Podstawowej nr 10 w Gdańsku Oruni, przy ulicy Gościnnej. Na samym

początku skierowano mnie do kierownika szkoły na ustny egzamin, ponieważ mamie bardzo zależało, żeby wysłać mnie od razu do drugiej klasy. Najpierw kierownik zrobił mi test z czytania. Kiedy bez najmniejszych problemów poradziłem sobie z fragmentem z elementarza, wówczas kazano mi odczytać artykuł z leżącej na biurku gazety. Trochę się zacinałem, ale w końcu i z tym dałem sobie radę. Następnie przyszła kolej na egzamin z rachunków. Kierownik zaczął od prostych pytań z zakresu dodawania i odejmowania. Później przepytał mnie z tabliczki mnożenia do stu, której wprawdzie w pierwszej klasie nie uczono, ale której ja nauczyłem się z nudów, z okładki kupionego do zapisków zeszytu leżącego w naszej kuchni. Wypadłem chyba całkiem nieźle, ponieważ od razu zapisano mnie do drugiej klasy, ale pamiętam, że cały ten egzamin zupełnie mnie wtedy nie interesował. Całą moją uwagę pochłaniała bowiem wspaniała kolekcja wojskowych medali wywieszonych w gablocie na ścianie, które bardzo chciałem dokładnie obejrzeć. Naczelnik szkoły był prawdopodobnie byłym oficerem, czy kimś w tym rodzaju.

A jak wyglądała nauka w szkole?

Personel nauczający był zbieraniną kadry nauczycielskiej z całej przedwojennej Polski – głównie jej wschodniej części, zarówno z miast, jak i wsi. Bardzo często byli to ludzie po ciężkich przejściach związanych z wywózkami. Jedni z widocznymi okaleczeniami, inni ze zszarganymi nerwami, objawiającymi się tikami nerwowymi lub histerycznym krzykiem i płaczem na widok naszych wybryków.

Klasa składała się natomiast głównie z dzieci z rocznika 1939, których dzieciństwo przypadło na lata wojenne. Pokolenie wyrwane z dotychczasowego życia i przewiezione na nowe miejsce zamieszkania, w zupełnie obcy dla nich świat. Przede wszystkim byli to Wilniuchy, Poleszuchy i Lwowiacy. Zdarzały się jednak również dzieci reemigrantów z Francji, dzieci kaszubskie czy dzieci Niemców podających się za gdańszczan.

Jak odnalazłeś się w nowej szkole?

Początki były trudne, ponieważ byłem zupełnie nieprzyzwyczajony do nauki szkolnej i miałem problem ze spokojnym usiedzeniem w miejscu. Ponadto wszystkie dzieci znały się tam od pierwszej klasy, a ja byłem nowy. Ostatecznie jednak edukację w tej szkole udało mi się skończyć. Uczniem nie byłem ani najlepszym, ani najgorszym. W niczym się nie wyróżniałem.

Odnoszę wrażenie, że całe swoje dzieciństwo na Oruni postrzegasz przez pryzmat kontaktów z urzędnikami, pracy na roli i ewentualnie chodzenia do szkoły. Nie miałeś tam żadnych znajomych rówieśników, z którymi mógłbyś się bawić w wolnym czasie?

Raczej nie. Wtedy zresztą nie było mody na tego rodzaju zabawy. Kiedy prowadzi się gospodarstwo rolne, nie ma dnia, żeby nie było niczego do roboty. Od najmłodszych lat starałem się zatem pomagać rodzicom, w czym tylko mogłem. Nie zrozum nie źle, nie byłem do tego przymuszany i nie był to dla mnie żaden przykry obowiązek. Po prostu tak się wtedy żyło. To była powszechnie akceptowana norma.

I naprawdę nie miałeś żadnych rozrywek, którym mógłbyś się oddawać w wolnym czasie?

Oczywiście, kilka by się znalazło. Przede wszystkim moją ogromną pasją było wtedy kino, chociaż to w Gdańsku było zupełnie innym doświadczeniem niż to w Złocińcu. W dawnej salce parafialnej znajdującej się naprzeciwko kościoła zawieszono białe prześcieradło, ustawiono projektor i wstawiono drewniane ławy. Nie było miejsc numerowanych i bilety sprzedawano bez żadnych ograniczeń. Kiedy sala była zbyt przepelniona, zwyczajnie zostawiano otwarte drzwi i wówczas każdy mógł sobie obejrzeć film z zewnątrz, niezależnie od tego, czy kupił bilet, czy nie. Zdarzało się to bardzo często, ponieważ ludzie walili do kina całymi tłumami. Naprawdę trudno jest mi opisać, jak bardzo pożądana była to wówczas rozrywka. Najczęściej puszczano oczywiście filmy radzieckie, choć zdarzały się również izraelskie, francuskie i amerykańskie.

Oglądanie filmów nie było jednak jedyną rozrywką tamtejszego kina. Inną było wywalanie ławek z siedzącymi na nich widzami. Zanim zrzuceni pozbiali się z ziemi, ławka była już obsadzona przez kogoś innego. Szli oni zatem na tył sali i po niedługim czasie ponownie wywalali ławę z intruzami, po to aby szybko zająć ich miejsca. Inną popularną zabawą było strzelanie papierosowymi niedopalkami. Najciekawiej było wtedy, kiedy taki niedopalek dostał się komuś za kołnierz. Zdarzało się to niezwykle rzadko, ale wywoływało zdecydowanie największą uciechę publiczności. Trafiony delikwent natychmiast zrywał się z miejsca krzycząc z bólu i zaczynał nerwowo zdzierać z siebie ubranie.

W tamtym czasie uruchomiona została również pierwsza na Oruni biblioteka i wówczas zaczęło się moje zainteresowanie książkami. W bibliotece zawsze stał ogromny tłum ludzi. Książki były ostatnią rzeczą, o jakiej myślało się przy wysiedleniu, a wiele bibliotek zostało spalonych podczas wojny. Głód literatury był więc potworny. Wielokrotnie zdarzało mi się wypożyczać książkę i ustawiać się z nią na końcu kolejki. Zanim znalazłem się na jej początku, książka była już przeczytana. Pamiętam, że sporo wtedy czytałem. Głównie w nocy, przy świetle latarki. Byłem też pierwszą osobą w domu, która z czasem zaczęła kupować i zbierać książki. Do dzisiaj są one dla

mnie czymś wyjątkowym. Placzę, kiedy zdarza mi się widywać leżące na śmietniku tomy encyklopedii, które w dzisiejszych czasach są nikomu niepotrzebne. Dawniej na dostęp do encyklopedii trzeba było nieraz czekać kilka dni.

Jak wyglądały stosunki sąsiedzkie na Oruni? Udało się wam stworzyć jakąś zwartą wspólnotę?

Cała wspólnota polegała przede wszystkim na tym, że wszyscy jednakowo nienawidzili komunizmu, bolszewików i kolchozów. Poza tym miała ona wymiar czysto praktyczny. Bywały dni, które spędzałem na orce na polu sąsiada. Innym razem to sąsiad spędzał dzień na orce na naszym polu. Nie były to może jakieś bardzo zażyłe stosunki, ale ludzie się znali i w miarę możliwości sobie pomagali.

Kiedy tak słucham twojej historii, odnoszę wrażenie, że nie miałeś zbyt łatwego dzieciństwa.

Czy ja wiem... Było jakie było. Chwilami bywało ciężko, ale nie powiedziałbym, że odczułem to bardziej niż inni ludzie w moim wieku. Tak się po prostu wtedy żyło. Przede wszystkim musisz zrozumieć, że wiele rzeczy, na przykład stosunki sąsiedzkie czy państwowość, wyglądało wówczas zupełnie inaczej niż teraz. Weźmy chociażby takie powódzie. Kiedy dzisiaj Orunia zostanie zalana, od razu trąbią o tym wszystkie media, a państwo stara się organizować jakieś wsparcie finansowe. Za moich czasów Orunię zalewało kilka razy i nikt o tym nawet nie napisał w gazecie. Byliśmy zdani tylko na siebie. Państwo było od innych rzeczy – głównie od utrudniania życia obywatelom, od organizowania przymusowych zbiórek żywności, represjonowania kulaków i zwalczania prywatnych handlowców w „Bitwie o handel”. Może i było ciężko, ale jakoś dawaliśmy sobie radę.

Całą późniejszą młodość spędziłeś już na Oruni?

Tak, aż do roku 1957, kiedy to wyjechałem do Poznania na egzamin wstępny na studia.

I myślę, że na tym nasz wywiad możemy zakończyć. Bardzo ci dziękuję za tę wyczerpującą rozmowę.

Proszę uprzejmie.



Jules de Bruycker, *Weer Klept de Dood over het Vlaanderenland* (1916)



NOTY BIOGRAFICZNE

Dla zachowania walorów indywidualnej ekspresji Redakcja zdecydowała nie ujednolicać biogramów, pozostawiając je w formie nadesłanej przez Autorki i Autorów, jedynie z rzadka uzupełniając o konieczne drobiazgi. :)

Marta Bąk - świeża studentka, doświadczona marzycielka, wolny duch. Amatorka festiwali filmowych, nauki nazw roślin po łacinie i wyszywania. Pisuje na zaliczenia i pod presją czasu.

Beata Budzowska. Studentka wiedzy o filmie, rok drugi. Zawodowa fotografka. Bardziej obserwatorka niż uczestniczka, jednak często korzystająca z prawa głosu. Pisząca piórem i kamerą. Wielka fanka filmów popularnonaukowych i książek Stephena Hawkinga.

Ida Cylwik. Jestem studentką kierunku wiedza o filmie i kulturze audiowizualnej na Uniwersytecie Gdańskim oraz kostiumografii w MSKPU, a także członkinią ekipy produkcyjnej Wild Wave Produkcja Filmowa, gdzie pełnię funkcję charakteryzatorki i scenografki. Interesuję się szeroko pojętą sztuką - malarstwem, filmem, fotografią, modą, makijażem. Dużo maluję - czasem tworząc artystyczne charakteryzacje na twarzy, czasem wykorzystując tradycyjne płótno.

Joanna Danowska - urodzona w 1997 r., studentka filologii polskiej, nieformalnie także filozofii. Z literatury najżywiej zainteresowana poezją współczesną. Odkąd pamięta, związana ze sztuką wizualną, obecnie - szczególnie fotografią analogową. W Redakcji AX-u - szefowa Działu Fotografii.

Maciej Franciszczak - prozaik, scenarzysta, autor esejów; student Wiedzy o Filmie i Kulturze Audiowizualnej na Wydziale Filologicznym UG. Pasjonat Dantego i *Boskiej Komедii* oraz wielkich klasyków literatury modernistycznej.

Piotr Frąckowiak

nom de guerre: Miron Bötley - 1987-2015. Absolwent studiów licencjackich i magisterskich polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim. Poeta, miłośnik gór i muzyki. Autor tomu poetyckiego *Utwory Rozebrane*, który wkrótce ukaże się w „Bibliotece Almanaxu”.

Agata Gigilewicz, Gigi le Witzh, Ascendentalny Skorpion. Reżyserka i artystka wizualno-literacka, jeszcze studiująca wiedzę o filmie i kulturze audiowizualnej na Uniwersytecie Gdańskim, która w swojej twórczości orbituje wokół poetyckich surrealiów, mrocznych podświadomości i niezbadanych marzeń sennych. Skleja ze słów wiersze białe i tworzy analogowe kolaże, bo lubi udowodniać, że nie wszystko już było, a nawet jeśli, to jeszcze można stworzyć z tego coś nowego. Jako reżyserka zadebiutowała etiudą *In Beat Win* na festiwalu CineramaFest w Gdyni w 2019 roku, a jej animacja *Porojenia* zdobyła pierwszą nagrodę w kategorii „forma” na XV Festiwalu Filmów Jednominutowych w Gdańsku (2020). Wielka fanka sztuki Dragu i Beat Generation, którą interesują wszelkie abstrakcyjne dziwności, *queer* w sztuce oraz włoska nowa fala.

Aleksandra Hallmann - poetka, rocznik 98. Gdańszczanka z krwi i kości, która za dzieciaka cały czas rysowała i tworzyła rymowanki. Od zawsze uwielbia książki i filmy oraz różne formy opowieści o człowieku. Aktualnie studiuje psychologię i poświęca czas przyjaciołom i sztuce.

Szymon Kamiński, ur. 1993 r., świeżo obroniony na Uniwersytecie Gdańskim magister filologii polskiej, dziennikarz, pretendujący prozaik. Laureat ogólnopolskiego konkursu literackiego „Piórem Malowane” w 2014 i 2015 roku oraz „Jesteśmy stąd - Dom na Żuławach” w 2008 roku, a także wyróżniony w konkursie „Walizka pełna strachu” w 2014 roku. Współpracuje z magazynem trójmiejskim „Prestiż” oraz „Linia”. Zainteresowany literaturą, kinem oraz gastronomią.

Julia Kobro - *nom de guerre* - urodziła się, a potem czas mijał szybko. W drodze do i z pracy układała limeryki. Czasami. Większość nigdy nie została zapisana. Lubi kawę z kardamonem, nie cierpi kłótniowych ludzi i brudnego śniegu w mieście.

Patryk Koprowski - reżyser, montażysta, operator, grafik. W 2013 roku ukończył staż multimedialny w Austrii odbywający się w ramach programu Leonardo Da Vinci, który zapewnił mu kwalifikacje w zakresie posługiwania się technologiami cyfrowymi

w obrazowaniu wizualnym. Jest producentem, scenarzystą i reżyserem krótkometrażowego filmu fabularnego „Nietożsamość”. Obecnie student Wiedzy o Filmie i Kulturze Audiowizualnej na Uniwersytecie Gdańskim oraz montażysta w Themontaż. Swoje doświadczenie zawodowe zdobywał m.in. na największych festiwalach filmowych w kraju.

Emilia Kuczmaja - poetka, prozaiczka i eseistka; absolwentka kulturoznawstwa na Uniwersytecie Gdańskim. Aktorka Teatru Impresaryjnego im. Włodzimierza Gniazdowskiego we Włocławku. Śpiewa, maluje, posiada pamiątkowe foty z Tomaszem Organkiem i Jackiem White'em (a to ostatnie budzi okropną zazdrość w sekretarzu Redakcji :D).

Aleksandra Łasińska - ur. 1997, świeżo obroniona na Uniwersytecie Gdańskim magister filologii polskiej i studentka II roku filologii angielskiej w Wyższej Szkole Bankowej w Gdańsku. Współautorka publikacji *Nigdy nie przychodzą wszystkie. Wspomnienia mieszkańców i mieszkańek gminy Choczewo* (Wejherowo 2020). Zainteresowania: muzyka, literatura, dietetyka i psycho-dietetyka.

Marcin Makara (rocznik 1974) - scenarzysta, reżyser, aktor. Student II roku magisterskiego wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej. Zajęcia: produkcja filmowa, administracja, obrót nieruchomościami. Dotychczasowe publikacje - w magazynie filmowym „Cinerama”. Laureat III nagrody na konkursie filmów jednodominutowych „Refleks;ja” za *Wędrówkę duszy* (2018). Autor scenariusza i reżyser finalizowanego właśnie filmu *Inkluzja*. Czynn timer zaangażowany w TV Neptun. Kocha kino i aktywność fizyczną.

Przemysław Mikołaj Mazurkiewicz, w Internecie Cgan lub Karo (ur. 1991 w Gdyni) - eskapista z wyboru, wielbiciel wszelkich form narracyjnych z sentymentalnym zamiłowaniem do strukturalizmu i niespełnioną ambicją zostania eseistą lub krytykiem. Wieczny student (pięć semestrów filologii polskiej, trzy ekonomii, aktualnie drugi wiedzy o filmie), w chwili obecnej magazynier i operator maszyn transportowych. Niedoszły bloger, sporadycznie współpracownik portalu Tanuki.pl. Miłośnik literatury klasycznej (Jorge Luis Borges, Franz Kafka, Bruno Schulz), fantastyki (Ursula K. Le Guin, J.R.R. Tolkien), filmu animowanego - zwłaszcza animacji japońskiej (Satoshi Kon, Naoko Yamada, Shin'ichirō Watanabe, Kunihiro Ikuhara), a także gier hack'n'slash, VTuberek i modeli Gunpla.

Patryk Miąskowski ('97) - z zawodu grafik, z wykształcenia filmoznawca, z powołania prozaik. Za dnia zwykły kierownik zmiany w pseudokorporacji, w nocy zaś pseudoraper i zwykły twórca fantastyki. Miłośnik gier słownych, gier, brudnych wersów, średnich filmów, Makłowicza i klimatu postapokalipsy.

Marta Melania Paluch. Studentka wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej. Z reguły Marta, ale zdarza mi się być Melą. W piątej klasie napisałam opowiadanie o swoim psie, za które dostałam szóstkę, a pani od polskiego stwierdziła, że może „coś” jeszcze ze mnie będzie. „Coś” pozostało niejasne. Potem, które miało miejsce w zeszłym roku, zostałam prawniczką. Fakt ten niewiele zmienił, bo wciąż nie mam pojęcia, czy to właśnie to „coś”.

Patrycja Pankau (1997) - początkująca prozaiczka i eseistka. Tegoroczna magister wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej na UG i studentka Uniwersytetu w Bergen. Od trzech lat (dorywczo) pracuje jako redaktorka katalogu i strony internetowej Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Dotychczas publikowała w Magazynie Filmowym „Cinerama” oraz w Internetowym Magazynie Teatralnym „Teatralia”. Interesuje się strzelectwem sportowym i kulturą Skandynawii.

Magda Piotrowska (ur.1996) prozaiczka. W 2020 ukończyłam UG na kierunku Kulturoznawstwo, specjalność Krytyka i edukacja kulturalna. Interesuję się akwarystyką i *aquascapingiem*.

Róża Piotrowska, urodzona wiosną 1997 r. w Łodzi, prozaiczka, autorka scenariuszy, fotograficzka. Aktualnie studentka II roku wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej. Niespełniona flecistka, siatkarka, reżyserka dźwięku, florystka... Miłośniczka roślin i natury w ogóle.

Aleksy Poklękowski - urodzony w 1998 roku w Gdańsku. Student filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Publikowany w „Stronie Czynnej”. Mieszka w Pelplinie.

Przemysław Redesiuk - rocznik 1998; filmoznawca *in progress* (Wiedza o Filmie i Kulturze Audiowizualnej, III rok). Interesuje mnie szeroko pojęte hasło „film” i to, co się za nim kryje, a kryje się: aktorstwo, reżyseria, scenariopisarstwo, kostiumografia, montaż i wiele innych. Często robię za wszystkich (może poza aktorami, choć tam też się pojawiaam

częściej lub rzadziej), bo lubię poczucie kompletności mojej wizji, osiągnięcia pożądanej estetyki i emocji.

Magda Anna Sajewicz - W duszy wiosna i rokrocznie 24 lata ☺.
Poetka, fotografka, a także śpiewaczka, pianistka, tancerka i perpetuum mobile w jednym. Absolwentka logopedii na Uniwersytecie Gdańskim, oligofrenologopedka ze specjalnością wczesnej interwencji logopedycznej, terapeutka masażu Shantali oraz Metody Padovan. Od roku studentka filologii polskiej na UG - pępowina przywiązana do Uniwersytetu. Wyróżniona dyplomem przez Prezydenta Miasta Gdańska, Pawła Adamowicza, za dobre serce i pracę na rzecz środowiska lokalnego. Całe życie pragnąca niezależności, niczym „jaskółka znak podniebny jak symbol nieuchwytna”, osiągnęła moment, w którym przynależność ma znaczenie. Robi wspaniałe ciasto marchewkowe, kocha góry i zwierzęta, marzy o przebiegnięciu ultramaratonu. Głowę zostawiła w chmurach, twardo stąpa po ziemi, a w sercu ma nieśmiałą nadzieję.

Przemek Saktura - Roczniak 82. Łódzianin z pochodzenia, gdynianin z wyboru. Trochę poeta, trochę filmoznawca, trochę mechanik rowerowy. Tata.

[Redakcja lubi jednak także alternatywną wersję biogramu Przemka: „Filmoznawca, punkowiec, czasu kurz”. :)]

Franciszek Sobiech, 1998, czasem prozaik, okazjonalnie poeta, zdarza się że grafik, a poza tym redaktor muzyczny w Radiu SAR. Skończyłem studia na kierunku fizyka stosowana, przez pewien czas na produkcji form audiowizualnych, aktualnie studiuje interakcje człowiek-komputer. Interesuję się grami planszowymi i fabularnymi.

Kamil Sulak-Kozłowski, były student kulturoznawstwa, aktualny - Wiedzy o Filmie i Kulturze Audiowizualnej na Uniwersytecie Gdańskim. Prozaik. Współpracownik „Cineramy”. Miłośnik Batmana, kina Kaiju i „Gwiezdných Wojen”. Demokrata. W wyborach Prezydenta Stanów Zjednoczonych popierał Joe Bidena. :)

Martyna Szulczyk - Prezeska Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju i Promocji Filmoznawstwa "cineDot". Studentka Wiedzy o Filmie i Kulturze Audiowizualnej na Uniwersytecie Gdańskim. Stażystka w projekcie uniwersyteckim: Festiwal filmowy jako miejsce pracy (współfinansowanym przez UE w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego). Organizowanie wydarzeń artystycznych oraz współpraca z młodymi i kreatywnymi osobami jest jej ogromną

pasją. Swoje doświadczenie zyskała pracując przy największych polskich festiwalach i wydarzeniach filmowych, m.in. przy organizacji 48. Forum Wokół Kina, 44. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (dział fotorelacja marketingowa), stażu na 12. Międzynarodowym Festiwalu Kina Niezależnego Mastercard OFF CAMERA (dział marketing, obsługa sponsora tytularnego Mastercard), wolontariacie na 10. Krakow Summer Animation Days, stażu na 43. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (współorganizacja wydarzenia, dział marketing), stażu na 11. Międzynarodowym Festiwalu Kina Niezależnego Netia OFF CAMERA, wolontariacie na 11. All About Freedom Festival, na 10. Międzynarodowym Festiwalu Kina Niezależnego Netia OFF CAMERA i na 10. All About Freedom Festival.

Paulina Ulatowska - poetka, studentka polonistyki, arteterapeutka. Laureatka I miejsca w konkursie jednego wiersza MALT 2019. Opublikowała dwa tomy wierszy, poprzedzone poetyckimi spektaklami w Centrach Kultury. Hobbystycznie zajmuje się energoterapią, psychologią psychotroniczną, rozwojem duchowym i fizyką kwantową, o czym pisze także w swojej poezji, próbując podzielić się doświadczeniami z pola metafizyki.

Jakub Wedeł - scenarzysta; student trzeciego roku wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej, aktualnie tworzący portfolio filmowe, aby w przyszłości dostać się do Gdyńskiej Szkoły Filmowej (reżyseria). Od wczesnej młodości zafascynowany kinem grozy. Personalnie wielki fan muzyki metalowej oraz twórczości Edgara Allana Poe.

Marysia Wrzeszcz (ur. 1999) - poetka i slamerka, studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Zwycięzczyni Slamu Poetyckiego w Blokowisku „Miasto”, organizowanego przez Gdański Archipelag Kultury oraz 23 Slamu Poetyckiego w Gdyni (dzięki czemu reprezentować będzie Gdynię na Piątym Ogólnopolskich Mistrzostwach Slamu Poetyckiego w Poznaniu). Uczestniczka, finalistka i zdobywczyni miejsc na podium jeszcze kilku innych pojedynków poetyckich. Wiersze publikowała w „Blizie”. Na co dzień miłośniczka książek, górskich wędrówek i podróżowania. W Redakcji AX-u - szefowa Działu Poezji.



NASZE PODWÓRKO

CZYLI O CZYM HYR IDZIE W NASZEJ KAMIENICY

Od maja szalaly nasze zaprzyjaźnione filmoznawczynie i zaprzyjaźnieni filmoznawcy.

13 maja odbyła się premiera teledysku Natalii Capelik-Muiangi *Jestem tu obca*, który napisały i wyreżyserowały **Karolina Narojczyk** i **Aleksandra Neyman**. Aleksandra Neyman jest także odpowiedzialna za fotografię i montaż clipu, a producencko plan ogarnęła **Maja Kiszowara**. Zresztą liczba zasłużonych przy projekcie filmoznawczyń i filmoznawców z UG jest tak duża, że musicie zerknąć sami. Tu:

https://www.youtube.com/watch?v=gj_1RdHeC1o

24 maja **Izabela Nykiel** udostępniła link do (powstałego jeszcze jesienią?) clipu *Fuck U*, którego współautorką była **Teresa Kurowska**.

Scenariusz i reżyseria: Izabela Nykiel

Druga reżyser: Teresa Kurowska

Zdjęcia i montaż: Aleksandra Neyman

Choreografia: Adrianna Metryka, Izabela Nykiel

Wystąpili: Izabela Nykiel, Adrianna Metryka, Teresa Kurowska, Zuzanna Kowalska, Barbara Mickiewicz, Julia Dawidowska, Maja Kiszowara, Kacper Anackowski, Szymon Cieślak, Aleksander Zawadzki.

Do obejrzenia tu:

<https://www.youtube.com/watch?v=qcjcQ3iGEss>

18 czerwca ukazał się projekt choreograficzny **Adrianny Metryki**.

W clipie zatańczyły: Julia Drygas, Kinga Dzioba, Izabela Nykiel, Alicja Wilczewska.

Choreografia: Julia Drygas, Kinga Dzioba, Ada Metryka, Izabela Nykiel, Alicja Wilczewska

Reżyseria: Ada Metryka

Zdjęcia i montaż: Aleksandra Neyman

Korekcja koloru: Oliwier Faikis

Muzyka: Yuliia Butyliuk, BTFL – Bounce around

Do obejrzenia tu:

<https://www.youtube.com/watch?v=HvBYo6rHNHU>

Drugi film fabularny naszego Autora, **Marcina Makary** *Inkluzja* (zdjęcia, montaż, produkcja – **Łukasz Byczkowski** [13YQ], w rolach głównych Reżyser i nasza Autorka, **Jagoda Janowska**) zbliża się do końca realizacji. A muzykę napisał nie kto inny, jak **Mikołaj Trzaska**. Szczegóły, fotosy, teasery tu:

https://www.facebook.com/inkluzja.film/?ref=page_internal

i tu:

<https://www.facebook.com/13yq.film/>

No i nie możemy się doczekać końca produkcji najnowszego filmu (naszej) **Agaty Gigilewicz** – *Fantas Magorii* (premiera jesienią).

Z początkiem czerwca, coś około 7., ukazał się 2. (40.) numer „Kwartalnika Artystycznego Bliza” zatytułowany „Sam(otn)ość”, a w nim między innymi:

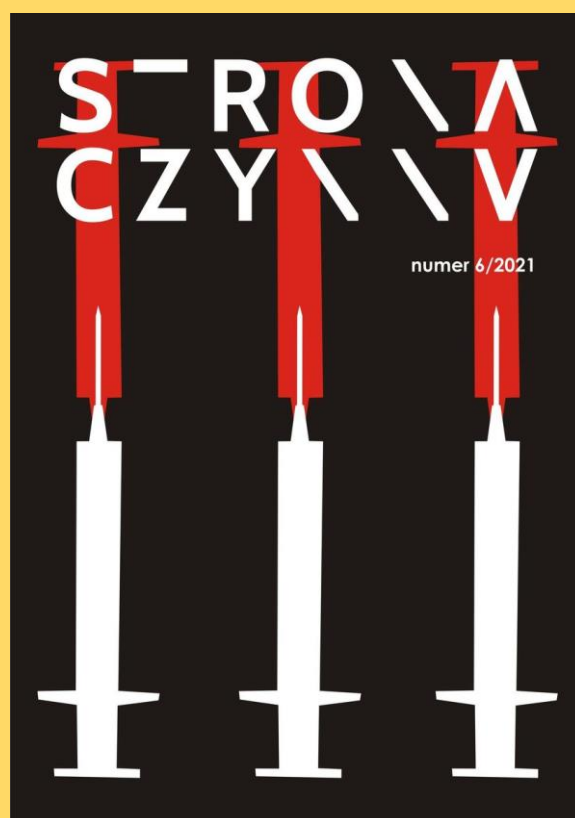
- szkic krytyczny naszej Autorki, **Patrycji Pankau**, *Propozycja kojącej samotności. Żywot Mateusza Witolda Leszczyńskiego i jego norweski pierwowzór*;
- wybór tekstów poetyckich naszej Szefowej Działu Poezji, **Marysi Wrzeszcz**, *Czyste zęby i inne wiersze*;
- jeszcze kilka interesujących tekstów Auterek i Autorów, których prędzej czy później tu zwabimy. 😊

To ta „Bliza” – o tu:



12 czerwca odbyła się publiczna premiera 6. numeru „Strony Czynnej”, której kibicujemy. Gwiazdą numeru i spotkania autorskiego był nasz Autor, **Aleksy Poklękowski**. Jego *Pajaki* (i furę innych fajnych tekstów) przeczytać można tu:

<http://czynna.com/aktualny-numer/>



18 czerwca w Konsulacie Kultury w Gdyni odbył się 23 Slam Poetycki współorganizowany przez Konsulat, Gdyńskie Centrum Kultury i „Blizę”. Grand Prix wygrała nasza **Marysia**, będzie więc reprezentować Gdynię na Piątym Ogólnopolskich Mistrzostwach Slamu Poetyckiego w Poznaniu (21-22 sierpnia). Drugie miejsce zdobyła nasza Autorka, **Urszula Sikora** i ona także rusza do stolicy Wielkopolski::

<https://www.facebook.com/mistrzostwa.slamu/>

W ogóle poetki i poeci się rozszaleli, ponieważ w kolejnych trójmiejskich eliminacjach do mistrzostw, w Slamie Bez Kasy (27 czerwca, pod Żurawiem M3 w Gdańsku) dzielnie stawała **Aleksandra Hallmann**, której wiersze przeczytać można w aktualnym numerze „AX-u”.

Tę część eliminacji wygrał **Oskar Lange**, absolwent polonistyki, który zwyciężył także 17 lipca w kolejnym starciu eliminacyjnym – Slamie w Blokowisku przy „Plamie” na Zaspie i będzie w Poznaniu reprezentować Gdańsk. Znakomicie walczyły również Ola Hallmann i Marysia Wrzeszcz.

30 czerwca na/w gdyńskim „Strychu” odbyło się Pranie Poetyckie z Julią Szychowiak: Ula Sikora – miejsce III, Marysia Wrzeszcz- miejsce II, a zwycięzcą został redaktor „Strony Czynnej”, absolwent polonistyki i były przewodniczący Koła Teoretyków Literatury – **Piotr Borkowicz**.

A skoro tyle o slamowiskach... 24 czerwca **Tomasz Cekała** z filmoznawstwa został finalistą tegorocznego Slamu Naukowego „UG Talks”, organizowanego przez Studencki Zespół Organizacji Eventów ACK UG i ACK Alternator. Tu coś o tym:

<https://www.facebook.com/UG-Talks-Slam-naukowy-111764347075999>

<https://www.instagram.com/ugtalks/>

Nasze filmoznawczynie i filmoznawcy w ostatnich miesiącach roku akademickiego zdominowali działanie DKF-u UG Miłość Blondynki (tu: <https://www.facebook.com/dkfmilosclublondynki>) oraz odcisnęli swoje piętno na aktywności Neptun TV (tu: <https://www.facebook.com/neptuntv.ug>).

Last but not least – Marcin Makara i Łukasz Byczkowski (13YQ) broili także przy okazji produkcji teledysku *Córa złego powietrza* zespołu Pomór, którego basistą i wokalista jest jeszcze jeden z naszych filmoznawców – **Marcin Świerczyński**.



Się przeżegnajcie. W lewo, bo black // death metalowa. XD XD

<https://www.facebook.com/13yq.film>

https://www.youtube.com/watch?v=FdxHMsFR_IU

*

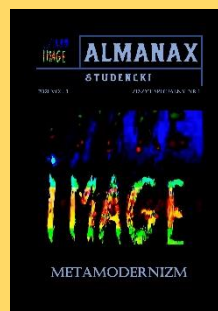
It's All Folks!

(A w każdym razie tyle się udało wyśledzić Redakcyi.)

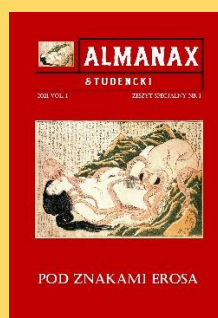
Gratulacje dla wszystkich Twórczyń i Twórców!

W przygotowaniu następujące tematyczne Zeszyty Specjalne „AlmanaXu”:

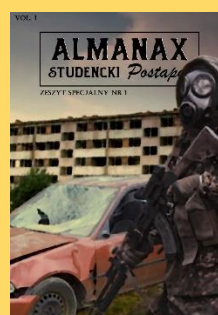
Metamodernizm



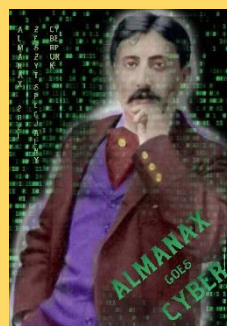
Pod znakami Erosa



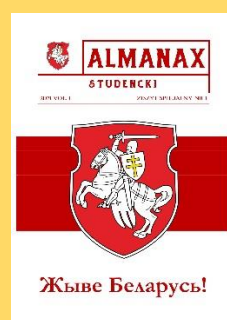
Postapo



Cyberpunk



Жывіе Беларусь!



A także:

Natura Naturans / Natura naturata

AlmanaX Goes Noir!

Flash Fiction

Światy Fantasy

AlmanaX Goes Gothic / Horror

Wkrótce także

"BIBLIOTEKA ALMANAXU"

Seria wydawnicza, w której znajdziecie dłuższe formy indywidualnych autorek i autorów w wersji *standalone*. 😊

ALMANAX

ALMANACH TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ STUDENTÓW UG

KOŁO NAUKOWE TEORETYKÓW LITERATURY UG

VOL. 1 (2021), NR 2 (LATO)



PATRONAT:

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UG

INSTYTUT FILOLOGII POLSKIEJ UG

